TĘCZA

PISMO POŚWIĘCONE LITERATURZE

ZAWIERAJĄCE

WYBÓR POWIEŚCI

NAJNOWSZYCH AUTORÓW.

TOM II.

WARSZAWA.

1838.

2

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

TĘCZA.

Choć walki o pierwszeństwo ze słońcem nie toczy:
Ale miłemi barwy wdzięczne bawi oczy.

BŁĘDNY OGNIK.

Pędzi, leci rycerz po dolinie. Na rycerzu błękitna zbroja, i damasceński miecz, który wisząc na srebrnym łańcuchu, ciężko uderza o boki rączego konia, wiernego towarzysza. Nie z pysznéj uczty książęcéj powraca. Powraca on z krwawéj biesiady, gdzie ostry miecz jego, wyrył głębokiemi razami na ciałach nieprzyjaciół imie Welesiła.

Pędzi, leci rycerz po dolinie. Tam mieszka jego wierna kochanka, piękna Miława. Dawno już rycerz i młoda dziewica zamienili obrączki, i tylko sroga wojna, rozłączyła chwilowo dwa serca, gorejące płomieniem miłości.

Lecz co za błękitny przelotny płomyk błyska w tumanach mgły drżącym swiatełkiem? Rycerz uzbroił się znakiem krzyża świętego, myśląc, że to był duch, kusiciel podróżnych; lecz płomyk nie znika, i coraz daléj unosi się w miarę zbliżania się Welesiła.

— Jeżeliś duch, to przepadnij; jeźliś czarownik, to ukaż twą złowrogą siłę w spotkaniu zemną! zawołał rycerz, i śmiało puścił się za zwodniczym blaskiem. Rączy koń parskając, przeskakuje ogrodzenie, i rycerz pędzi po mogiłach, a mdłe światełko pomyka się z jednéj na drugą, ciągle oddalając się od niego.

Smutne było miejsce, przez które pędził rycerz: było to mieszkanie umarłych, cichy cmentarz. Oto błękitny płomyk na jednym grobowcu zajaśniał mocniejszym blaskiem. Rycerz przypada.... była to świeża mogiła: przymięta darń niezdążyła jeszcze wznieść się na niéj, na podobieństwo aksamitnego kobierca. I wtém błękitny płomyk znikł— a czarny mrok opanował okolicę. Koń bohatera parskał, i nachyliwszy głowę, bił kopytem ziemię. Tęskne przeczucie owładnęło mężném sercem; rycerz rzekł: „Coś nie dobrego ty czujesz, rączy koniu, wierny mój towarzyszu! nie do radości ty tęsknisz, biédne serce moje. Tu, widzę, jest kres mojéj drogi; tu, widzę, są pogrzebione wszystkie moje roskosze.“

I zsiadł z konia, zbliżył się do grobowego krzyża, jakby w nim chciał wyczytać tajemnicę swéj niespokojności. Koń stał jak pierwéj z spuszczoną głową, i rozrywał kopytem ziemię. Długo posępne mysli snuły się w duszy Welesiła; nakoniec lekki sen spoczął na jego powiekach.

I widział w niebieskich sferach, w ogrodach wiecznie zielonych, postać Miławy, jaśniejącą blaskiem nieśmiertelności. Miława nie ziemskim uśmiechem woła do siebie oblubieńca swego.... A wtém okropny grom, przedarłszy powietrze ognistym prądem, upadł, i przerwał widzenie.... Koń stanął dęba; ale rycerz siedział nieporuszony. Cichy poranek przyjemnie zajaśniał po burzliwéj nocy. Ludzie przyszli na cmentarz, oddać ostatni dług zmarłemu współbratu. Znaleźli Welesiła martwego na grobowcu pięknéj Miławy.

STELLA.

Była godzina ósma wieczorem; słońce rzucało ogniste snopy, i postępowało z wolna odziane purpurą i złotem. Jego promienie odbijające się w przezroczystéj wodzie Marny, przedstawiały widok prawdziwie czarujący. Na wschód, Champigny ginęło w ciemnym obłoku, gdy lasek de Vincennes na zachód, wyglądał jak szmaragd, a Saint Maur, pośrodku jak podstarzała kobiéta zasłaniał się roskosznie. Był to wieczór zachwycający, miłosny!

W oddaleniu, na zachodniéj stronie parku Saint Maur, nad brzegiem wody, dwie młode osoby, oparte o balkon, zdawały się pogrążone w myślach patrzéć na zachodzące słońce. Jedna z nich mogła mieć lat 20, była brunetką, blada, zamyślona jak gwiazda, dla tego też nazywali ją Stellą; druga, blondynka, zawsze wesoła, przybiérała niekiedy minę szyderczą, która jéj bardzo była do twarzy. Była ona jedną z tych kobiét, które chlubiąc się z doświadczenia, chciałyby wszystkich pozbawić ich miłych marzeń, dla odkrycia im smutnéj rzeczywistości. Takie postępowanie nie mogło dziwić w Karolinie de Vernon. Miała ona 26 lat, poszła za mąż dla różnych widoków, uważała ludzi jako igraszkę, a życie jak pośmiewisko, polegając na swojém doswiadczeniu.

Ale Stella, łagodna i smętna, Stella znała tylko z rzeczy tego świata, błędne i skryte natchnienia duszy do miłości.

Ciche milczenie panowało od kilku chwil między temi dwiema kobiétami, gdy odgłos jakiś dał się słyszeć z daleka na wodzie; zdawał się być słodkim i czystym.

Stella zadrżała: pochyliła się na krawędzi.

— Co ci jest? zapytała Karolina, drżysz jak liść podczas wiatru.

To nic, odpowiedziała zmieszana młoda dziewica, potém rzekła śmiejąc się z siebie saméj:

— Doprawdy, śmieszne to jest, iż nie mogę usłyszéć wieczorem w samotności jakiegokolwiek ten bez mocnego wzruszenia! Szczególne to sprawia na mnie wrażenie.

— A ty, odpowiedziała złośliwie Karolina, nie unikasz tego wrażenia i zbliżasz się, aby lepiéj głos głos usłyszéć. Stello! nie trzeba być obdarzoną wielkim dowcipem, aby zgadnąć, że kochasz....

Młoda dziewica ukryła poruszenie niecierpliwości, żartujesz, rzekła z lekkiém drżeniem ust, potém zmieniając ton, zawołała:

— Kocham się! tak, kocham się w błędném drżeniu wierzb i topoli włoskich, które otaczają ten brzeg, kocham się w harmońji natury, która brzmi jak hymn pożegnania światłu! kocham się w okazałości umiérającéj tego słońca, w słodyczy woni! w tém co unosi duszę, co wzdycha, co wonie, co świeci! kocham....

— Coś lepszego jak to wszystko, rzekła powoli Karolina, kochasz człowieka miłego, pięknego, ujmującego...

Stella zgniotła konwulsyjnie gałązkę w ręku, jéj postawa oznaczała przerażenie. — Człowieka? jakiego człowieka?

— Pani mię prawie męszasz, proszę wierzyć, iż moje serce jest obojętne i spokojne.

— Montaigne powiedziałby *może*, a Rabelais *czy ja wiem*? ale ja jestem pewną, że *nie*.

— Słuchaj mię Stello, jesteś młodą, niewinną, napełnioną tą łatwowiernością, która jest pierwszém złudzeniem życia; świetne i niewinne marzenia upajać będą twe serce, dopóki zniszczone nie będą przez tysiączne próby, które ci dowiodą co są mężczyźni, ich przysięgi, i słowa miłości. Lecz ta nauka jest często długa, bolesna; niszczy najpiękniejszą część istności, a gdy będziesz wiedziała wszystko, gdy nieszczęście odkryje ci prawdy towarzystwa, często znajdzie cię zbyt znużoną, abys mu odwetować chciała, opierając obojętność szyderczą, niebezpiecznym pociągom tych uczuć, którym wszystko poświęcałeś. Nim dojdziesz do tego doświadczenia które jedynie może wrócić spokojność duszom tak ognistym jak twoja, trzeba dużo cierpieć, moje dziecię; wylać dużo łez, omylić się, i potknąć się wiele razy na tych drogach ukwieconych, które cię roskoszą napełniają i pociągają. Chcę cię zbawić od téj okrutnéj nauki, użyczę ci mego doświadczenia, uwolnię cię jedną probą od wszystkich tych, które grożą twéj niewinności; uleczę cię z téj miłości.

— Ach Pani, powtarzam, nie mogę przyznać tego, nieczuję miłości....

— Czy chcesz żebym wymieniła?

— Pani!...

— Eugeniusz d'Arzigny, i to właśnie on, który ukazuje się w czółnie tam jak ta wysepka wierzbowa; zapewne to jaka schadzka.

Stella pogardliwie stanęła przed Karoliną, i rzekła: słowa pani są dziwaczne, proszę wierzyć że pani mi ubliżasz, zdaje mi się... Potem jakby zmęczona tém wysileniem, upadła na krzesło, zakryła twarz rękoma, i łza błysnęła w jéj oku.

— A ja, utrzymuję koniecznie, odpowie Karolina, że to jest schadzka, ale nie z tobą.

— Z kimże? zawołała, wstając zbladła.

— Ze mną, odpowiedziała spokojnie młoda kobieta.

— Zwodzisz mię.... potém prędko rzekła, chciałam powiedzieć że żartujesz.

Moje dziécię, powiedziała Karolina, nie umiesz jeszcze udawać, co się tycze tego rendez-vous, nie zmyślam. Wyjęła list, który podała Stelli, czytaj, rzekła, światło księżyca przystoi takim poselstwom; młoda dziewica wyczytała następujące słowa:

„Bądź o dziewiątéj na balkonie tarasu, lecz przybądź pewno, abym cię raz jeszcze widział przed wyjazdem.“

— Ten list nie podpisany, rzekła Stella boleśnie.

— Posądzasz mię o kłamstwo, to źle; słuchaj... bije dziewiąta, ten głos na który zadrżałaś czy nie jest pana d'Arzigny, a potém czyż nie poznajesz jego pisma, czy nigdy do ciebie nie pisał?

— Nigdy....

— A wiersze?

— Karolino! Karolino! jesteś zbyt okrutną, mówiła z cicha Stella łkając, więc on ci to powiedział?

— Nie, ja tylko zgadłam. Czyś mu w zamian nic nie oddała?

— Dziś rano kilka kwiatków, ach to smutno, bardzo smutno; ponurym głosem rzekła Stella...

— Biédne dziécię, mówiła cicho Karolina uprowadzając ją z balkonu, jesteś piękną, prawdziwie godną kochania, ale pan d'Arzigny nie godzien ciebie; mężczyzna, którego serce już jest zużyte, który doszedł do tego, iż uważa miłość jako zabawkę, człowiek światowy, nie zdolny do prawdziwych uczuć, dla tego iż ma zwyczaj iskry onych po drodze rozsiéwać. Biédne dziécię, na wieczorach, które przepędzaliśmy u twojéj ciotki gdzie bywa pan d'Arzigny, jego wzrok mówił ci tysiące słów miłosnych, które do serca twego doszły, Stello, w jednéj chwili twoja dusza ognista była zachwyconą, podbitą, ja uważając na ciebie, widziałam żeś drżała za dotknięciem jego ręki, jak drzewo wiatrem wzruszone. Stello! Stello! serce tego człowieka już nie młode, on nie jest w stanie oddać ci miłość, którą czuje czysta twoja dusza. Staraj się pozbyć téj namiętności moje dziecię, miłość własna jest najdzielniéjszym środkiem przeciw takiéj miłości. Zostań tu, usłyszysz wszystkie jego wyznania, przysięgi, bę-

dziesz przejęta wzgardą, będziesz cierpiała okrutnie, ale będziesz uleczoną na zawsze...

— On cię więc kocha, rzekła Stella załamując ręce...

— Tak jak kocha ciebie, jak kocha tyle innych, może cokolwiek więcéj, bo odjeżdżam, i lęka się żebym mu nie umknęła. Jest to Don Żuan, który kilka chwil tylko spoczywa na jedném sercu, i który samą tylko zbiéra słodycz.

— A ty go kochasz... kiedy...

— Kiedy przybywam na tę schadzkę? dokończ. Doprawdy, nie dobrze rozumujesz moja miła, boleść pozbawia cię zdrowego sądu. Gdybym go kochała, czyż myślisz że byłoby mi przyjemném żebyś była przy naszém spotkaniu? Czyliż miłość nie pragnie ukrywać się, i czy śmiałabym się z jego zdrady? ale słyszę jak nasz bohater przybija czółnem, przeskoczy on zaraz ten mur. Idę na oznaczone miejsce; kiedy zechcesz, przyjdź do nas, pozwalam ci użyć téj zemsty. Do widzenia moje dziécię.

Stella rozśmiała się, lecz śmiech jéj przeszywał serce. Karolina szczupła lekka, drżąca, pobiegła na taras, pan d'Arzigny był już tam. Był to człowiek mający 32 lata, postać interesującą, ruszenia zgrabne i dobrego tonu. Skoro ujrzał Karolinę zbliżył się do niéj, i biorąc ją za rękę, rzekł: Karolino! jak dobra jesteś żeś przyszła.

— Przyznaj pan szczerze, żes na to wcale nie liczył.

— Miałem nadzieję, rzekł głosem najczulszym.

— Jeżeli tak, to pan nie bardzo jesteś niewiadomym.

— Zawsze się wyśmiewasz, Nie wiem jaką masz władzę nademną, że jestem przy tobie jak dziecko?

— Niemasz zwyczaju, wszak prawda, drżeć przed kobietą; pan d'Arzigny uśmiechnął się z ukontentowaniem i odpowiedział.—Prawda, lepiéj mi się podoba, widziéć je drżące przedemną.

— Ach panie, rzekła śmiejąc się Karolina, zdaje mi się, że zaczniesz wychwalać twoje szczęście, byłoby to zbyt niezgrabnie, przyznaj pan.

— Karolino! Karolino! Czyliż jesteśmy w salonie, rzekł z żywością; jaka oziębłość w mowie? Słuchaj, rzekł całując ją czule w czoło...

W téj chwili liście zaszelściały za niemi...

Co to jest, mówił po cichu d'Arzigny nadstawiając ucha... Czy nas kto podsłuchuje? wstał chcąc zobaczyć, ale Karolina wstrzymała go, powiadając żeby był spokojnym. Powróciła wkrótce, i zapewniła go iż byli sami. Młoda kobieta, ujrzała oczy Stelli, błyszczące w cieniu nadzwyczajnym blaskiem. Słuchaj, mówił daléj d'Arzigny, jeżeli jedziesz jutro, jadę za tobą. Niewiem jakich pani użyłaś czarów, ale pozbawiasz mię rozumu; żyć bez ciebie byłoby mi nie podobném.

— Na kwadrans?

— Na całe życie!

— Na całe życie! ach! a mój mąż zawołała udając przerażenie...

— Co mi do niego! kochasz mię, a jego nie kochasz. Zabiję go, jeżeli dowie się o naszych związkach.

— Podobna rzecz, wymaga wielkiego zastanowienia, najprzód, niepowiedziałam jeszcze panu że go kocham. Podobasz mi się i dość na tem.

— Bardzo to jest dla mnie pobhlebném, odpowiedział d'Arzigny, zdawało mi się żem inne uczucie wzbudził w pani.

Karolina widząc że go obraziła, a niechcąc aby się ta scena tak zakończyła, rzekła:

— A potém pan, który mi z takim zapałem mówiłeś o miłości, czy myślisz że mogę się chlubić z téj, którą dla mnie czujesz.

— Co chcesz powiedziéć?

— Nie mówię o przeszłości, gdyżbym mogła wymienić aż nadto rywalek. Jest to sposób dręczenia siebie zbyt niewinny, mówię tylko o teraźniejszości; czy w liczném jestem towarzystwie w sercu pana?

— Nie jestem zdolny kłamać, rzekł dumnie pan d'Arzigny; jesteś jedyną którą kocham, ale nie jedną któréj to mówię...

— To znaczy podług was, być stałym, lecz nie wiernym, teraz ja, zapewniam pana, że to bardzo jest dla mnie pochlebném.

Pan d'Arzigny wytłumaczył sobie te słowa jako uczucie zazdrości. Kocham cię, co mię obchodzi reszta, zawołał padając na kolana przed nią; dla czego mi to mówisz Karolino, czy tak cenisz życie? poświęcasz światowi najpiękniéjszejego chwile? pozwól się kochać, pozwól się otoczyć roskoszą która wre we wszystkich moich zmysłach. Karolino! mój aniele! zapomnij o przeszłości i przyszłości, żyjmy w teraźniéjszości. Teraźniéjszość jest to radość, miłość. Ja to klęczę u nóg twoich, ubóstwiam cię, śmieję się i płaczę, chciałbym porwać ognia niebieskiego aby cię ożywić, zimna i pogardzająca kobiéto, tak jak Pigmalion ożywił swoją Galateę.

Dobry wyciąg, pomyślała Karolina, potem rzekła głośno: Gdyby Stella to słyszała?

— Co mi mówisz o Stelli, rzekł nieco zmieszany, co za dziwactwo wspomninać tę młodą dziewczynę, jest to żyjąca elegja, na którą zważa mężczyzna wtedy, gdy niema innego przedmiotu do uwagi. Czyliż nie ciebie kocham Karolino?

— Nie panie, ty ją kochasz, mówiłeś jéj to, rzucałeś na nią spojrzenia, wzdychałeś do niéj jak kochanek, strzeż się, rzekła żywo, w tém słabém ciele jest ognista dusza.

— Wszystko to dziwactwo; pewnego wieczora, przyjęłaś mię zbyt obojętnie, udałem się do niéj, to tylko zemsta, przysięgam ci, nic nie czuję dla téj młodéj dziewczyny, i nie więcéj dbam o nią,

jak o kwiaty które mi dała dziś rano: widzisz jak listki tych kwiatów płyną prędko z wiatrem?

— Jak miłostki twoje.

Szelest mocniéjszy, dał się słyszéć w końcu tarasu.

— Ależ tam musi ktoś być, rzekł pan d'Arzigny, ukazując miéjsce zkąd szelest ten słyszał; liście się poruszyły, a najmniéjszego wiatru niéma. Karolina uprzedziła go w poszukiwaniu i ujrzała Stellę, bladą jak śmierć, z głową na piersi spuszczoną. Młodą kobiétę przejął dreszcz mimowolnie, powróciła do pana d'Arzigny i powiedziała głosem wzruszonym iż nikogo nie widziała.

Pan d'Arzigny myślał, że wzruszenie które się okazywało na twarzy Karoliny, pochodziło z bojaźni; przyciskając ją mocno do serca, rzekł stłumionym głosem: Jedziesz jutro Karolino, a ja cię kocham, ty mię także kochasz, a chcesz żebym cię porzucił; piękna, boska istoto, która mi okazujesz w wzruszeniu, które cię mięsza, najpiękniéjsze uniesienie duszy, czy myślisz, że moglibyśmy się rozłączyć w téj chwili miłości i roskoszy! ach! nie mogłabyś tego uczynić Karolino, jesteś mojem życiem, kochaniem, jesteś moją!...

W téj chwili, dał się słyszeć jakiś nadzwyczajny odgłos, podobny ostatniemu westchnieniu konającego.....

— A ja, powiadam ci, zawołała Karolina, że ktoś słyszał nas... Wyrywa się z rąk pana d'Arzigny, bieży do młodéj dziewicy, i w téj chwili wydaje okrzyk:

— Umarła!....

— Kto? zapytał pan d'Arzigny przerażony....

— Stella, Stella! mój panie, igralismy oboje jéj miłością, pan oszukując jéj serce, ja chcąc ją uleczyć. Oh! to okropnie!....

— Ale czyż można umrzeć z miłości? zawołał pan d'Arzigny.

— Widzisz odpowiedziała młoda kobieta, klękając przy zimnych zwłokach Stelli.

Oboje oniemieli z boleści.

Dziesiąta wybiła. Noc była spokojna, i widna wierzby i topole drzały roskosznie, nie słychać już było śpiewu skowronka, ale dzwon daleki, wzdychał jak dręczona dusza; a rosa perłami swojemi okryła ciało Stelli. Nazajutrz znalazłszy ją myślano że młoda dziewica zasnęła na ziemi, że słaba i chorowita, była przejęta chłodem nocy, szkodliwym przez sąsiedztwo i mgły Marny!..

WĄWÓZ w ABRUZZO.

(Z dziennika podróży.)

Było to w ponurym dniu Października. Wracałem z starego królewskiego zamku Scond, i około 3ciéj godziny po południu, znalazłem się przed miłym ogniem z węgli w oberży „pod ukłonem“ w starém mieście Perth. Zamówiłem sobie miejsce w *Spread Tagle* (Szybko-poczta) udającym się do Edynburga, nie pozostało mi zatém nic więcéj, jak tylko czekać na mój obiad, do którego przygotowania już były poczynione. Na stole leżał tom „Opowiadań podróżnika“ przez Washingtona Irwing; postanowiłem więc czytaniem tych dziwnych przygód, zapełnić nudną porę, jaką jeszcze musiałem przeczekać; i istotnie, zajęcie moje do tego stopnia doszło, że mimo poprzedniéj niecierpliwości mojéj, bardzo niechętnie wstałem na odgłos trąbki pocztyljona, i zająłem miejsce w powozie, gdzie już dwie osoby siedziały, które z wielu powodów uważałem za męża i żonę.

Mąż był człowiekiem mającym około lat 50ciu. Zajął on miejsce w jednym kącie powozu i to w ca-

łém znaczeniu wyrazu zajął, bo objętość jego godna była zastanowienia. Niski z szerokiém rondem kapelusz, naciśnięty był na jego oczy, a obszerny hiszpański płaszcz z niebieskiéj bai z czerwonym kołnierzem, dobrze na kark wciągnięty, z całéj twarzy pozwalał tylko widzieć parę czarnych oczek świécących się jak u szczura, i dwa wzgórki, z których jeden był końcem nosa, a drugi brodą. Ogromne kosmy rzadkich włosów zakrywały jego uszy, nakoniec, wszystko w nim okazywało silnego handlarza bydła z nizin.

Jego żona — bo za taką uważać ją musiałem, słysząc częste „mój miły", „moja miła" w rozmowie jéj z grubym jegomością, była z powierzchowności, zupełną z mężem sprzecznością. Skurczona i sucha, głos jéj piszczący przepowiadał wielką wprawę w kłótni i łajaniu. Zawsze i wiecznie uciekała się do ogromnéj tabakiery, ale i bez tego z łatwością poznać by można było jéj skłonność do tego „szkodliwego chwastu" Sir Waltera Raleigh, po szczególnym wyrazie i kształcie jéj nosa i ust, które są właściwemi wszystkim zwolennikom tego szanownego proszku.

Ponieważ wesołe dni przedślubne i miodowy miesiąc, dawno już dla nich przeminęły, wzajemnie więc *bardzo mało* mieli sobie do powiedzenia. Już mrok zapadał, ostatnie blaski dnia nikły za szczytami gór, gdyśmy jechali po wzgórku Kinnoul. Oczom handlarza bydła, który siedział jak

niedźwiedź w swoim kącie, już się ślepy zalecał, a przy spadzistości drogi, obawiałem się, żeby na mnie nie oparła się spiczasta głowa jego połowicy, odbywająca w téj chwili ruch podobny do ruchu kiwających się gipsowych figurek.

Wieczór był pochmurny i ciepły, i tu i owdzie pojedyńcze gwiazdki błyszczały na tle czarniawém. Wzgórza i lasy były ciemne i ponure, a gdy podbródek mój spoczął na parasolu stojącym między memi kolanami, wyobraźnia stawiła mię w górzystych pustyniach Appeninów i Abruzzo, które niegdyś przebywałem, i których wspomnienie, trafny ich obraz, skreślony przez autora „*przypadków człowieka osłabionych nerwów*“ żywo w mojéj pamięci odnawiał.

Szczególniéj jedno zdarzenie wyraźnie unosiło się przed mojemi oczyma. Nigdy nie zapomnę owego wieczora. Powóz pocztowy o trzeciéj godzinie po południu wyjechał z Istrji, i spodziewaliśmy się jeszcze przed nocą dostać się do Rocca Priori, bo słońce było dość wysoko, a wschodzący księżyc wróżył jasny wieczór.

Było nas trzech cudzoziemców; przypadek złączył nas od trzech dni, i to tym jedynie węzłem, że wspólny mieliśmy cel podróży.

Zdaje mi się, że widzę jeszcze, siedzącego na przeciw mnie, tyłem do dwóch nędznych szkap, z nędzniejszym jeszcze zaprzęgiem, wesołego kapucyna, którego talent opowiadawczy ograniczał

się na opisaniu zdarzeń z życia zakonnego, a jednak te powieści były tak pełne tkliwości i prostéj piękności, że istotnie słuchającym przychodziła chętka porzucenia świata, i schronienia się za kratę. Obok mnie, siedziała bardzo kształtnéj postaci dama, przez któréj zasłonę mogłem dostrzedz ślady piękności, nie przygaszonéj ani milczeniem ani spuszczonemi oczyma. Bogata, futrem obłożona salopa zawieszoną była na jéj ramionach, dla zasłonienia jéj od wilgoci wieczornéj i chłodu, który w tamtych okolicach po zachodzie słońca bardzo jest ostry. Łatwo było poznać, że bieg jéj życia był smutny, i że chmury te jeszcze nie przeszły. Podróżowała pod opieką kapucyna, i zdawało się, że klasztor jest celem jéj podróży.

W małéj gospodzie na drodze zmieniliśmy konie, i pojechaliśmy daléj, nie wysiadając z powozu. Droga nasza stawała się coraz ostrzejszą i spadzistszą, i co chwila słyszeć się dawał trzask bicza woźnicy. Zwolna przebywając tym sposobem spadziste wzgórki, mieliśmy czas uważać piękne i ciągle zmieniające się obrazy przyrodzenia, dzikie ptastwo przelatywało w gęstwinie, na zachodzie słońce jasno jeszcze błyszczało, a gra cieni i światła przepysznie wydawała się na zębatych szczytach dziko porosłych opok i w drzémiącym brzasku dolin, w których łono setne potoki z szumem się z gór rzucały. Droga ciągle była ostra, konie znużone, i nie jedno „Cospetto“

albo „Corpo del Bacco“ wychodziło z ust nieukontentowanego woźnicy.

Wieczór widocznie już zapadał. Kapucyn siedzący naprzeciw mnie, kręcił się niespokojnie na swojém siedzeniu, jakby mu już się nudziło, i bystro na mnie spojrzawszy, rzekł głosem nieśmiałym: „Obawiam się, żeby nas noc w tych górach nie zaskoczyła. Jesteśmy jeszcze o siedm mil od naszego celu, a drogi te ciągle bywają teatrem rabunków i morderstw. Powinniśmy byli już oddawna stanąć w Rocca Priori, daj Boże żebyśmy kiedykolwiek chociaż tam zajechali.

— Per l'amore di Dio! nie mówcie tak! zawołała piękna signora, zrywając się z przestrachem; o mój Boże, bylebym tylko żywo w ręce okrutnych bandytów nie wpadła. Śniło mi się właśnie, że przeszłam do życia tak spokojnego, ale niestety! niedola jest stale moim udziałem! Najlepiéj podobno uczyniemy, jeźli wysiądziemy i wrócimy do miasteczka.

— Nie lękaj się Imildo, rzekł kapucyn uspakajającym głosem. Niebezpieczeństwa téj drogi mogą być przesadzone, prócz tego, chociaż stan mój nie pozwala mi nosić oręża, nie wątpię jednak, że nasz towarzysz podróży nie jest bezbronny.

— Przyznaję, odpowiedziałem szukając moich pistoletów w kieszeni powozu, że nie jestem tak uzbrojony jakbym być powinien stosownie do

niebezpieczeństw, jakie nam grożą; nie spodziewałem się bynajmniéj, żeby droga ta była tak niepewną, jak wy utrzymujecie.—Szukałem tu i owdzie w obu kieszeniach powozu, ale nigdzie nie mogłem znaleźć pistoletów.

— Rzecz szczególna, zawołałem. Może zostawiłem pistolety na stole w oberży, ale nie! pamiętam dokładnie, że włożyłem je w tę kieszeń, wtenczas właśnie kiedyście państwo weszli do powozu, a potém wróciłem się jeszcze po płaszcz. Tak jestem tego pewny, jak że tu siedzę.

— Istotnie, odezwał się kapucyn, to jest dziwne i prawie niepodobne do wiary; ale to jest dowiedzione, że bardzo często zdaje nam się, że uczyniliśmy to co mieliśmy zamiar uczynić; w takim przypadku trudno zapewnić, bo nasza pamięć bierze zamiar za wykonanie. Już to bezwątpienia niebezpieczeństwa tutejszych dróg przesadnie są opisane, bo nareszcie niepodobna, żeby ludzie tak mogli być bez serca, aby nie przebaczyli bezbronnéj niewieście i pokornemu słudze ołtarza; spodziewam się, że towarzystwo nasze będzie dla pana dostateczną obroną.

Serce moje nie pozwoliło się uspokoić rozumowaniem szanownego towarzysza méj podróży, które okazywało tyle prostoty i niewiadomości złéj strony świata.—Daj Boże, szanowny ojcze, odpowiedziałem, żeby serce ludzkie takiém było jakiém je wystawiacie!

— Czy nie masz pan żadnéj innéj broni przy sobie? zapytał kapucyn.

Przypomniało mi się, że miałem laskę, w któréj była szpada.—To jest także rodzaj broni, rzekłem, wysuwając ostrze szpady, i w ostatnim razie mógłby nas cokolwiek zasłonić.

— Pokażno pan ostrze, zawołał kapucyn głośno, bo jechaliśmy z spadzistéj góry, a tuż obok nas gwałtownie spadający potok, szumem swoim głuszył rozmowę naszą.

Kiedym wydobył całe ostrze, dostrzegłem w twarzy kapucyna początek szczególnego uśmiechu, który mimo woli jego objawiał się.

— Klinga jest cieńka, musi być chyba z doskonałéj stali.

Uśmiech kapucyna zmięszał mię.

— Eh! mówił on daléj, to jest piórko, cóż ono zdoła przeciw hordzie bandytów!

W téj chwili piękna signora pochyliła się i westchnęła tak głęboko, iż byłem w obawie, aby nie zemdlała.

— Daj Boże! żeby nas w tych dzikich wąwozach nie zatrzymano, zawołał kapucyn. O, niech tylko raz jeszcze dostanę się do spokojnych murów klasztornych, ręczę, że prędzéj kwiaty pomarańczowe rozwiną się w Styczniu, niżeli ja podejmę się podobnego poselstwa.

— Ach! westchnęła signora, widzę, że ściągam nieszczęście, na wszystko co zemną ma styczność. Bodajbym była umarła pierwéj, jeżeli mam być przyczyną waszéj niedoli wielebny ojcze.

Wjechaliśmy właśnie na wzgórek, z którego mogliśmy dostrzedz, że w koło otacza nas ciemna, górzysta okolica. Tu natura panowała w całéj swojéj dzikiéj wzniosłości. Nigdzie oko nie dostrzegało śladu ludzkiego, ani dzieł rąk śmiertelnych. Nad stromemi i przerażającemi otchłaniami, wisiały odwieczne drzewa, których korzenie zdawały się tajemnym jakimś sposobem przytwierdżonemi. Tu i owdzie okazywała się dzika koza na najwyższym szczycie nagiéj skały; z rozpadlin rzucały się pieniste potoki, których wody, błysnąwszy w ostatnim promieniu słońca, wesoło wpadały w ponure i ciemne doliny. A nad wszystkiém wznosił się zuchwale orzeł, kąpiący swe skrzydła w złotych falach zachodu.

Zjeżdżaliśmy wężykowatą drogą; nagle rozjaśniło się; w odległości, między dwoma pagórkami, na płaszczyznie oświeconej jeszcze ostakiem dnia, dostrzegłem wyraźnie postaci ludzkie, poruszające się w tę i ową stronę.

Na Boga! to zbójcy. Odzież ich w jaskrawych kolorach, stożkowate z dużemi rondami kapelusze, a za pasem błyszczały sztylety i pistolety. Niektórzy z nich leżeli na darninie, dowód, że nie widzieli jeszcze naszego powozu inni; siedzieli około ognia rozłożonego przy wnijsciu do jaskini.

— Czy widzicie to? zapytałem kapucyna podając mu perspektywę.

— Na świętego Januarjusza! już po nas! zawołał tenże z zadziwiającą zimną krwią. To są ludzie okrutni i na wszystko gotowi; najlepiéj uczyniemy zdając się na łaskę. Każdy z nich, dwóch weźmie na siebie; sądzę, że niepodobna żebyśmy oparli się im zapomocą téj słabéj broni, którą pan trzymasz.

To mówiąc podrapał się po łysinie i uśmiechnął, a raczéj rozśmiał się. Co się ciebie tyczy, piękna Imildo, dodał, radzę ci, przygotuj się na to co cię czeka. Nie jest to najgorszém w świecie położeniem, być narzeczoną bandyty, a sądzę, że taki los jest dla ciebie zgotowany.

Nagła myśl przyszła mi do głowy. Bandyci nie dostrzegli nas jeszcze; postanowiłem więc przekonać się, czy podejrzenie moje jest słuszne. Zawołałem na woźnicę, żeby się zatrzymał, i rzekłem: wysiądźmy póki czas jeszcze.

Powstałem, i odwracając się do damy siedzącéj w powozie, dodałem: Jeśli pani chcesz wysiąść, ofiaruję jéj moją pomoc i na słowo szlachcica zaręczam, że nieodstąpię cię, cokolwiekby wypadło. Stój! *veturino*! hola stój!

— Jedź! krzyknął całym głosem kapucyn, i przykładając mi rękę do ust, silném pchnięciem przymusił mię usiąść, a w téj chwili jeden z moich własnych pistoletów zabłysnął przed memi oczyma.

— Zaknebluj mu usta! zawołała w tejże chwili signora, i uczułem, że mię ktoś schwycił za rękę

nie kobiecemi rękami. Spojrzałem na signorę, która zrzuciwszy zasłonę i maskę, okazała mi duży nos orli i gęste czarne wąsy.

Rozpaczającém wysileniem odepchnąłem na bok rękę mniemanego kapucyna, pistolet wystrzelił, i w téj chwili tak mocny krzyk powstał, iż z najwyższém natężeniem obudziłem się.

— Trzymajcie go! trzymajcie! wołał handlarz koni, on jest szalony, wściekły, obłąkany!

— Stłukł szybę w powozie! zawołała chuda jéjmość.

— Uderzył mię w głowę, odpowiedział jéj towarzysz.

— Na pomoc! na pomoc! zabójstwo, morderstwo, chórem zawołali oboje.

Kiedy pocztyljon otworzył drzwiczki, aby się dowiedzieć co jest przyczyną zamięszania, jeszcze nie zupełnie byłem przebudzony; po chwili jednak przyszedłszy do siebie, udało mi się przekonać moich towarzyszy, że nie jestem szalony, i że miałem sen niespokojny, w którym wyobraźnia moja przedstawiła mi zdarzenie odmalowane na obrazie wiszącym w gościnnéj izbie oberży „pod ukłonem.“

DOMINO.

DO JOZEFA G...

Chciałeś Józefie, ażebym treściwie
Do gry Domino prawidła wyłożył;
Łatwo zażądać, lecz wierz mi prawdziwie,
Żeś trudny na mnie obowiązek włożył.
Jednak Twe chęci przyjmuję życzliwie,
A kiedyś we mnie Twą ufność położył,
Niechciéj pomocy w méj pracy odmawiać,
I ucz mię w grze téj nogi śmiało stawiać.

Niech twoje światło udzieli mi rady,
Niechaj ją z płynnych ust Twoich usłyszę,
Nie będę sprzecznie szukał z Tobą zwady,
Twe zdanie lepsze, i ja się uciszę;
Wymień kolejno, jakie gry zasady,
Co ty wyrzekniesz, to ja wraz napiszę.
Tak gdy mi Twoją udzielisz osnowę,
Może ukleję prawo dominowe.

Bez *animuszu*, owszem wdzięcznie, mile,
W koło obsiada stoliczek zielony

Czterech grających; każdy w równéj sile;
Równą kamieni liczbą obdzielony.
Ich szykowaniem zająwszy się chwilę,
Uważa z któréj napaść przyjdzie strony,
A plantę sobie ułożywszy grania,
Oczom ciekawym kamienie zasłania.

Dwa pola znajdziesz na każdym kamieniu,
A w każdém polu inny numer stoi,
Tak kształtnie, że się w jedném oka mgnieniu
Każdy dokładnie z swoją grą oswoi.
Jeśli są dobre, będzie w zapewnieniu,
Że do skończenia gry placu dostoi;
Jednak potrzeba tak się wymiarkować,
Żeby w gry ciągu nigdy nie passować.

Minąć nie mogę o tych polach wzmianki,
Które częstokroć wielką rolę grają,
Zwykle je gracze nazywają: *blanki*,
Ztąd, że żadnego numeru nie mają.
A te gdy zbrzeżne obsadzają szranki,
Większym numerom przystępu wzbraniają,
Tak gdy grę zamkniesz, te co pozostały,
Jeśli najmniéjsze numera, wygrały.

O ile Twoją naukę pojmuję,
Ma Muza, grania zasady przedstawi.
Najwyższa para na plac występuje,
Poczém następny gracz swój kamień stawi.

A tak koléjno gdy się postępuje,
Dziwną figurę obraz kości sprawi,
I coraz nowym kształtem pieści oko,
Nie utrudziwszy umysłu głęboko.

Liczby jednakie muszą siebie tykać,
Ale potrzeba mieć na bacznym względzie,
Żeby z początku drogi nie zamykać;
Więc się starajmy, by na skrajnym rzędzie,
Z takim numerem naprzód się pomykać,
Jakich choć kilka w ręku naszym będzie,
Bo raz odkryty i raz postawiony,
Zostaje w miejscu kamień niecofniony.

Chociażby było z twoim planem sprzecznie,
Niech, jaki musi, twój kamień wychodzi;
Zataić numer, bardzo niebezpiecznie,
Bo tą zasadzki podejrzenie rodzi,
I oprócz kary, taka gra koniecznie
Nic nie pomoże, owszem tylko szkodzi.
Rzetelność sama tutaj przewodniczy,
Podstępem nigdy nie zyskasz zdobyczy.

Gry kombinacje bardzo są obfite;
Abym je wszystkie objął prawidłami,
Z nich wyliczyłem tylko znakomite,
W dalszym zawodzie radźcie sobie sami.

Niech plany twoje wszystkim będą skryte,
Niechaj rozsądek kieruje krokami,
Wszystkie się twoje kamienie wywiną,
I z pustą ręką zawołasz: *Domino!*

POSTRACH GRZECHOTNIKÓW.

(Podanie amerykańskie.)

Między pierwszemi osadnikami w bliskości zielonych gór Vermont, żył człowiek, który przez zamiłowanie téj okolicy, zamieszkał w niéj z swoją żoną, młodą i piękną kobiétą. Zyli tam już od roku, i przezwyciężyli wszystkie przeszkody, jakie tamtejsi osadnicy napotykają. Zaczęli już cieszyć się owocem swéj pracy, i mieszkanie ich stawało się dla nich przyjemném. Nie obawiali się już Indjan, a celna strzelba męża, wstrzymywała dzikie zwierzęta sąsiednich lasów. Jedyne niebezpieczeństwo, na jakie jeszcze mogli być narażeni, było ukąszenie grzechotników, które obficie znaj-

dowały się w pobliskości. Wiele osób umarło w skutku ran przez te węże zadanych. Dnia pewnego udał się do lasu na polowanie w towarzystwie swéj żony. Pogoda była piękna, ale słońce nadzwyczajnie dopiekało. Młoda kobiéta, znużona drogą i upałem, usiadła na zwaloném drzewie, oczekując powrotu męża, który tropił ślad jelenia, pnąc się z skały na skałę, aby dostać się na zieloną równinę rozciągającą się u stóp góry. Wtém zobaczył nadzwyczajnie wielkiego grzechotnika. Przestraszony, patrzał na niebezpieczne zwierze, które o kilka tylko kroków przed nim, zdawało się namyślać, czy ma się odważyć na skok w głąb przepaści.

Nagle, wąż zwinął długie swe ciało, i jakby błagając o łaskę, zwrócił na strzelca oczy, w których żadnego śladu nienawiści i okrucieństwa nie było, owszem, zdawały się one słodycz i życzliwość wyrażać. Było coś tak szczególnego w poruszeniach zwierzęcia, że strzelec stał przez kilka chwil w milczeniu. Wąż błyszczał najświetniejszemi kolorami, mieniącemi się z zielonego w purpurowe i złoto. Niepostrzeżony przysuwał się coraz i coraz bliżéj; jakaś szczególna muzyka dała się słyszeć, podobna prawie do dźwięków pieśni słowika, i zwierze znikło nie wiedział gdzie. Zdawało mu się zrazu, że znajduje się w jakimś tajemniczym świecie kolorów, które to jaśniéjszemi, to ciemniéjszemi się stawały, i nakoniec w czarowne jakieś światło roz-

pływały się. Dźwięk uroczéj harmonji brzmiał jeszcze ciągle. Pot oblewał jego czoło, drżał, i ledwie na nogach mógł się utrzymać. Jestże to sen? zawołał, cóż mię wstrzymuje?—Usiłował odejść z tego miejsca ale nogi jego były jakby uwikłane albo wrośnięte w skałę. Nieszczęśliwy, był oczarowany!

Wtém inny dźwięk obił się o jego uszy—smutny, jęczący głos ludzki. Dwakroć słyszał go, ale niemógł się poruszyć. Biała postać niewieścia schwytała go za rękę, i jéj oddech ocucił go z czarodziejskiego snu. Muzyka i bląsk kolorów znikły. Około nóg jego wił się grzechotnik z ognistemi oczami i syczącym językiem. Przerażona małżonka jego spoczywała w jego objęciu. W mgnieniu oka wąż rzucił się na nich. Żona tylko stała się jego ofiarą. Jad rozszerzał się tak prędko jak myśl człowieka; jęki nieszczęśliwéj przypomniały jéj mężowi los, jaki i jego czekał.

Wściekły rzucił się na węża, który teraz szybko starał się uciec. Zemsta jego, nasyciła się dopiéro kiedy ujrzał zabity potwór na kawały o ostrą skałę rozdarty.

Cierpienia konającéj żony powołały go do niéj. Przerażony przypatrywał się sinéj ranie która co chwila czarniéjszą się stawała. Znajdowali się zdala od swego mieszkania, i żadnéj żyjącéj listoty nie było w bliskości; szli jednak nie jaki czas, nakoniec okropne boleści pozbawiły nieszczęśliwą zmysłów, i upadła na ziemię.

Chociaż wycieńczony trudem, rozpaczający mąż zaniósł ją do pobliskiego strumienia, i orzeźwił jego wodą. Podniosła się cokolwiek, ale nie była w stanie wznieść głowy, która bez poruszenia na piersiach jéj spoczywała. Kilka godzin upłynęło, a nikt nie przybywał na pomoc biednym małżonkom. Samotnie wśród lasu nieszczęśliwy patrzał na skonanie swéj kochanéj żony.

Od téj chwili, tylko zemsta zajmowała myśl jego, i poprzysiągł całe swoje życie poświęcić wyniszczeniu grzechotników, téj okropnéj plagi tamtych okolic. Wiernie dopełnił przysięgi, tysiące węży padło pod jego strzałami. Z téj przyczyny nazywano go *postrachem grzechotników*, i pod tém imieniem znanym był powszechnie. Przed kilkunastu laty widziałem go już posiwiałym starcem, i nigdy nie zapomnę łez które wylewał wspomniawszy swoją nieszczęśliwą żonę, i wyrazu twarzy jego, kiedy rzekł do mnie: „Te przeklęte potwory, spodziéwam się, że nie długo już będą szkodzić ludziom. Nie wierz pan, żeby to były węże; to są słudzy szatana, posłańcy piekła.“

HRABIA HORACE. (*)

(Alexander Dumas.)

Łowy ustały, wrócono się do zamku. Wchodząc do salonu, hrabia Horace de Beuseval prosił o przebaczenie, że nie może pozostać dłużéj; wymawiając się że przyjął zaproszenie na obiad w Paryżu. Uczyniono mu uwagę, że ma przebyć piętnaście lieues, a tylko pozostaje mu cztery godzin, aby na czas tam przybyć; hrabia odpowiedział, że koń jego przyzwyczajony jest do podobnych wypraw, i kazał służącemu żeby go przyprowadził.

Ten służący był to malajczyk, którego przywiózł z sobą hrabia z podróży odbytéj do Indji, dla odebrania znacznéj sukcessji. Zachował on ubiór swego kraju. Chociaż od trzech już lat mieszkał we Francji, mówił jednak tylko swoim krajowym językiem, w którym hrabia znał kilka wyrazów, potrzebnych do wydawania niektórych wykazów. Malajczyk z zadziwiającą szybkością wypełnił rozkaz i za kilka chwil ujrzeliśmy dwa konie, których piękności wszyscy nie mogli się do-

(*) Jest to wyjątek z romansu pod tytułem: **Sala broni**, którego dwa pierwsze tomy wyjdą w Paryżu w połowie Maja.

statecznie wydziwić; istotnie były to nadzwyczajnie piękne zwierzęta.

Odprowadziliśmy hrabiego aż na taras; pani de Lucienne, która jak zdawało się nie miała czasu oświadczyć mu swego podziękowania, prosiła go, aby jak najspieszniéj wracał. Hrabia przyrzekł to, rzucając w koło spojrzenie, które przymusiło mię spuścić oczy; kiedym podniósł głowę, hrabia już siedział na koniu, i ukłoniwszy się raz jeszcze hrabinie de Lucienne, pożegnał nas wszystkich przyjacielskiém skinieniem, puścił koniowi cugle, i znikł wkrótce w zakręcie drogi.

Wszyscy pozostali na miejscu, patrząc w milczeniu za odjeżdżającym, bo w tym człowieku było coś wymagającego uwagi. Uwielbiano w nim jedną z tych potężnych organizacji, które natura dla igraszki swojéj mieści niekiedy w ciele z pozoru zbyt słabém; dla tego hrabia był składem sprzeczności. Tym, którzy go nie znali, miał on wejrzenie wątłego człowieka dotkniętego słabością organów. Przyjaciele zaś dobrze go znający, widzieli w nim człowieka żelaznego, zdolnego oprzeć się wszelkim trudom, przezwyciężyć wszystkie wzruszenia, i umiejącego nakazać milczenie wszystkim potrzebom ciała. Jeden z przytomnéj tam młodzieży imieniem Paul, widział go już nieraz, jak po spędzeniu bezsennéj nocy przy stole gry lub biesiadzie; gdy towarzysze jego znużeni, rzucili się na łoże, on jechał na polowanie z nowém

towarzystwem, które znowu się znużyło, a w jego postaci nie zmieniało się nic, wyjąwszy że stawał się bledszym i kaszlał sucho, częściéj jak zazwyczaj.

Nie wiem dla czego słuchałem tych wszystkich szczegółów z nadzwyczajnem zajęciem; bezwątpienia zdarzenie, którego byłem przed chwilą świadkiem, zimna krew, którą hrabia okazał, świeże wzruszenie jakiego doznałem, były przyczyną tak mocnego zajęcia się tą szczególną osobą. Trudno byłoby wynaleźć coś stosowniéjszego jak ten nagły odjazd, który zostawił zamek prawie pustym; tyle oddalający się wywiérał wpływu na wszystkich mieszkańców.

Doniesiono, że obiad już na stole. Rozmowa, przerwana przez chwilę, odzyskała przy wetach całą dawną żywość, i jak z rana, hrabia był jéj ciągłym przedmiotem; wtedy, zaczęła się rozprawa o jego nadzwyczajném postępowaniu, o majątku, którego źródło było niezuane, i odwadze, którą jeden z biesiadników przypisywał zręczności w użyciu szpady i pistoletu. Paul stanął jako obrońca tego, który mu życie ocalił. Życie hrabiego podobne było do życia wielu modnych ludzi; majątek otrzymał po bogatym stryju, który przez lat piętnaście bawił w Indjach. Co do odwagi, była to podług niego rzecz najmniéj potrzebująca dowodów; ponieważ nietylko dał jéj przykłady w kilku pojedynkach, z których wychodził

prawie zawsze zupełnie bez szkody, ale nawet w innych okolicznościach. Opowiedział ich kilka, jedna z nich głęboko się wyryła w méj pamięci.

Hrabia Horace, przybywając do Goa, zastał już swego stryja umarłego; testament mianował go głównym dziedzicem, chociaż jeszcze dwóch było krewnych w tym samym co on stopniu, i tym sposobem ujrzał się panem ogromnego majątku. Zresztą, ci dwaj krewni służyli w wojsku angielskiém, i byli dość sami z siebie bogatemi. Przyjęli więc swego kuzyna, jeśli nie z uprzedzającą przychylnością, przynajmniéj grzecznie, i przed odjazdem jego do Francji, zaprosili go na ucztę pożegnalną, którą on przyjął.

Był wówczas młodszym o lat cztery; ledwie wyglądał na ośmnaście lat, chociaż już ich 25 liczył; jego kibić kształtna, bladość twarzy i białość rąk, dawały mu pozór kobiéty przebranéj za mężczyznę. Dla tego, na pierwszy rzut oka, oficerowie angielscy z postaci młodzieńca sądzili o jego odwadze. Hrabia z swojéj strony, z tą szybkością sądu, jaką się zawsze odznaczał, pojął od razu wrażenie, jakie na nich uczynił, i pewien, że jest celem żartobliwych uwag swoich gospodarzy, postanowił mieć się na ostrożności, i nie oddalić się z Bombaj, nie zostawiwszy po sobie jakiegokolwiek wspomnienia. Siadając do stołu dwaj anglicy, zapytali się swego kuzyna, czy umie

po angielsku; ale hrabia, jakkolwiek posiadał ten język tak jak swój rodzinny, odpowiedział skromnie, że ani słowa nie rozumie, i prosił ich, aby mówili po francuzku ile razy zechcą, żeby należał do rozmowy.

To oświadczenie było nieopisaną pociechą dla Anglików, i od piérwszego dania hrabia ujrzał, że jest przedmiotem ciągłych ucinków. Znosił jednak wszystko co słyszał, z uśmiechem na ustach i wesołym wzrokiem; tylko lica zbladły, i po dwakroć zęby jego strzaskały brzeg szklanki, którą do ust poniósł.

Przy wetach rozmowa ożywiła się po dobrém francuzkiem winie, i wspomniano o łowach; wtedy zapytano się hrabięgo, na jaką zwierzynę zwykł polować, i w jaki sposób. Postanowiwszy nie zmieniać roli aż do końca, odpowiedział, że poluje albo z wyżłem na kuropatwy i zające, albo z ogarami na lisy i sarny.

— Ach! ach! zawołał śmiejąc się jeden z biesiądników, pan polujesz na lisy i zające, a my tu polujemy na tygrysy.

— A w jaki sposób? zapytał się hrabia z dobrodusznością wybornie udaną.

— W jaki sposób? odpowiedział ktoś inny; na słoniach, z niewolnikami, z których jedni uzbrojeni w dzidy i kordelasy, zaczepiają zwierza, a inni nabijają nam strzelby, z których dajemy doń ognia.

— A, to musi być wielka przyjemność! zawołał hrabia.

— Wielka szkoda, odezwał się jeden z Anglików, że pan tak prędko odjeżdżasz... moglibyśmy ci tę przyjemność sprawić...

— Istotnie, żałowałbym mocno, gdybym musiał tak przyjazną okoliczność opuścić; i gdybym wiedział, że niedługo wypadnie mi czekać, zostałbym.

— Ach! zawołał jeden z kuzynów, to wybornie. O trzy mil stąd, w bagnie rozciągającém się wzdłuż gór od strony Suraty, tygrzyca z małemi. Indjanie, którym porywa barany, w czoraj nam o niéj donieśli; chcielibyśmy czekać aż małe podrosną trochę, żeby już *en forme* polowanie zrobić, ale ponieważ wydarza się sposobność sprawienia panu przyjemności, któréjbyś nie doświadczył nigdy w Europie, przyspieszymy wyprawę o jakie trzy tygodnie.

— Wdzięczen panom jestem nieskończenie; ale czy tygrzyca pewno znajduje się tam gdzie mówią?

— Nie ma wątpliwości.

— Czy można dokładnie wiedzieć gdzie jest jéj legowisko?

— Najłatwiéj, trzeba tylko patrzeć z wyższego miejsca, widać jej scieżki w trzcinie i wszystkie schodzą się w jedném miejscu.

— A więc! zawołał hrabia napełniając puhar i powstając jakby dla wzniesienia toastu; piję do tego, kto pójdzie zabić tygrzycę w jéj legowisku, sam, pieszo, bez innéj broni, jak ten sztylet. Mówiąc to, wziął od jednego z niewolników malajski sztylet i położył na stole.

— Czyś pan zmysły postradał? zapytał jeden z biesiadników.

— Nie panie, odparł hrabia z goryczą pomięszaną z pogardą; i na dowód, ponawiam mój toast. Słuchajcie więc dobrze, aby każdy wiedział do czego obowiązuje się jeśli spełni ten kielich: do tego, kto pójdzie zabić tygrzycę w jéj legowisku, sam, pieszo, i bez innéj broni jak ten sztylet!

Przez chwilę panowało milczenie, podczas którego hrabia kolejno badał wszystkie twarze przytomnych.

— Nikt nie odpowiada, rzekł z uśmiechem.... nikt nie śmie przyjąć mego toastu...a więc ja sam pójdę... a gdybym nie poszedł, powiecie że jestem nikczemny, tak jak ja powiadam, że wy, jesteście tchórze.

Wypróżnił puhar, postawił na stole i odwracając się ku dworzanom: — Do jutra panowie, zawołał, i wyszedł.

Nazajutrz o szóstéj godzinie zrana, gotów już był do téj okropnéj wyprawy, gdy wtém weszli jego współbiesiadnicy. Przyszli oni prosić go, żeby zaniechał swego przedsięwzięcia, którego skutek niechybną śmierć mu wróży.

Ale hrabia nic nie chciał słuchać. Wyznali następnie, że postępowanie ich wczorajsze nie było szlachetne. Hrabia podziękował im za to tłómaczenie się, ale niezachwianym był w postanowieniu. Żądali, aby wybrał jednego z nich, i pojedynkował się z nim, jeźli czuje się tak obrażonym, że bez zadość-uczynienia obejść się nie może. Hrabia odpowiedział uszczypliwie, że jego zasady nie pozwalają mu rozlewać krwi bliźnich, że z swojéj strony odwołuje wszystkie słowa, które mogły kogokolwiek obrazić, ale co do tego polowania, nic w świecie nie skłoni go do zaniechania go. Potém prosił tych panów, żeby wsiedli na konie i pojechali za nim, upewniając, że chce ich tylko mieć świadkami z daleka walki, którą sam ma stoczyć. To postanowienie wymówione było głosem tak stałym, zdawało się tak niezachwianém, iż nikt już nie myślał odradzać hrabiemu, i całe towarzystwo udało się do wschodniéj bramy miasta, gdzie schadzka była naznaczoną.

Orszak posuwał się ku wskazanemu miejscu; każdy z jeźdźców uzbrojony był karabinem lub dubeltówką. Sam tylko hrabia był bezbronny; ubrany był jak modny elegant paryzki, udający się na przechadzkę na pola elizejskie. Wszyscy spoglądali po sobie z podziwieniem, nie mogąc uwierzyć, żeby młody francuz był w stanie zachować taką zimną krew aż do końca.

Zbliżając się do granic bagna, oficerowie sprobowali raz jeszcze namowy, aby hrabiego odwieść od jego szalonego przedsięwzięcia. W ciągu rozmowy, jakby dla dodania większéj wagi słowom doradzców, dał się słyszéć przeraźliwy ryk, z odległości zaledwie kilkuset kroków; konie niespokojnie biły kopytami ziemię i rżały.

— Widzicie, panowie, rzekł hrabia, że już za późno. Tygrys wie już po co tu przybyliśmy, a nie chciałbym, opuszczając Indje, których może już nigdy więcéj nie ujrzę, zostawić fałszywe o mnie zdanie, nawet u zwierząt. Daléj, mości panowie!— I puścił galopem konia, aby wydostać się na wzgórze, z kąd można było objąć wzrokiem całe bagno, wpośród którego miało być legowisko tygrzycy. Kiedy zbliżyli się do podnóżka wzgórka, dał się drugi ryk słyszéć, ale tak silny i bliski, że koń uskoczył w bok i ledwie nie wyrzucił jeźdźca z siodła; wszystkie inne zapienione, z otwartemi nozdrzami i błędném okiem, drżały jakby dopiéro wyszły z wody mrozem ściętéj. Jeźdźcy zsiedli i oddali wierzchowców niewolnikom, a hrabia najpierwszy zaczął piąć się na wzgórek, z którego spodziewał się obéjrzeć bagno.

Istotnie, dostawszy się na wzniosłe miejsce, mógł po zdeptanéj trzcinie rozpoznać ścieszki okropnego zwierza, z którym miał walczyć; wszystkie schodziły się w jednèm miéjscu, gdzie zupełnie zgniecione trawy formowały łożysko. Trzeci ryk

wyraźnie wychodzący z tego miejsca rozprószył wszelką wątpliwość, i Hrabia wiedział już, gdzie miał szukać swego przeciwnika.

Wtedy najstarszy wiekiem z całego towarzystwa zbliżył się znowu do niego; ale hrabia odgadując myśl jego, skinął nań zimno ręką, jakby chciał mówić, że wszystkie przełożenia byłyby daremnemi. Potém zapiął surdut, prosił jednego z kuzynów swoich, żeby mu dał szarfę, którą był przepasany, i obwinął nią lewe swe ramie; kazał niewolnikowi podać sztylet, przywiązał go do ręki zapomocą zmoczonéj chustki, nakoniec kładąc na ziemię kapelusz, odgarnął zręcznie włosy, i najkrótszą drogą udał się ku łożysku tygrzycy, zostawiając całe towarzystwo osłupiałe i niemogące jeszcze wierzyć takiéj odwadze.

Postępował on zwolna i z rozwagą, ścieszką zupełnie prostą. Uszedłszy ze dwieście kroków, usłyszał głuche mruczenie, które przekonało go, że przeciwnik ma się na baczności, i że, jeźli go nie widzi jeszcze, przynajmniéj bezwątpienia już go zwietrzył, chwilę jednak tylko zatrzymał się, i znowu postąpił daléj na pięćdziesiąt kroków, zatrzymał się znowu; był już bardzo blisko, bo wokoło rozsypane były kości i krwawe cząstki rozszarpanych przez tygrysa zwierząt. Obejrzał się i pod sklepieniem z liści ujrzał ogromną tygrzycę z ziejącą paszczą, i dwoje małych, które igrały koło niéj jak młode koty.

Co się działo w duszy jego na ten widok, on sam tylko może powiedzieć; ale dusza jego jest przepaścią, z któréj nic nie wychodzi. Przez niejaki czas tygrzyca i jéj przeciwnik patrzeli na siebie w milczeniu; ale gdy z obawy opuszczenia swoich małych, zwierz nie zdawał się chcieć poruszyć, hrabia zatém postanowił zbliżyć się. Przystąpił o cztéry kroki, i nakoniec widząc, że tygrzyca podnosi się, rzucił się na nią. Ci co patrzeli i słuchali, usłyszeli razem ryk okropny i krzyk; widzieli przez chwilę kołysanie się trzciny; potém nastąpiło zupełne milczenie i spokojność; wszystko się skończyło.

Czekali cokolwiek, czy hrabia nie wróci, lecz niepowrócił. Wtedy wstydzili się, że pozwolili mu odejść samemu, i postanowili, ponieważ nie ocalili życia jego, przynajmniéj ocalić jego zwłoki. Postąpili ku legowisku tygrzycy, pełni zapału, zatrzymując się niekiedy chcąc co usłyszéć i znowu idąc daléj; nakoniec doszli na miejsce, i ujrzeli obu przeciwników leżących na trawie; tygrzyca była nieżywa, a hrabia zemdlony. Dwa małe, za słabe jeszcze żeby gryźć, lizały krew matki.

Tygrzyca otrzymała siedmnaście pchnięć sztyletu, a hrabia miał ramię skaleczone zębem, a piersi rozdrapaną pazurami zwierza.

Zabrano hrabiego i łup jego; oboje wniesiono do Bombaj na jednych noszach. A dwa małe ty-

grysy wisiały u siodła malajskiego niewolnika, który je udusił pasem od turbana.

Po piętnastu dniach, gdy rany hrabiego zostały zupełnie wygojone, ujrzał przy swém łożu skórę tygrysią z zębami z pereł, oczami z rubinów, i złotemi pazurami: był to podarunek od oficerów tego pułku, w którym służyli krewni hrabiego.

OSTATNIE UCZUCIA

SKAZANEGO NA ŚMIERĆ.

Jeden z zagranicznych dzienników obejmuje następujące opowiadanie uczuć skazanego na śmierć, który w Anglji został powieszony i następnie wrócony do życia. Ten nieszczęśliwy dopuścił się fałszowania wexli, i za to poniósł tę karę.

Po ostatniém widzeniu się z Elżbietą Clare, młodą dziewczyną, z którą miał bliskie stosunki, tak daléj mówi więzień:

Była czwarta godzina po południu, kiedy odeszła Elżbieta; po jéj odejściu zdawało mi się, że wszystko się już dla mnie skończyło na świecie.

Życzyłem sobie śmierci, i to natychmiast; dopełniłem ostatniej ziemskiéj powinności i najprzykrzejszéj. Im bardziéj wieczór się zbliżał, tém chłodniejsze i wilgotniejsze było moje więzienie, niebo było zachmurzone i posępne. Nie miałem ognia ani światła, ani nawet nakrycia, pod którém mógłbym się ogrzać, a było to w Styczniu. Władze duszy mojéj słabiały zwolna, a serce uległo nakoniec zupełnéj na wszystko obojętności. Powoli, myśl o Elżbiecie i jéj przyszłym losie, zaczęła znikać przed rozwagą nad mojém własnem położeniem. Pierwszy to raz, nie mogę naznaczyć powodu, mój umysł pojął zupełnie karę śmierci, którą za kilka godzin miałem ponieść, i gdym pomyślał o tém, ogarniał duszę moją jakiś okropny przestrach.

Od dwudziestu czterech godzin nic nie jadłem. Poczciwy jeden człowiek przyniósł mi ze swego stołu potrawy, ale nie mogłem ich dotknąć, i kiedy spojrzałem na nie, szczególne powstawały myśli w méj głowie. Były to potrawy bardzo wykwintne, nie takie jakie zwykle dają uwięzionemu; przysłano mi je dla tego, że *jutro miałem umrzeć*. Pomyślałem sobie o zwierzętach domowych i ptakach, które karmią aby je zabić. Czułem że myśli moje nie takie były, jakby przystało w mojém położeniu, i sądziłem, że głowa moja obłąkała się. Jakiś rodzaj głuchego szumu, podobnego do brzęku pszczół w ułu, brzmiał w moich uszach;

nie mogłem się go pozbyć, i choć zupełnie ciemno, migały mi się iskry w oczach, i postradałem pamięć; starałem się zmówić jaką modlitwę, ale ledwie kilka słów mogłem sobie przypomnieć, i te jeszcze zdawały mi się bluźnierstwami. Nie wiem co mówiłem, nie jestem w stanie zdać sobie z tego sprawy. Ale nagle zdawało mi się, że wszystkie moje obawy są próżne, i że nie potrzebuję czekać na śmierć w tém miéjscu. Jednym skokiem byłem już u krat okna, zgiąłem je uwiesiwszy się na nich, bo uczułem lwią siłę w sobie. Potém omacałem wszystkie części zamku u drzwi moich, usiłowałem wyłamać je, choć były okute żelazem, i cięższe niż podwoje kościelne; macałem wszystkie mury aż do najmniejszych kątów mego więzienia, choć byłbym pomyślał będąc przy zdrowych zmysłach, że silne trzyłokciowe ściany nieprzezwyciężoną są tamą, i nie przydałoby mi się na nic, choćbym był w stanie przecisnąć się przez otwór tak szczupły jak ucho igły. Wpośród tych wysileń, uczułem nagłe osłabienie, jakbym trucizny zażył, i ledwie tyle sił zebrałem, że dowlekłem się do miejsca, gdzie moje łoże stało. Padłem na nie, zdawało mi się żem zemdlał. Ale to nie długo trwało, zamąciło mi się w głowie i cała izba kręciła się w koło mnie.

Marzyłem, że już północ, i że Elżbieta wróciła jak przyrzekła, ale jéj wejścia wzbroniono. Zdawało mi się potém, że cała ziemia pokryta była

śniegiem i Elżbieta umarła leżała pod drzwiami mego więzienia. Wróciwszy do przytomności, wyciągnąłem ramiona, ale nie mogłem odetchnąć. Po dwóch lub trzech minutach, zegar kościelnéj wieży wybił dziesiątą, i wtenczas dopiero postrzegłem, że mi się poprzednio marzyło.

Wszedł kapelan więzienia, chociaż nie posyłałem po niego. Upominał mię uroczyście, żebym przestał zajmować się troskami ziemskiemi, a pomyślał o przyszłości i pojednaniu się z niebem, żałując za grzechy moje. Po odejściu jego, długo byłem spokojny. Usiadłem na łożu, usiłowawałem zająć się sobą i przygotować się na los, który mię czeka. Wzmocniłem ducha mego myślą, że kilka tylko godzin zostaje mi na ziemi, i że powinienem przynajmniéj jak mąż umrzeć. Usiłowałem przypomnieć sobie wszystko co słyszałem o rodzaju śmierci, jaką miałem ponieść; że cierpienie trwa tylko chwilę, że ból nie jest dotkliwy, że życie kończy się natychmiast, i z tych myśli przeszedłem do tysiąca innych, nader dziwnych. Zwolna głowa moja mięszała się, i rozsądek na nowo mię odstąpił. Cisnąłem silnie gardło oburącz, aby doświadczyć uczucia, jakie sprawiać może uduszenie. Czułem jak mi ręce w tył wiązano, jak wstępowałem na rusztowanie, ale najprzykrzejszém było mi, kiedy czułem jak mi włożono na głowę białą szlafmycę i ściągnięto na oczy.

Żebym tylko tego jednego mógł uniknąć, reszta byłaby mi zupełnie znośną. W pośród tych marzeń, wszystkie moje członki zajęło jakieś otrętwienie. To zmniéjszyło boleści méj duszy, chociaż ciągle jeszcze myślałem. Kościelny zegar wybił dwunastą, słyszałem jéj brzmienie; ale niewyraźnie pomięszane, jakby przedzierać się musiało przez warowne drzwi więzienia. Co raz nie wyraźniéjsze były myśli błąkające się w mojéj pamięci, nakoniec zupełnie znikły, zasnąłem.

Spałem aż do siódméj z rana, o ósméj mój wyrok miał bydź wykonany. Pukanie do drzwi mojego więzienia obudziło mię. Słyszałem łoskot kilka chwil przed ocknieniem się, i pierwszém uczuciem mojem, było nieukontentowanie jakiego doznaje znużony, kiedy mu nagle przerwą spoczynek. Byłem ociężały i chciałem spać jeszcze. Za chwilę usłyszałem szelest odsuwających się rygli, zewnętrznych drzwi mego więzienia. Wszedł odźwierny z małą lampką w ręku; za nim szedł dozorca więzienia i duchowny. Podniosłem głowę; zimny dreszcz przejął mię, jakby mię w lodowatą kąpiel wrzucono. Blask mię uderzył, znikł sen, jakbym wcale nie spał, jakbym niechciał spać wcale. Czułem zupełnie moje położenie. — „R... rzekł dozorca, łagodnym ale słabym głosem, czas wstać!“ Duchowny pytał się mnie jak noc przepędziłem, i wezwał mię abym z nim razem pomodlił się. Zebrałem siły i siedziałem na kra-

wędzi łóżka. Zęby moje szczękały, i kolana moje drżały. Jeszcze nie zupełnie było widno; a że drzwi mego więzienia stały otworem, mogłem widzieć podwórze; powietrze było gęste i posępne, padał deszcz drobny ale gęsty.

— Już w pół do ósméj, rzekł dozorca.

Zebrałem raz jeszcze siły, i prosiłem aby mię do ostatniéj chwili zostawiono samego. Jeszcze trzydzieści minut żyć miałem.

Chciałem jeszcze coś powiedzieć, w chwili gdy dozorca wychodził; ale niebyłem w stanie ani słowa wymówić, język mój poruszał się w ustach, ale żadnego dźwięku nie mógł wydać. Gdy się oddalili, pozostałem siedząc na łóżku. Zimno mi było, ze snu i z powodu powietrza świeżego, które rzadko kiedy dostawało się do mego więzienia. Skurczyłem się, żeby się cokolwiek rozgrzać; założyłem ręce na piersi, i spuściłem głowę; dreszcz całego mię przebiegł, ciało moje zdawało mi się, ogromnym ciężarem, którego ani podnieść ani poruszyć nie mogłem.

Coraz było widniéj, tak że mogłem widzieć wyraźnie, wilgotne ściany więzienia i czarną podłogę. Dziwno to zdawać się musi, że zwracałem uwagę na takie drobnostki, kiedy za kilka chwil miałem umrzeć. Patrzałem na lampę, którą odźwierny na ziemi zostawił; paliła się bardzo ciemno, i zgasła nakoniec przyduszona niezdrowém powietrzem;

wtedy zdawało mi się, że ona od wczoraj nie była zapaloną. Przyglądałem się żelaznemu łóżku, na którém siedziałem, ogromnym ćwiekom w drzwiach, i wyrazom pisanym na ścianie ręką jakiegoś innego więźnia. Dotknąłem się pulsu, bił tak słabo, że zaledwie mogłem uderzenia jego policzyć. Niemogłem mimo największych usiłowań przypomnieć sobie wyraźnie, że za kilka chwil mam umrzéć. Podczas téj wewnętrznéj walki, zegar zaczął bić godzinę, a ja pomyślałem „Panie zmiłuj się nademną.“ Może to trzy kwandranse na ósmą.—Zegar wybił trzy, potém ośm.

Znowu weszli do mojéj izby; i zastali mię na tém samém miejscu i wtąkiém samém położeniu jak mię zostawili.

To co jeszcze mam powiedzieć, nie wiele miejsca zajmie; dotąd wspomnienia moje są dokładne, ale to co następuje, bardzo słaby tylko ślad zostawiło w méj pamięci. Przypominam sobie zupełnie dobrze, że z więzienia przeszedłem do wielkiéj sali, opiérając się na dwóch starych ludziach czarno ubranych; pamiętam że usiłowałem powstać kiedy weszli z dozorcą, ale nie mogłem.

W wielkiéj sali znajdowali się już dwaj nieszczęśliwi, którzy razem ze mną umrzéć mieli. Ręce ich w tył były związane, leżeli na ławie, czekając aż będę gotów. Kiedy jakiś starzec z białemi włosami, czytał coś głośno jednemu z nich,

przystąpił potém do mnie i powiedział, niewiem co, podobno że mam go uścisnąć.

Trudno mi było utrzymać się na nogach, sądziłem, że te chwile są pełne przerażenia i stałości, znalazłem zupełnie inaczéj; nic nie czułem, tylko słabość, jakby mi serca brakowało, i jakby ziemia na któréj stałem znikała z pod nóg moich. Znakami tylko mogłem odpowiedzieć, żeby mi dał pokój; na to nadszedł ktoś, który starca oddalił. Wtedy zawiązano mi mocno ręce w tył, i usłyszałem, jak oficer rzekł półgłosem do duchownego: „Już wszystko gotowe!“ Gdyśmy odchodzili, jeden z tych czarno ubranych ludzi, zbliżył do ust moich szklankę wody, ale niebyłem w stanie napić się.

Wyszliśmy z sali, i przebywaliśmy długie sklepione korytarze, prowadzące do rusztowania; widziałem lampy gorejące jeszcze, bo światło dnia nigdy tam nie dochodziło. Słyszałem głuchy dźwięk dzwonu, i modlitwę duchownego, który idąc przed nami, czytał: „Jestem zmartwychwstaniem i życiem, mówi Pan, kto we mnie wierzy, żyć będzie nawet po śmierci.

Uczułem raz jeszcze że żyję, i to było ostatnie pojęcie, jakie mogłem schwycić. Uczułem nagłe przejście, z ciasnych lampami oświeconych sklepień, na otwarte powietrze, schody prowadzące na rusztowanie; i postrzegłem niezmierne

tłumy czerniące się przedemną na ulicach, i okna wszystkich pobliskich domów napełnione ciekawemi. Widziałem kościół grobu pańskiego, w odległości w pośród chmur, i słyszałem dźwięk jego dzwonów. Przypominam sobie mgliste niebo, pochmurny poranek, wilgoć pokrywającą rusztowanie, ogromne czarne budowy, a nawet więzienie, wznoszące się ponuro i rzucające na nas długie cienie; pamiętam świeży chłodny wiatr poranny, który silnie wiał mi w twarz, kiedym na rusztowanie wstępował. Dziś jeszcze widzę to wszystko; okropny obraz stoi przed memi oczyma; rusztowanie, dreszcz, twarze patrzących, lud stojący na dachach, dym kłębiący się na dół z licznych kominów, i głuchy szmer który powstał w tłumie, za naszem przybyciem. Nigdy nie objąłem tyle przedmiotów i okoliczności, nawet długo przypatrując się, ile wtedy za jednym rzutem oka; ale ta chwila była krótką.

Odtąd wszystko co stało się, dla mnie już nie istniało; modły duchownego, założenie okropnego postronka, szlafmyca o któréj myśl, tak mi była okropną, nakoniec *wykonanie wyroku* i *śmierć* nawet, wszystko to niezostawiło żadnego śladu w méj pamięci, i gdybym nie był przekonany że tak się stało istotnie, wziąłbym to za zupełną bajkę. Czytałem późniéj w gazetach opis mojch ostatnich chwil. Mówiono tam że zachowałem się zgodnością, mógł-

by kto mniemać, że bez żalu schodziłem ze świata, że nie opierałem się losowi. Jakkolwiek usiłowałem przypomnieć sobie okoliczności, jednak to mi się nie udało. Wszystkie moje wspomnienia, kończyły się na rusztowaniu i ulicy. Zdawało mi się, że bezpośrednio potém, ocknąłem się z długiego snu. Znalazłem się w izbie na łóżku; jakiś człowiek siedział przy niem, i bystro wpatrywał się we mnie, kiedym otworzył oczy. Odzyskałem wszystkie władze umysłowe, ale nie mogłem mówić z związkiem. Sądziłem że ułaskawiono mnie, i zwrócono z rusztowania przed wykonaniem wyroku, i że zemdlałem. Gdym się dowiedział prawdy, zdawało mi się, że jakieś ciemne wspomnienia budzą się w méj duszy, jakby sen pomięszany, i dopiero z opowiadania powziąłem prawdziwe wyobrażenie, o okolicznościach méj śmierci i zmartwychwstania.

CZARNA HANNA.

Już wsławiony przez pierwszą swoją podróż na wschód, major i kamerjunkier Fryderyka Wielkiego, Otto von der Gröben, w roku 1682, dowodził eskardą brandeburską, która udała się do zachodnich brzegów Afryki; tam zawarł układy z wielu naczelnikami negrów, i na wzgórzu, niedaleko od Cabo di tres Conta, założył twierdzę Gross-Frydrychsberg. Budowa téj warowni wspomaganą była przez całą okoliczną ludność, a wszyscy naczelnicy, chętnie złożyli przysięgę na lenność Elektorowi. To jest, otoczyli w twierdzy flagę czarną i białą, przyrzekli posłuszeństwo i wierność, jeśliby Brandeburczycy pozostali tam, i chcieli bronić ich, przeciw napaści nieprzyjaciół; to przyrzeczenie uświęcili podług zwyczaju miejscowego, pijąc z majorem Gröben Tetisję, to jest, wódkę pomięszaną z prochem strzelniczym, który to ostatni, miał oznaczać zproszkowanego djabła.

Poczciwi ci ludzie dotrzymali przyrzeczenia, wspierali oni ciągle osadę brandeburską o ile mogli, kiedy większa jéj część uległa wpływowi kli-

matu; i opiérali się wszystkim namowom, zazdrosnych o handel holendrów. Jednak podobne dowody uległości, nie wydawały się dostatecznemi: postanowiono odbyć uroczysty akt uszanowania, którym uczcić miano wszystkich Brandeburczyków, w osobie Majora Gröben i jego zastępcy kapitana Blonk.

Udikes, naczelnik Negrów okręgu Manassa, przybył do Frydrychsberg, i zaprosił wszystkich oficerów. na uroczystość, mającą się odbyć we wsi u podnóża wzgórka leżącéj. Tam pod ogromném, szeroki cień roztaczającém drzewem Banas, przyjęto gości okrzykiem radosnym, posadzono ich na skurach Lamparcich, i prostoduszny Udikes miał uroczystą przemowę, w któréj oświadczył, że Major Gröben i Kapitan Blonk otrzymają, każdy jednę czarną kobietę. Chociaż ci obadwaj przyzwyczajeni już byli do nadzwyczajnych wypadków, zdziwili się jednak niezmiernie tą szczególną wiadomością, i bardzo by byli radzi, wymówić się od tego dowodu przyjaźni, czarnych sprzymierzeńców swojch; musieli jednak niedać poznać nieukontentowania swojego, bo całe istnienie osady, zależało od nieprzerwanéj zgody z krajowcami, i dla utrwalenia jéj, musieli ofiarę swoich gospodarzy wdzięcznie przyjąć. Podczas gdy Major posłał do warowni po rozmaite dary, mogące się podobać Negrom, tłumacz jego odpowiedział najuprzejmiéj na mowę czarnego naczelnika,

a upojeni radością krajowcy wykrzykiwali, jakby ich nadzwyczajne szczęście spotkało. Następnie rozstąpiło się koło i zbliżył się Gadoman czyli kapłan, prowadząc dwie czarne, około 14 do 15 lat mieć mogące dziewczęta, pięknego wzrostu i kształtnéj budowy, z pąsowemi przepaskami na czole, pod wełniastemi włosami, i białemi jak perły zębami, za koralowemi wydatnemi usty.

Jedna z nich patrzała w ziemię, drugiéj żywe błyszczące oczy wesoło spoglądały na białych Europejczyków. Miały grube sukienne tuniki, które z jednego ramienia spuszczone do przeciwnego biodra, pozwalały widzieć część pięknie wznoszącego się łona; sznury szklannych korali przepięte były w zajęciach rąk i nóg, a na szyi miały wstążki z rozmaitemi drewnianemi obrazkami które tam nazywają Fetisze i za opiekuńcze bóstwa uważają. Ta, która pokornie spuszczała oczy, była osierociałą siostrą króla dzikich, i przeznaczono ją majorowi Groeben. Z drugą, dumną siostrą Udikesa, miał się połączyć kapitan Błonk, i obrzęd rozpoczął się natychmiast. Za pomocą ostrego noża, upuścił Gadoman po kilka kropel krwi z rąk narzeczonych i oblubieńców, w poświęcone naczynie, dodał czystéj wody i szczyptę ziemi, i wylawszy cokolwiek na ziemię podał oblubieńcom, aby pili, przyczém w pośród rozmaitych wykrzywień wzywał bóstwa swoje, aby rzuciły prze-

kleństwo na tego, ktoby naruszył *przysięgę krwawą*.

— Niech tak będzie! krzyknęło razem kilkaset świadków, i dwie pary już były zaślubione.

ŻonaMajora nieodważyła się jeszcze trwożnych oczu podnieść, rzuciła się na ziemię przed swoim mężem i panem, postawiła nogę jego na swoich plecach i pozostała w téj postawie uległości, aż ją uprzejmie podniósł i obdarzył sztuką pstrego sukna; wtedy w niejakiém od niego oddaleniu usiadła na ziemi na sposób wschodni. Zupełnie inaczéj działo się z rosłą oblubienicą Kapitana, Ihumpoanną. Postąpiła ona ku niemu, zmierzyła go przenikliwym wzrokiem, i dumnie rzekła: „Panie, będę twoją żoną!" i zdawała się czekać, żeby on dał uczuć, ile ceni zaczczyt jaki go spotyka. Nie omyliła się, bo Blonk śmiejąc się, skinął na nią, aby zajęła miéjsce obok niego na lamparciéj skórze, i dzieliła z nim ucztę weselną, którą major należycie dobrém winem okrasił. Takiego zaszczytu niedostąpiła jeszcze żadna z czarnych; to nietylko wielkie sprawiło wrażenie na saméj Ihumpoannie, ale do najwyższego stopnia wywyższyło ją w oczach ludu, który i tak oddawna szczególne dla niéj okazywał uszanowanie. Była ona uważaną jako siostra naczelnika, ale bardziéj jeszcze jako czarodziejka, biegła w znajomości rozmaitych tajemnic przyrodzenia, i ta przewaga, jaką miała nad umy-

słami zabobonnego ludu, była pierwszą zasadą téj dumy, którą jéj oczy błyszczały.

Poznawszy to Blonk, zatarł ręcę z radością. Nieokrzesany i rubaszny marynarz, posiadał on jeenak przemyslną głowę, i dość przebiegłości, aby od razu obliczyć, jaką korzyść miéć może z połączenia się z Ihumpoanną. Jeden ząb słoniowy albo kawałek złota więcéj u niego miał wartości, niż murzyńska kobiéta, ale teraz przez połączenie się z Ihumpoanną, wiele spodziewał się korzyści dla siebie i całéj osady; dla tego żona wielkiéj w mniemaniu jego nabrała wartości, i stosownie do tego z nią postępował. Nie była to niewolnica, ale doradczyni, tłómaczka, prawie samowładna pani, i po trzech miesiącach żołnierze i majtkowie przestali już prawie nazywać ją czarną Hanną (bo tak nazywał ją Blonk), i mianowali ją żoną kapitana. Im więcéj świadczyła, tém bardziej ufano jéj i niedostrzegano złéj u niéj strony. Surowy jéj charakter nigdy się nie uginał, lubiła ona być sama z sobą, i zawsze dumną była nawet dla białych, a uległą tylko swemu mężowi i panu.

Groeben popłynął na powrót do Europy. Poprzednio już odesłał on do domu czarną swoją księżniczkę, i to odepchnięcie jéj ile możności usprawiedliwiał; z tąd jednak wiele nieukontentowania powstało między Negrami, tak dalece, że nawet łagodny Udikes, nie ufając wszystkim przysięgom

białych, oświadczył, iż na przyszłość żadnéj ważnéj sprawy z niemi nie przedsięweźmie bez zakładników. Z niewypowiedzianą dopiéro trudnością udało się kapitanowi, a raczéj jego czarnéj Hannie, uspokoić oburzonego naczelnika, i to nie zupełnie jeszcze skończyło się, kiedy kapitan czynił przygotowania do wzięcia Hanny z sobą na wyprawę do *wybrzeżów złotych*. Czynił on to dla widoków handlowych, i tu dopiéro rozwinęła czarna Hanna wszystkie środki, zapomocą których mogła być pożyteczną. Znała ona kraj i jego bogactwa, udzielała rad stosownych, służyła za tłómacza różnych djalektów, i używała wpływu swego tam, gdzie mąż jéj naprózno starał się przezwyciężyć przesąd krajowców, albo wpływ Holendrów zmniéjszyć, tak, iż Błonk miał setne powody winszować sobie swojéj pogańskiéj żony. Ale wdzięczność jego dopóty tylko trwała, dopóki nie widział omylonych zbyt przesadzonych i źle wyrachowanych nadziei; wtedy stawał się mrukliwym, gwałtownym i przykrym swéj żonie, która w takich zdarzeniach nie widziała innego środka zaradzenia złemu, jak, ile możności schodzić z oczu gniewliwemu mężowi.

Podobne domowe sceny stawały się coraz częstszemi, gdy Hanna powiła synka, i stan zdrowia jéj przymuszał ją zostawać na okręcie wtedy, kiedy mąż jéj tu i owdzie wysiadał na ląd, dla traktowania z mieszkańcami. Wojenne usposobienie

dzikich krajowców przeszkodziło kapitanowi w jego zamiarach i widokach, i nakoniec po sześciomiesięcznéj nieobecności, bardzo niekontent powrócił do Fridrichsberg, aby odzyskać spiesznie to, co podług swego mniemania przez tę wyprawę utracił. Chciwość zaślepiła go, i depcząc wszystkie zasady i względy, dotychczas szanowane przez zarząd osady, ułożył plan, przez który czarni co do najważniejszych swoich handlowych skarbów, mieli być oszukani, i żądał od Ihumpoanny, aby ten podstępny układ do skutku przywiodła. Ale ona poznawszy przewrotność tego zamiaru, zaczęła mu przekładać, że niesłusznie chce postępować, i odważyła się bronić praw swoich współbraci.

Blonk trwał w swoim zamiarze.

— Panie, możesz mię zabić, ale nigdy nie skłonisz mię, żebym przyłożyła się do zguby biednych prosto-dusznych ludzi, rzekła ona, spoglądając tkliwie w ogniste oczy jego.

— Co to jest? czarna niewolnica niechce być posłuszną? Wypełnij natychmiast wolę moją, jeżeli!...— i w wściekłości uderzył nieszczęśliwą trzciną, którą w ręku trzymał, tak, iż krew trysnęła. Zniosła ona to z stoicką cierpliwością, nie okazała boleści, aż nakoniec fizyczne cierpienie przemogły moc duszy. Wtedy podniosła swoje niemowlę, i pokazując je mężowi, z błagającym wzrokiem, drżącemi rzekła ustami:

— Panie, pamiętaj, że to jest twoje dziecie, twoja krew!

Ale zapalczywy kapitan nic nie widział i nie słyszał. Mocne uderzenie nogą, przeznaczone matce, trafiło w dziecię, które wypadło z rąk matki na ziemię, skurczyło się, jękło, i już nie żyło.

Martwém okiem spoglądała Ihumpoanna to na nieżywe dziecię, to na pobladłego kapitana, który jakby piorunem rażony w tył się potoczył. Wzdrygnęła się, okropna wewnętrzna walka gwałtownie wznosiła jéj hebanowe łono, potém w jednem westchnieniu wylała się cała macierzyńska rozpacz; jęcząc, pochyliła się Ihumpoanna nad nieżywém dziecięciem; konwulsyjnie przycisnęła je do serca, całowała, pieściła się z niém, a potem powstała nagle, i grożąc kapitanowi ściśnioną pięścią, wyszła z pokoju.

Kapitan uczuł błąd swój; zakrył twarz rękoma, ukląkł, i szukał pociechy w modlitwie, ale napróżno; ciągle zdawało mu się, że widzi Ihumpoannę we drzwiach z nieżywém dziecięciem na ręku, grożącą mordercy. To widzenie ścigało go przez wszystkie pokoje mieszkania, i znikło dopiero, kiedy wyszedł na podwórze, i od stojącego na warcie żołnierza dowiedział się że *czarna Hanna* pobiegła do najbliższéj wioski negrów. Kapitan ciężko odetchnął; ale zamiast rozkazać ścigać zbiegłą żonę, podwoił tylko straż przy bramie,

kazał żeby garnizon całą noc stał pod bramą, a patrole bezustannie miały przechadzać się wzdłuż murów. Lękał się zemsty rozdraźnionéj kobiety, mniemał, że czarni okręgu Manassa wypowiedzą wojnę, a w takim wypadku wszystko byłoby zgubioném. Bo gdyby nie udało się dzikim wytrzymać kartaczowego ognia i szturmem dostać warowni, zawsze jednak najłatwiéj byłoby im ogłodzić osadę. Nadto garnizon cały składał się ledwo z 40 zdolnych broń nosić, reszta zaś złożona była różnemi chorobami, a 200 negrów w fortecy łatwo mogło niebezpiecznie wystąpić w porozumieniu z zewnętrznemi krajowcami, przeciw teraźniéjszym białym panom.

Ale tym razem mylił się Blonk. Czarni pozostali spokojnemi, przychodzili jak dawniéj do warowni, z najspokojniejszemi zamiarami, a nawet Udukas zdawał się nie wiedzieć o nieszczęściu siostry i miejscu jéj pobytu, zajęty załatwieniem nieporozumień między Brandeburczykami i Negrami okręgu Oda, wynikłego z powodu wzbraniania się tych ostatnich, dopomagania w ukończeniu robót około warowni. To wszystko nie uspokoiło kapitana, i nie mało był przerażony, ujrzawszy znowu w twierdzy Ihumpóannę, po sześciu dniach nieobecności. Unikał on widzenia się z nią i mówienia, ale ona milczała i objęła na nowo zarząd gospodarstwem domowém, jakby to bez przerwy czyniła. Blonk obchodził się z nią z nadzwyczaj-

ną dobrocią, ale to nie czyniło na niéj żadnego wrażenia.

Tego samego dnia, z rana przybył Udikas z dwunastu naczelnikami negrów Ada, do sali konferencji, które to nazwanie otrzymała jedna z baszt w Fridrichsbergu. Rozmawiano, układano się i nakoniec zgodzono się, a Blonk polecił przygotowanie do uświęcenia traktatu podług dawnych zwyczajów, to jest z kielichem w ręku.

Na jego skinienie przyniosła Ihumpoanna baryłkę wódki, napełniła nią kubek, wymówiła nad nim jakieś niezrozumiałe wyrazy i podała swemu panu, który w podobnych przypadkach jak marynarz nie żartował z napojem. Smiejąc się zbliżył on kubek do ust, ale nie pijąc oddał go najbliżéj stojącemu Udikasowi.

Niepij! to jest trucizna! zawołała Ihumpoanna, skoczyła ku bratu, wytrąciła kubek z rąk jego, porwała oszczep jego i nim Blonk zdołał się uchylić, już był przebity haczystém żelazem, i upadł, a w téj saméj chwili wpadli czarni na chorążego Leugeben i dwóch szyldwachów. Leugeben wymknął się przez strzelnicę, zrobił alarm, szyldwachy zaś z trudnością zostali rozbrojeni; wtedy wyszli czarni z sali konferencji, pobiegli z dzikim pośpiechem przez plac broni do najbliższéj bramy. Tu przyjęci zostali salwą z muszkietów. Krzyk chorążego zgromadził już straż, inni żołnierze biegli z namiotów i otoczyli nieliczną gromadkę czarnych,

zapalczywie wywijali swemi ostremi hassagajami, i utorowali sobie drogę do jednego bastjonu, ale daléj postąpić już nie mogli.

— Poddajcie się! krzyczał Leugeben, poddajcie się lub wydajcie zbrodniarkę!

— Zbrodniarkę! zawołała Ihumpoanna, nie jestem nią, pomściłam śmierć mego dziecięcia. A ty namyśl się prędko, i wypuść moich współbraci. Czy słyszysz wojenny głos murzynów pod fortecą? potrafią oni przemocą uwolnić mego brata, jeśli tego dobrowolnie nie uczynisz.

Istotnie brzmiał jakiś okrzyk za murami warowni, co chwila bliżéj i wyraźniéj. Wystrzał z muszkietów stał się hasłem dla mieszkańców wsi, i w pobliskości obozujących Negrów okręgu Ada. Równina czerniła się tysiącami murzynów, którzy walecznie zbliżali się ku miastu Fridrichsberg i wstrząsając groźnie włóczniami i hassagajami, wołali swego naczelnika.

Leugeben widział to wszystko, i nie mógł zataić przed sobą niebezpieczeństwa, w jakiém znajduje się twierdza, a jednak wachał się, i odrzucił przełożenie które mu Udikas uczynił, żeby go z siostrą i towarzyszami wypuścił.

— Ocho! nic z tego! krzyknął chorąży, nie wypuszczę was, jesteście w mojéj mocy, i będziecie mi zakładnikami spokojności tych czarnych bestji! Niech tylko jedna strzała wpuszczoną

będzie do fortecy, rozstrzelani zostaniecie jak dzikie zwierzęta.

— Panie, wypuść naczelników, ja zaręczam za spokojność! zawołała Ihumpoanna, i raz jeszcze okazała się w swojéj wielkości.

Chorąży gniewną tupnął nogą.

— Dotrzymaj słowa twego, a przebaczę ci! odezwał sie nagle, głos podobny do głosu ducha, w posród wrzawy żołnierzy. Był to Blonk. Chociaż niebezpiecznie zraniony, był jednak przytomnym i myślał tylko o ocaleniu warowni; kazał się przeto zanieść na miejsce walki, aby układać się z naczelnikiem Negrów.

— Kto zaręczy że bracia moi nie będą mordowani na moście? zapytała czarna Hanna, z niewymownym wyrazem spoglądając na rannego.

— Ja! odpowiedział tenże.

— A więc każ twoim ludziom oddalić się i pójdź tu.

Blonk, rzekł kilka słów pocichu do chorążego, skinął na żołnierzy aby oddalili się, i dwom kazał się zanieść do bastjonu. Był to dowód odwagi, nad którym dziwiła się, sama nawet czarna Hanna. Z religijnemi ceremonjami pożegnała ona naczelników, potém wydarła się na szczyt bastjonu, i tam z rozmaitemi wykrzywieniami i poruszeniami, dopóty powiewała zieloną gałązką, dopóki nie ujrzała że Udikas z swemi towarzyszami, już daléj jak na strzał armatni są od warowni. Zeszła ze szczy-

tu, okryła zemdlonego kapitana liśćmi z swojéj gałązki pokoju, i poważnie udała się na plac broni. Nikt nie śmiał iść za nią, zdawało się, że to duch jakiś ciemny snuje się ku sali konferencji; i nakoniec znikł we drzwiach. W kilka chwil, cały Fridrichsberg zadrżał od okropnego wybuchu, z hukiem wyleciała w powietrze sala konferencji, obok któréj był mały skład prochu. Ihumpoanna dostała się tam wyłamawszy drzwi, i podpaliła, w nadziei że tym sposobem całą warownię w powietrze wysadzi.

Nie stało się tak; jednakże warownia wkrótce potem została opuszczoną, osada nie mogła się utrzymać, bo nie ufni już negrowie, w żadne układy handlowe wchodzić nie chcieli.

SZCZEGÓLNA KRADZIEŻ.

Sławny naczelnik rabusiów Pless, który północne Niemcy napełniał przez długi czas trwogą i sławą swoich zręcznych kradzieży, widział raz jak chłostano złodzieja, którego znał jako dość wprawnego w swojém rzemiośle. Zbliżył się do o-

prawcy i wsunął mu w rękę talara, z dodaniem prośby, żeby silniéj bił winowajcę. Złodziéj zdziwiony taką szczególną odezwą, spojrzał na mówiącego, chcąc kiedyś pomścić się, i dlatego mocno wyrył sobie w pamięci jego rysy. Skoro został wypuszczony na wolność, rozpoczął zaraz swoje poszukiwania, przebrawszy się w porządne suknie; i wkrótce spotkał swego nieprzyjaciela, w jednym publicznym ogrodzie.

Poznawszy go, zbliżył się, i zapytał dlaczego tak nastawał, na zwiększenie jego kary? Przytém wydobył z kieszeni nabitą krucicę, aby zapytaniu swemu większéj dodać wagi. Pless niedługo namyślał się z odpowiedzią, i przytoczył za powód tego swego postępku, że nielubi ludzi, którzy tak nieostrożnie kradną, że można ich na uczynku schwytać. Człowiek bowiem, który przez skłonność do cudzéj własności, chce zostać bogatym, powinien zamiary swoje tak wykonywać, żeby nigdy nie mógł być prawnie o kradzież posądzony; dodał przytém, że może mu jutro dać lekcją podobnego postępowania, jeżeli sobie tego życzy.

Złodziéj nie mógł pomiarkować, jakby można kraść, a nie módz być o kradzież słusznie posądzonym, dlatego ciekawy był niezmiernie téj przyobiecanéj nauki, i przyrzekł przyjąć ją chętnie, i starać się z niéj korzystać. Wtedy pan nauczyciel, oświadczył zamiar, okradzenia następującéj nocy bogatego bankiera. Żeby się jednak do-

wiedzieć gdzie on chowa pieniądze, posłał ucznia swego do niego, z dość znaczną kwotą pieniędzy, w celu zmienienia jéj na zagraniczne, z poleceniem uważania dobrze miéjsca i okoliczności rozmaitych, a to, dla usunięcia przeszkód, jakieby mogły wykonaniu ich planu stanąć na przeszkodzie. Bankier wziął żądane pieniądze ze skrzyni, stojącéj w jednym pokoju na pierwszém piętrze. Dowiedziawszy się o tém, Pless, kazał swemu uczniowi kupić stosownéj długości drabinę, i po północy, udał się w jego towarzystwie do domu, w którym był skarb, będący celem ich wyprawy. Po drabinie wszedł Pless do okna owego pokoju na pierwszem piętrze, otworzył je za pomocą stosownego narzędzia, przez otwarte okno weszli obadwa, i wciągnęli za sobą drabinę. Potem Pless zapalił małą latarkę, która tyle tylko światła dawała, ile potrzeba było aby otworzyć witrychem szafkę. Gdy to zostało już uskutecznione, ujrzeli szereg worków z pieniędzmi. Spojrzawszy na pierwszy z nich, poznał, iż zawarte w nim były sztuki pięcio-frankowe, których liczba wyrażoną była na przywiązanéj karteczce. Toż samo znalazł i przy innych workach, które wszystkie napełnione były francuzką monetą. Usiadł zatem do stołu, i spisał wszystkie worki podług ich numerów, z wymienieniem gatunku monety i liczby. Każdy worek opieczętował dużą herbową pieczęcią, którą późniéj za własną miał udać. Następ-

pnie postawił wszystkie worki na swoje miéjsce; napisał przytém list do bankiera, w którym donosi mu, iż przez swego przyjaciela, posyła mu spisane poniżéj worki, aby je tak długo zachował, dopóki on sam osobiście, w oznaczonym dniu nie przyjdzie. Ten oznaczony dzień był nazajutrz. Przytém prosił żeby tyleż pieniędzy, w papiérach krajowych mógł miéć gotowych, ponieważ za ważnemi sprawami, spiesznie musi daléj pojechać, a jadąc sam incognito, nie mógłby tak znacznéj summy mieć przy sobie w monecie. Jako wynagrodzenie, posyła przytém jeszcze jeden worek, który na końcu w spisie jest objęty.

Zapieczętowawszy ten list tą samą pieczęcią, rozpieczętował go i włożył między inne papiery w boczną szufladkę, wziąwszy kopią jego do siebie. Nakoniec zamknął szafę, i kazał uczniowi swemu iść za sobą.

Ten, któremu już brakowało cierpliwości podczas spisywania worków, zapytał zadziwiony, co to wszystko ma znaczyć? Czy nie wezmą z sobą tych worków? Nato nauczyciel odpowiedział:

— Czyliż nie mówiłem ci że trzeba kraść z przezornością, te worki są już nasze, zwierzchność nam je odda. Oddalili się tą samą drogą którą przyszli, i położyli się spać w oberży, w nadziei najpomyślniéjszego skutku wyprawy.

Następującego poranku, mniemany hrabia posłał najętego lokaja do Bankiera, z uwiadomieniem go,

iż przyjechał, i prośbą żeby oznaczył czas, w którym przysłaną mu summę będzie mógł odebrać, ponieważ spiesznie musi odjeżdżać. Bankier który wiedział że od żadnego Hrabiego*** nie odebrał najmniéjszéj summy, kazał odpowiedzieć, że pan Hrabia musi być w błędzie, albo nie pamięta komu pieniądze przesłał, ponieważ on pomienionéj summy nieodebrał, i niemoże jéj wypłacić. Skoro służący przyniósł taką odpowiedź, Pless udał się do sędziego miejskiego, i oświadczył mu że jest Hrabią***, i podróżuje inkognito w ważnéj bardzo sprawie. Że przed kilku tygodniami przesłał tutejszemu Bankierowi, tyle i tyle tysięcy franków w srebrze, chcąc je na papiery krajowe zamienić; i złożył sędziemu odpis tegoż listu, wraz z specyfikacją worków, i że Bankier ten, gdy dziś posłał do niego służącego, względem wypłaty téj summy, wyparł się całéj sprawy; że przez to znajduje się w przykrém położeniu, ponieważ potrzebuje koniecznie tego samego jeszcze dnia wyjechać. Uczynił uwagę, że chociażby Bankier wszystkie pieniądze wraz z workami usunął gdzie, bezwątpienia jednak posiada list, którego kopją składa, zapieczętowany herbową pieczęcią, któréj odcisk przyłączył. Oświadczył iż oddaje się pod dozór dopóty, dopóki ta rzecz niebędzie wyjaśnioną, ale żąda przeszukania ścisłego domu Bankiera, i nadto obowiązuje się zapłacić wszystkie koszta, w razie gdyby prawda

oświadczenia jego nie została dowiedzioną. Nie można było odmówić tak znakomitéj osobie, sędzia udał się z kilku jeszcze urzędnikami do bankiera, i wezwał go do wypłacenia hrabiemu*** należnéj mu summy. Okazał mu przytém kopją listu, który od hrabiego odebrał. Gdy tenże odpowiedział, że nic o tém wszystkiém nie wie, oświadczono mu, iż musi pozwolić ściśle przeszukać swoje papiery i skrzynie. Bankier chętnie na to przystał, i udał się z osobami sądowemi na pierwsze piętro, otworzył szafkę, w któréj były pieniądze i papiery jego. Spokojnie patrzał jak sędzia podług numerów porównywał worki z spisem, który w ręku trzymał. Nietylko spis zupełnie był zgodny z znalezionemi workami, ale nadto wszystkie opatrzone były pieczęcią, któréj odcisk sędzia miał przy sobie.

Wpadł mu nadto w oczy otwarty list Hrabiego, co już przewrotności Bankiera najwyraźniéjszym było dowodem. Dla tego sędzia rozkazał zabrać wszystkie worki. Bankier usłyszawszy dopiero ten rozkaz, ledwie ze skóry nie wyskoczył, i głośno protestował przeciwko temu postąpieniu; ale to wszystko nadaremnie. Sędzia pokazał mu list z pieczęcią hrabiego*** znaleziony w jego papiérach, na co tenże nic więcéj nie mógł odpowiedzieć, jak tylko że nie wie zupełnie, z kąd mogły wziąść się pieczęcie na workach, i list w szafie u niego;

ale że pieniądze w workach były jego własnością.

To tłómaczenie się jednak zdawało się sędziemu nowym dowodem występku, i dla tego wzięto wzmiankowane worki, i oddano mniemanemu hrabiemu***. Ten ostatni odebrał je obdarzywszy sędziego za podjęte trudy, i zapewnił, że za cztery tygodnie powróci i bankierowi proces o oszukaństwo sformuje. Ale na ten powrót bezwątpienia dotychczas czekają.

MALARZ ZNAKÓW.

— Ten obraz jest arcy-dziełem! zawołał Ribera, odsuwając się o kilka kroków, i przyglądając z dumą artystowską pracy, którą tylko co wykończył; — tak, rzeczywistém arcy-dziełem; a Caravage jest zwyciężonym.

— Już się go nie dotknę, dodał, rzucając paletę i pędzle, które potoczywszy się w drugi kąt pracowni, wywróciły na w pół skończony portret kobiéty na stalugach stojący. Ale Ribera z takiém zajęciem przyglądał się swemu dziełu, że nawet

nie uważał wypadku, jaki jego roztargnienie zrządziło.

Stał on z założonemi rękami przed obrazem, i z zachwycającą szczerością miłości własnéj, rozbierał głośno wszystkie jego piękności, podobny do badacza, starożytności wskazującego miłośnikowi arcy-dzieło, uświęcone ogólnem podziwieniem wieków, i należy wątpić, czy kiedy najpiękniejsze twory Rafaela uzyskały od zatrzymującego się przed niemi tłumu, równe pochwały, jakich sobie nie szczędził nasz artysta.

Czasem przerywał swe uwag pochwałami dla siebie, w których skromność właściwa każdemu, zapomnianą bywała.

— Oh! ja dobrze wiedziałem, rzekł uderzając się w czoło, że tu jest wiele jeńjuszu; teraz mogę już umrzéć, a imię moje nie będzie zapomnianém! Jednak spodziewam się, że mi Bóg dłuższych lat udzieli. Nie zechce on, abym zabrał do grobu tę tajemnicę malarską, jaką jeszcze w kolebce posiadałem, i dozwoli mi używać méj sławy. Nim jéj dostąpiłem, przechodzić musiałem przez nieufność w me własne siły, nędzę i cierpienia. Często jedyném miejscem mego spoczynku, jedyném w czasie nocy schronieniem, były przysionki kościelne lub wydrążenia skał w górach. Często znosić musiałem głód, a w braku kawałka płótna kreśliłem palcem na piasku kształty, które nielitościwy wiatr rozwiewał, lub rysowałem myśl me-

go utworu na murach miast, bramach pałaców bogaczy, a służący, którzy wychodzili z rozkazu panów dla zniszczenia tych utworów imaginacji, nie pojmowali, iż to były dzieła artysty, proszącego tym sposobem o wsparcie. Lecz nie skarzę się, o mój Boże! na tak ostre próby; umieściłeś Panie cel méj dążnosci w środku życia mego, a nadto dałeś mi moc dopięcia go, i wiarę, która mię utrzymywała, albowiem ci, których przeznaczasz, aby naprzód postępowali, powinni na wzór Chrystusa nosić koronę cierniową.

W tém jego uniesieniu, drzwi się otworzyły i dozwoliły wolnego wejścia małéj zgrzybiałéj staruszce, szanownéj Beatrix, która postawiła obok artysty drewnianą miseczkę, zawierającą jego szczupły i skromny obiadek; widząc, że zupełnie na nią nie uważa, uwiadomiła go o swéj bytności, mówiąc:

— Gdym pana usłyszała mówiącego, idąc po schodach, sądziłam, że, co najmniéj, szatan osobą swoją rozmawia tu z nim. Czegożeś pan tak krzyczał? marzyłeś głośno zapewne, albo też rozmawiałeś z twoim duchem familijnym. Piękny postęp na moje słowo! on ci to podał myśl tego obrzydłego malowidła, na które ile razy spojrzę, włosy mi powstają na głowie, a nad którém już bez przerwy trzy miesiące pracujesz. A potém straciwszy tyle czasu na takie straszydło, będziesz się jeszcze dziwił, że hrabia Monterej, nasz vice-Król,

nie chce go użyć! Któż zechce nabyć taki obraz, będący przestrachem wszystkich patrzących?

— Przykro mi bardzo, rzekł Ribera, uderzając ją z łekka po ramieniu, że ci się nie podobał.

— Co jest najprzykrzejszego, odpowiedziała staruszka, to bezwątpienia umrzeć z głodu; a jakkolwiek szczupły jest dzisiejszy obiad pański, życzę mu serdecznie, abyś i jutro taki mieć mógł; ale chyba sam postarasz się o niego, bo ja już wszystkie sposoby wyczerpałam; a przecież mogę powiedzieć, że gdybyś tylko chciał, byłbyś majętnym! Dla czegóżeś nie dokończył portretu hrabiny de Venutta? kobiety, która byłaby go cały złotem zakryła, a swoim wpływem byłaby panu zyskała protekcję vice-Króla. To byłoby zapewniło pańskie szczęście; ale nie, ile razy hrabina przychodziła, przyjmowałeś ją pan niechętnie, albo kazałeś mi powiadać, że go niema wdomu. Bogu tylko wiadomo, ile mnie kosztowały podobne kłamstwa! Ale zobaczemy, czy też teraz będziesz rozsądniejszym.

— Nie wspominaj mi już o téj kobiecie, moja Beatrix, odrzekł Ribera; rysy bez wyrazu; oczy bez czucia! byłbym ją niezawodnie jeszcze brzydszą odmalował jak jest rzeczywiście. Ach, gdybym miał malować młodą panienkę, którą przed 3ma miesiącami spotkałem, a któréj już więcéj nie starałem się widzieć, z bojaźni, aby pamięć

o niéj nie zakłóciła mej cichéj samotności! Ach, tę byłbym malował z uniesieniem!

Beatrix nie słuchała go wcale. Gdy bowiem Ribera zaczął się wymawiać z swéj niechęci w dokończeniu portretu hrabiny, Beatrix wzruszyła ramionami, a odwracając się spostrzegła nieszczęsny portret leżący na ziemi; poskoczyła w tę stronę, a podnosząc go: Cóż to u pana Boga! zawołała; otóż to tak bardzo pięknie! zapewne tu szatan swe harce wyprawiał, a w uniesieniu radości wybił oko hrabinie!

— Ba! odrzekł, śmiejąc się artysta, i przypominając sobie co było powodem tego uszkodzenia: na honor, nigdy nie miałem lepszego natchnienia, i żałuję tylko, że moja paleta nie wyrachowanym rzutem nie oślepiła oryginału. Uwolniłaby mnie była od wizyt hrabiny, a przynajmniéj łatwiéjby mi było uiścić się, a w zysku zostałby mi się profit.

— Pan mówisz nie do rzeczy, przerwała Beatrix; to szczęcie, że jego przyjaciele jeszcze są przy zmysłach, i zajmują się gorliwie jego interessami. Ubierz się pan i pójdź do Krzysztofa Panolfo, gdzie na pana czekają.

— Cóż to za człowiek?

— Jeden z najmajętniejszych kupców Neapolu.

— Ja go nie znam.

— Ale on pana zna. Mówiono mu o panu. Dobrze trzyma o jego talencie, i życzy sobie, abyś

mu pan zrobił jakiś obraz, zapłaci gotówką; a cóż, czy i tego pan nie przyjmujesz?

— Nie, bo jeżeli Panolfo jest znawcą i zechce mnie odwiedzić w méj pracowni, natenczas wyznaczy mi stosowną nagrodę za to arcy-dzieło.

— Jakto? i pan niechcesz pójść do niego?

Na to pytanie wykręcił się Ribera na jednéj nodze, i zaczął sobie gwizdać.

— Oh! pan mnie do niecierpliwości przyprowadzisz! krzyknęła Beatrix, postępując ku niemu z prawie groźną postawą. Powiadam panu, że pójdziesz do Panolfa, choćbym miała poganiać pana aż do drzwi jego mieszkania.

Ribera, który lubił jéj się sprzeciwiać, wstrząsnął głową.

— Chcesz się pan ze mną założyć, że go zmuszę, abyś mnie słuchał. Pfe! jak to brzydko, to oznacza złe serce, panie Ribera. Alboż to pan sam na świecie jesteś, aby zaś tak postępować? Ja już dla mego wieku wolną jestem od postów, które kościół boży nakazuje, a pan mnie skazujesz na suchoty! Kiedy pan niełedwie z głodu umierasz, czy sądzisz, że ja wtenczas smaczno zajadam?— No, no, moje dziecię, dodała staruszka, przybierając głos nieco łagodniejszy; już ja wiem, że mnie pan kochasz, bo i ja też go niemało miłuję. Jeżeli pana w téj chwili rozgniewałam, mówiąc źle o jego robotach, musisz mi to wybaczyć i pójść do Panolfa. Oto jest pańska szpada, jego pod-

niesiony kapelusik, w którym panu tak do twarzy, gdy go oto tak włożysz, trochę więcéj na jedno ucho nasunięty; okryj pan płaszczem swą suknię, nie dość świeżą, aby ją świat mógł widzieć. Oto tak! wybornie! moje dziécię, głowa do góry, wzrok pewny, wąs zakręcony. Niech mnie Bóg skarze, jeżeli pan nie wyglądasz tak pięknie, jak sam Karól Vty! Jeżeli u Panolfa są kobiéty, odwróć ku nim to piękne oblicze, spójrzyj na nie tkliwie; i ja byłam młodą, dobrze wiem co mówię.

Tak mówiąc Beatrix, prowadziła go ku drzwiom pracowni, a gdy schodził, wołała jeszcze za nim:

— Gdy pan przejdziesz miasto, zapytasz się o kupca Panolfo; nie zapomnij pan imienia; mieszka na rynku, prawie w prost pałacu vice-Króla. Do zobaczenia, a przynieś mi też pan dobre wiadomości.

O kilkaset kroków od swego mieszkania, Ribera, niepewny jeszcze czy ma iść lub nie do kupca, spotyka jednego z swych przyjaciół, młodego Ottavio, malarza jak on, którego charakter układny i przebiegły, bardziéj niżeli talent, umieścił w łasce vice-Króla, i zyskał mu tegoż protekcję. Przywitał Riberę z mocnym okrzykiem zadziwienia.

— Zkądże przychodzisz? już cię od wieków nie widziano!

— Wiele pracowałem, odrzekł Ribera. I przypomniał mu obietnicę ze dwadzieścia razy powtarzaną, iż miał o nim mówić hrabiemu Monterej.

— Oh! mój Boże, co dzień prawie wymawiam przy nim twe nazwisko. Lecz jakże chcesz, nigdzie cię napotkać nie można. Gdyby przynajmniéj hrabia mógł widzieć jaki twój obraz.

— Sądziszże iż zająłby się mną?

— Nie wątpię o tém. Talent taki jak twój dosyć jest poznać, aby ocenić. A potém, wszakże ja byłbym przytém, wołając ciągle: prześliczne, wzniosłe, doskonałe dzieło!

— Sposobność jest dobra; przerwał Ribera: właśnie ukończyłem obraz, a szczerze mówiąc, jeszcze nic mi się równie dobrze nie udało; wstąp na chwilę do mnie, a sam najlepiéj osądzisz.

— Niepodobna mi teraz zadosyć twemu żądaniu uczynić, rzekł Ottavio, czekają mnie, lecz jutro...., pojutrze—dobrze mówisz, pora jest stosowną, nie rzeba jéj opuszczać; wspomnę o tobie hrabiemu; bądź zdrów, mój kochany, bądź zdrów!

Oddalił się, a wkrótce całkiem znikł.

— Pójdźmy więc do kupca, rzekł Ribera. Lepsza jest protekcja wzgardliwa nieznajomego, niż ta minka obłudna życzliwéj na pozór przyjaźni. Tak, tak, strzeż dobrze miejsca, któreś sobie nieprawnie przywłaszczył! Strzeż bram zamkowych i nie dopuszczaj, abym w nie wstąpił; bo gdy raz przejdę ich progi, wygnam cię z nich, jak Chrystus handlujących z kościoła.

O wy mi zazdrościcie, moi nauczyciele, wy mnie się lękacie, a chcąc mię utulić, przyrzekacie mi waszą protekcję! Lecz bodajem równym wam stał się bazgraczem, jeżeli nie potrafię obejść się bez was!

Ribera przyszedł przed dom Panolfa; dwaj służący wprowadzili go do pokoju pysznie umeblowanego, którego okna wychodziły na obszerny ogród, a w dali widać było piękny błękit morza.

Gruby jegomość średniego wieku, rysów płaskich i pospolitych, przechadzał się, ziewając z całéj mocy; przed oknem siedziała młoda osoba, a wspierając głowę na ręku, pieściła się miłą wonią drzew pomarańczowych, i oddychała powietrzem pełném zapachu, jakie jéj morze przesyłało. Ribera ukłonił się wchodząc, lecz rumieniec okrył jego lica, i zmięszał się nie mało; w owéj młodéj osobie poznał tę, o któréj przed chwilą z takim mówił zapałem; z trudnością zdołał wymówić własne swe nazwisko. Na usprawiedliwienie tak nagłego pomięszania, przyznać należy, że Laura rzeczywiście nader piękną była.

Ribera stał, obracając dość niezręcznie swój kapelusz w ręku i nie wiedząc zupełnie co ma powiedzieć. Kupiec, który za jego przybyciem zatrzymał się w swéj podróży na około pokoju, przypisał pomięszanie Ribery małéj znajomości świata, i starał się go dość niezgrabnie uspokoić. Ta śmieszna protekcja wyprowadziła malarza z odu-

rzenia, i przywróciła mu całą wrodzoną dumę; odrzekł podnosząc głowę:

— Ani bogactwa, ani oznaki możności, ani nic takiego co zdaje się wzbudzać podziwienie innych ludzi, nie zmusiło mnie nigdy do spuszczenia wzroku; lecz Bóg przemawia do mnie przez swe piękności, a jeżeli Pan spostrzegłeś we mnie jakieś pomięszanie, to jedynie z powodu, iż z podziwieniem spoglądam na jego arcy-dzieło.— Jego spojrzenie spotkało w téj chwili wzrok Laury, a jednakowe uczucie zajęło ich duszę. Był to rodzaj czarów, jakie wspólnie na siebie wywierali, i nim słowo wyrzekli, już zapomocą niemej acz rozmowy dowiedzieli się, że są sobie miłemi. Panolfo ani się tego domyślając, służył za wspólnika tak szybko rozwijających się uczuć, bo im więcéj oświadczał się z swoją protekcją malarzowi, tém żywsze spojrzenia rzucała na niego Laura, i tém bardziéj starała się wynagradzać mu poniżenia jakie znosił.

— Powiadają, że pan masz talent? zapytał kupiec.

Ribera skłonił się.

— Lecz jesteś ubogi i potrzebujesz roboty. Ja zawsze lubiłem wspierać piękne sztuki. Zobaczemy, czy zasługujesz abym się nim zajął.

Ribera zmarszczył brwi, przygryzł usta, niechcąc wzajemnie niegrzecznością odpowiedzieć. Laura spostrzegła to poruszenie, i uspokoiła burzę bliską wybuchu temi słowy:

— Pan jesteś cudzoziemcem?

Na ten głos, który się odezwał w głębi serca malarza, czoło jego wypogodziło się i rzekł:

— Urodziłem się w Hiszpańji, w Xativa blisko Walencji. Lecz dzieckiem opuściłem moją rodzinę, któréj odtąd niewidziałem, i mogę się nieledwie uważać za Włocha, tak długo w téj krainie zamieszkałem; przepędziłem tu bowiem moją młodość, i zdaje mi się, że i nadal tu pozostanę. Zwiedziłem Rzym, Wenecję, Florencję, Parmę, zostawiłem ślad méj stopy w każdym zakątku téj ziemi, gdzie kwitnie jeńjusz malarstwa; podobny do pszczoły, zbierałem tam zapasy do mego miodu. Spocząłem w Neapolu, i już w nim pozostanę.

— A i cóż nam przyjdzie z téj pochwalnéj przemowy, mości malarzu? zapytał kupiec.

Ribera uczuł, że się mocno zarumienił; jednak przybierając postawę spokojną:

— To moja tajemnica, rzekł.

Laura dodała:

— Nadto ciekawym jesteś mój ojcze. Pan malarz może ci chce dać do zrozumienia, że jest zakochanym.

— Tak Pani, odpowiedział Ribera; zakochany, i to na całe życie!

Laura zarumieniła się, a to jéj pomięszanie, którego nie była w stanie ukryć, pogorszyło jeszcze stan malarza.

— Dajmy temu pokój, rzekł Panolfo; ty mi zarzucasz ciekawość, moja Lauro, a sama sto razy bardziéj jesteś ciekawą. Siadaj Pan i pomówmy o interessie. Cheszże zarobić 25 dukatów? Ale najprzód powiedz mi, w jakim rodzaju malujesz?

— Powiedz mi Pan, co życzysz sobie abym dla niego zrobił.

— Znak do mego składu.

Ribera uczynił poruszenie, jakby chciał wstać; lecz błagalne spojrzenie Laury zatrzymało go; jednak wzruszenie jego tak było mocne, że nie był w stanie powiedzieć, czy przyjmuje lub odrzuca propozycję.

Panolfo tak daléj mówił:

— A więc nie chcesz? to jest jednak piękna sposobność, aby się dać poznać, a jeżeli masz talent, łatwo się to da widzieć. Jeżeli ci się uda, wszyscy moi współbracia używać cię będą.

— Czy mi Pan zostawiasz wybór przedmiotu? bo nie mogę przyjąć wezwania, jak tylko pod warunkiem, że mi wolno będzie pójść za popędem mojéj imaginacji.

— Dobrze, ufam Panu, zrób co ci się tylko podoba.

— A jakąż cenę naznaczasz? zapytał jeszcze Ribera z gorzkim uśmiechem.

— Jużem to panu powiedział, 25 dukatów, i zdaje mi się, że dobrze płacę! Trzeba zacząć, mój

Panie; jeżeli będę zadowolony, każę się także odmalować, a wtenczas podwoję summę. Uważ tylko, możesz mieć u mnie nie jedną robotę.

— Dziękuję Panu, rzekł Ribera wstając; gdybyś mi się Pan zapytał o cenę, byłbym żądał 500 dukatów. Lecz jest sposób pogodzenia nas. Ja nie żądam od pana, jak tylko pozwolenie zawiesić na jeden dzień przed domem pańskim znak, który mieć chcesz, a który ani szeląga nie będzie Pana kosztował; prawda, powinienem się dać poznać, chwytam więc sposobność jaką mi podajesz. Możesz pan ogłosić, że uczyniłeś kupno korzystne z pierwszym malarzem Neapolu. Wkrótce się zobaczemy. Bądź Pani zdrowa.

Laura zwróciła ku niemu swe wilgotne oczy, i zdawała się chcieć mówić:

— Bądź rzeczywiście tém, czém się mienisz, a serce Laury będzie nagrodą twego talentu.

Ribera wyszedł. Zwolna schodził na dół, a idąc przez ogród, gdy obok okien pokoju, w którym był przed chwilą, przechodził, ujrzał spadający mu pod nogi woreczek. 500 dukatów w nim się znajdowało, i bilecik, na którym te wyrazy skreślono:

„Mój majątek i ręka, pierwszemu malarzowi w Neapolu.“

W piętnaście dni później po téj scenie, lud, zgromadzony przed domem Panolfa, bił w ręce, pytając o imie malarza, który zawiesił jakby znak,

prześliczny obraz, wystawiający męczeństwo *świętego Bartłomieja*, a który umieszczony na ganku, odsłonięto dopiéro ze wschodem słońca. To krzyki uniesienia, to znów ciche uwielbienie pomięszane z przerażeniem głębokiém, dawało się spostrzegać. Swięty leżał na prawym boku, miał nogi związane i utrzymywane przez jednego z katów; ręka lewa wzniesiona zapomocą postronka prostopadle z głową, odebrała już jeden cios, a drugi kat, na którego dzikiéj twarzy piekielny malował się uśmiech, zanurzał rękę pomiędzy oddartą skórę i skrwawione ciało, z taką spokojnością i zimną krwią, jak rzeźnik odzierający ze skóry świeżo zabite bydlę; gdy tymczasem rysy ofiary wystawiały przedziwnie okropne męczarnie, zamienione na ciche poddanie się i wiarę w przyszłą nagrodę, obiecaną męczennikom. Nigdy podóbny przedmiot nie był tak silnie wydanym, nigdy pędzel nie doszedł tego stopnia energji.

Wkrótce ta wiadomość rozeszła się po całym mieście, a tłum tak się powiększał na placu, że vice-Król chciał sam poznać powód tego zgiełku. W towarzystwie Ottavia i innych swych ulubieńców, udał się przed dom kupca, a uderzony podziwieniem i uwielbieniem:

— Któż to arcy-dzieło wykonał? zapytuje.

Nikt nie odpowiada.

— Dla czegóż artysta ukrywa się? dodał Monterej. Niech się pokaże, niechaj rachuje na moją

protekcję. Żądam, aby ci wszyscy, którzy pędzla używają w Neapolu, do jego szkoły uczęszczali. Jeszcze raz zapytuję, kto ten cudowny obraz wykonał?

— To ja, rzekł Ribera wychodząc z tłumu.

— Kto jesteś?

— Zowię się Ribera. Wczoraj nieznany, a dziś jak się Waszéj Wielkości podoba.

— Jakiejże żądasz nagrody?

— Tytułu pierwszego malarza przy dworze vice-Króla Neapolu!

— Daję ci go. Ileż ci zapłacono za ten obraz?

— Najjaśniejszy Panie, kupiec Panolfo ofiarował mi 25 dukatów, których nie przyjąłem. Ale on może mnie inaczéj wynagrodzić. Kocham jego córkę Laurę.

— Jutro będziecie połączeni.

Nazajutrz obchodzono związek dwojga kochanków. Ribera, więcéj znajomy pod nazwiskiem Hiszpańczyka (Espagnolet), stał się wkrótce najsławniejszym malarzem w Neapolu i odziedziczył w łasce hrabiego Monterej miejsce tych wszystkich, którzy obawiając się jego wyższości, tak długo mu zamykali drogę sławy i dostatków. Co do Panolfa, nietylko że z całego serca dał mu swe zezwolenie na połączenie córki z młodym malarzem, ale co dzień chwalił się, że on pierwszy odgadł jeniusz swojego zięcia.

Każdy może się naocznie przekonać, że pochwały, jakich nie szczędzimy dla *męczeństwa święte-*

tego Bartłomieja, nietylko nie są przesadzone, ale zbyt słabe.

Lud paryzki sądzi teraz, jak sądził przed dwoma wiekami lud Neapolu. „Męczeństwo świętego Bartłomieja" znajduje się pomiędzy zbiorem obrazów hiszpańskich, tym kosztownym i bogatym zbiorem, jaki miłość sztuk pięknych i nauka pana Taylor zabrały Hiszpanji, dla zbogacenia nim Francji.

PRZYSIĘGA.

Nie długo po zawieszeniu broni w 1813 roku, stawił się pewnego rana w biurze organizacyi ochotników w *** młodzieniec imieniem Ulrych Siegmarz, którego grube dawnego kroju suknie szczególnie od świeżości delikatnego oblicza odbijały. Niezwykła jakaś niespokojność czyniła dziwném jego zjawienie się, tak dalece, że naczelnik biura wahał się w zapisaniu go, tém bardziéj, że nawet nie miał paszportu; podawał za przyczynę tego, że zbiegł tajemnie z domu krewnych, którzy nie chcieli mu dozwolić walczyć przeciw Francji.

Niechciał przytém wyjawić miejsca swego urodzenia, a gdy to niepodobało się naczelnikowi, oświadczył, iż sądził, że i tu na słowie jego polegać będą, które mu wszędzie w drodze miejsce paszportu zastępowało.

Jenerał, który wszedłszy przed chwilą słyszał całą rozmowę, spojrzał na zwątpiałego młodzieńca, i rzekł z dobrocią tak zwykle mężnym właściwą:

— Trzeba zapisać tego młodego towarzysza. Jego ochota jest paszportem, a spojrzenie aż nadto pewną pieczęcią. Ja ręczę za tego zucha, i biorę go do moich.

II.

Nazajutrz gdy Siegmar w mundurze pokazał się, Jenerał ledwie mógł go poznać. Przyjemna jego postać, która w nędzném wczorajszem ubraniu z łatwością mogła ujść uwagi, obudziła zajęcie wszystkich.

— Witaj młodzieńcze! zawołał stary wojownik, podając mu rękę, a duże ciemne oczy młodzieńca, wyraziły tkliwe podziękowanie głęboko wzruszonéj duszy.

— Dziecię, przydał zacny ten mąż, uważając bliżéj delikatną Siegmara budowę, jesteś zdrów, i czyś zastanowił się nad trudami służby, którą dobrowolnie przyjmujesz?

Młodzieniec skinieniem głowy upewnił go i milczał.

Jeżeli nie, to możesz inny rodzaj zatrudnienia tu znaleźć; jak widziałem, piszesz pięknie, a nam takich właśnie bardzo potrzeba. *Gdy każdy na swojém miéjscu, wtenczas rzecz najlepiéj idzie.* Aby na otwartém polu przykre czuwanie nocne znosić, do tego potrzeba sił stosownie zahartowanych.

Siegmar milczał.

— Teraz trzeba żebyś mówił, rzekł daléj Jenerał, widziałeś z jaką ufnością szanowałem wczoraj wszystkie twoje tajemnice, ale teraz trzeba mówić, bo milczenie zupełnie byłoby przeciwném celowi.

— A więc pozwól mi Jenerale okazać się godnym téj broni i stanu, w którym przez twoją dobroć jestem umieszczony.

— Niech się stanie jak chcesz, mój synu; ten, co cię natchnął tą wolę, ten ci da i siłę we wszelkich trudach i niebezpieczeństwach.

Te słowa sprawdziły się zupełnie. Siegmar jak najpilniéj postępował w powinnościach nowego swego stanu; częste bezsenne nocy nie nużyły go, a kiedy przyszło do walki, gdzie każdy odwagę swoją mógł okazać, zawsze on był pierwszym i zagrzewał towarzyszy temi słowy:

— Na Francuzów bracia, na nieprzyjaciół niewiast, niszczycieli pokoju miljonów rodzin!

Wtedy twarz jego taką wściekłość wyrażała, jakiéj nikt po tym młodzieńcu, tak słodkim, nie mógł się spodziewać. Przy zapale z jakim zwykle rzucał się na nieprzyjaciela, i przy licznych niebezpieczeństwach, w których się znajdował, dziwiono się powszechnie, że bez żadnéj rany doszedł aż w okolice Troyes. Z pod-oficera, którym był jeszcze po bitwie pod Dannewitz, mianowany został wkrótce oficerem i adjutantem Jenerała, który lubił mówić o nim i zwykle dodawał: że przed wszystkiemi innemi najwięcéj chlubi się z tego ochotnika.

III.

Każdemu postrzegaczowi, Siegmar musiał się wydawać psychologiczną nadzwyczajnością. Przy niewymownéj swéj słodyczy, wpadał w dziką niepohamowaną wściekłość przeciw nieprzyjaciołom, skoro zabrzmiały krwi chciwe pieśni wojenne; przeciwnie, kiedy wesołość młodzieży w uniesieniach granice przyzwoitości przestępowała, siedział milczący i ponury, lub opuszczał swawolne koło. W ogóle prowadził on wśród gwaru żołnierstwa zupełnie spokojne życie, i prócz zemsty nad Francuzami, wszystkie inne uczucia krył w sobie. Jeden tylko porucznik Baerenfels, również ochotnik w téj saméj co Siegmar kompańji służący, był jego poufałym towarzyszem. Siegmar zdawał się

na nim bardzo polegać; mimo to jednak i przed nim zachowywał najgłębsze względem swego pochodzenia i innych okoliczności milczenie. Przypadek odkrył nakoniec Baerenfelsowi to, czego się już od kilku tygodni domyślał, że jego przyjaciel Siegmar nie należał do płci męzkiéj. Niezmierną to sprawiło mu radość; sympatja, która go dotychczas z tym młodzieńcem łączyła, nabrała pewniejszy kierunek. Niezdolny długo taić swego odkrycia, połączył zarazem prośbę o rękę i serce.

Lecz pobladłe lica i błędne spojrzenie nie było wcale przychylném przyjęciem jego uczuć.

— Widzisz Pan, rzekła nakoniec po długiéj przerwie, jak jestem zmięszaną i niezdolną do ostatecznego postanowienia. Zostaw mi czas do tego. Jakkolwiek wypadnie, możesz być pewnym, że ze wszystkich, po Jenerale, pana najwięcéj szanuję i poważam. Tymczasem poprzestań na tém, dodała z przyciskiem, widząc, że niecierpliwość jego zdawała się wybuchać; i zachowaj w najgłębszém milczeniu twoje odkrycie.

IV.

Odprawiwszy tym sposobem Baerenfelsa, poszła natychmiast do Jenerała.

— Pozwól, rzekła więcéj niż kiedykolwiek wzruszona, pozwól mi szanowny mój opiekunie, zwie-

rzyć ci się. Jestem Prusaczka.... Przypadek odkrył Porucznikowi Baerenfels płeć moją, i przyzwoitość wymaga, abym cię o uwolnienie prosiła.

Jenerał stracił mowę z podziwienia, i nakoniec rzekł, biorąc ją za rękę: — Masz słuszność; w takich okolicznościach nie podobna ci myślić odalszéj służbie wojskowéj; lecz w chwili gdy się zagadka względem niektórych okoliczności w twojém dotychczasowém postępowaniu wyjaśnia, wpadam na trudniejsze zapytanie; jak mogłaś przy tak delikatnych uczuciach, tak surowych obyczajach, w tak nowy nie kobiecy stan wchodzić?

— Wdzięczność, jaką za nadzwyczajną dobroć twoją Jenerale winna ci jestem, nakazuje mi nie taić głównéj przyczyny.

„Do nieszczęśliwéj bitwy pod Jeną żył mój ojciec z czworgiem dzieci w dobrach swoich w Szląsku. Nic nam nie brakowało, tylko mątki, która może dla tego, że Bóg chciał jéj oszczędzić okropności przyszłych czasów, rokiem pierwéj niestety zawcześnie dla nas, zeszła z tego świata.

Wtedy razem z Francuzami spadło przekleństwo na całą naszą okolicę. Ogromne pobory z oburzającą gwałtownością wybierane, przytém liczne nadużycia i spustoszenia, zniszczyły od razu dobry byt właścieli dóbr, owoc ich długoletnich zabiegów i pracy. Chociaż dopiero lat 12 wówczas miałam, przypominam sobie, jak oburzało się młode serce moje, przeciw rozwiązłemu wojsku narodu,

który się za największy i najoświeceńszy uważa. Tymczasem powierzchowna ich układność, którą oni tak fałszywie oświeceniem nazywają, wywierała zgubny wpływ na serca niektórych godnych rodzin. W tych liczbie była i moja najstarsza siostra; pokochała kapitana, który u nas stał kwaterą, człowiek ten zdawał się być wyjątkiem między swemi. Jakkolwiek niechętnie patrzeliśmy na to, że siostra nasza będzie musiała nas opuścić; mój ojciec jednak sądził, że tego jéj szczęście wymaga, i tém chętniéj poddawaliśmy się téj myśli, im żywszemi były obrazy szczęścia i przyszłości naszéj siostry, które nam Francuz kreślił. Niestety! były to podłe kłamstwa.

Niezadługo trawiący smutek zabił moją siostrę, gdy się dowiedziała, że on ma jeszcze jedną kochankę w okolicy, a nadto, że już był we Francji zaręczonym.

Ale kielich jéj cierpień jeszcze nie został spełnionym; na śmiertelném łożu, musiała patrzéć nieszczęśliwa, jak naszego jedynego brata przyniesiono skrwawionego do domu. W obronie słabéj niewiasty, przeciw napaści pijanego żołnierza, brat nasz porwał się na niego, i wyrzucił za drzwi; wtedy trzéj inni, którzy chatkę jéj rabowali, nadbiegli i śmiertelne zadali mu rany.

Jednego dnia razem z moją zdradzoną siostrą został pochowany... Jeszcze mi włosy powstają na wspomnienie rozpaczy biednego ojca.

Zdawało się, że ze śmiercią syna serce ojca umarło; życie stało się tylko pozorném.

Przed dwoma laty umarł. Jego dusza bolała, że mnie wraz z młodszą siostrą bez pomocy musi zostawić. Dzieci moje!... rzekł, ściskając nas konwulsyjnie, i te były ostatnie jego wyrazy.

Jedyną moją i mojéj siostry nadzieją w okropnych okolicznościach, był stary wierny rządca dóbr mego ojca; równie, jak to mogę niechełpiąc się powiedzieć, rzadkie na wsi oświecenie, które winniśmy ojcu naszemu, bo on całą swą chlubę na naszém wychowaniu zakładał.

Zdawało się, że los nasycił się drogiemi ofiarami, z łona rodziny naszéj wydartemi. Przynajmniéj zewnętrzna spokojność nasza nie była zakłóconą. Nawet noszczący pochód do Rossji nie naruszył naszego mieszkania, a przy staraniu i wiadomościach rządcy, dobra nasze tak się podniosły, że z łatwością mogłyśmy ponosić ciężary, jakich w następującym roku ważne wymagały wypadki.

Jeden z sąsiednich właścicieli był Julji narzeczonym; ten jednak wraz z innemi zaciągnął się w szeregi ochotników.

Jego nieobecność ze wszech miar czuć nam się dała; nie dość bowiem, że on był jedyném naszém towarzystwem nadto jeszcze często musiał nas opuszczać stary rządca, pod którego pieczą na teraz i dobra naszego sąsiada zostawały. Gdy pó-

źniéj Francuzi w ciągu wojny znowu do Szląska przybyli, okolice nasze, na mocy układu przy zawieszeniu broni zawartego, szczęściem wolne były od wszelkiego kwaterunku.

A gdy kroki nieprzyjacielskie na nowo rozpoczęte zostały, obcy żołnierze z tém większą wściekłością wpadali w nasze posiadłości, im pewniéjszemi byli, że wkrótce z nich na zawsze wypędzeni zostaną. Co mogło, uciekało z okolicy, w któréj najokropniejsze spustoszenie z każdym dniem się szerzyło.

I ja szukałam schronienia w bliskiém miasteczku, dokąd i moja siostra poprzednio się udała.

Przybywszy tam, dowiedziałam się, że Julja dla szukania zapomnionego w pospiechu ślubnego pierścienia, do którego z pewnym rodzajem przesądu przywiązaną była, wróciła się do domu. Okropna trwoga dręczyła mię, dopóki nie udałam się w drogę ku naszéj dziedzinie. Ach! w jak przerażającym stanie wszystko tam znalazłam! Dach prawie cały obdarty, okna potłuszczone, sprzęty po drodze przez rabujących porozrzucane... Juljo, Julio! wołałam z rozpaczą wsród otaczających mię pustek.

Długo żadnego odgłosu.... nakoniec, okropny widoku... podniosła się w jednym oknie śmiertelnéj bladości postać, która boleśnie imią moje wymówiła, i z uniesieniem ku mnie wyciągnęła ręce. Juljo! zawołałam, i rzuciłam się do izby, gdzie ona bez sił znów na ziemię upadła.

— Bogu dzięki, że cię raz jeszcze widzę, zawołała; a ja rzuciłam się ku niéj, widok krwi mię przeraził, ale spostrzegłam, że ta pochodziła jedynie z lekkiéj na ręce rany.

W kilku wyrazach powtórzę tylko treść jéj opowiadania. Gdy znalazłszy pierścionek powracać chciała, rozpoczęła się w bliskości walka, kule wpadały do pokojów, strach odjął jéj przytomność, a gdy powróciła do zmysłów już znajdowała się w objęciach śmiejącego się francuzkiego officera, zranił ją gdy mu się wydzeć usiłowała, zbliżenie dopiero Rossjiskiego patrolu zmusiło go do ucieczki.

Umieram siostro, rzekła po tym serce rozdzierającym opisie. Aby na wszystko być przygotowaną, idąc tu wzięłam truciznę z apteki, czuję jéj silne skutki; moje cierpienia wkrótce się skończą.

— Słuchaj mię siostro, rzekła daléj, widzisz ten pugilares, zbrodniarz zostawił go tu uciekając. Przysięgnij mi, że jeżeli go znajdziesz, zemścisz się mojéj hańby, w ten sposób przynajmniéj, że mu okropną moją śmierć w oczy wyrzucisz. Niech rozpacza jeżeli ma serce. Przysięgnij mi jeszcze, o ty ostatnia gałązko naszéj wymordowanéj rodziny, że wiecznie nienawidzieć będziesz wszystkich, co z krwi francuzkiéj pochodzą.

Nieszczęśliwa w stosowną chwilę do mnie się odezwała, uniesienie i zapał wymówiły przysięgę na którą dotąd wzdryga się moja dusza. Julja

coraz słabsza skonała wkrótce. Łzy, które nad nią wylewałam, nie były zdolne zatrzymać najpiękniéjszego i najczystszego jéj życia, ani rozdzierające jęki w gwałtownym wybuchu rozpaczy, nie mogły go na powrót do zimnych zwłok jéj przywołać.

Rządca, który wszedł w téj chwili stanął z razu przerażony, widząc mię klęczącą przed siostrą moją. Nagle zbliżył się do mnie, i zakrył mi ręką usta, słysząc że modlitwa którą z podniesionemi rękoma wymawiałam, była tylko dziką mieszaniną pobożności i wściekłości.

— Miéj staranie o jéj zwłokach, rzekłam, skończywszy opowiadanie, które go do łez wzruszyło, ja nie mogę znieść tego widoku.

Tylko stan przerażenia w jaki go boleść wprawiła, był przyczyną, że pozwolił mi odéjść.

W górnym pokoju gdzie pospieszyłam aby wyszukać miniaturę mego ojca, znalazłam ją wprawdzie, lecz połamaną i startą. Rabusiom chodziło tylko o djamenty, któremi była osadzona. Ze drzeniem przebiegłam oczami pugilares dany mi przez nieszczęśliwą, znalazłam w nim imie i pułk tego, którego miałam szukać.

Ubiór starego niedawno nam zmarłego sługi, podał mi pierwszą stałą myśl wykonania woli drogiéj méj siostry. Zmieniłam moje suknie na ten ubiór i wziąwszy je, wyszłam niedostrzeżona tylnemi drzwiami domu. Aby tém lepiéj ukryć drogę, którą się miałem udać, zostawiłam moje ko-

biece suknie na brzegu bliskiego strumienia. Iakkolwiek lekkomyślnym mógł być ten czyn, przedsięwzięty w pierwszem uniesieniu, uniknęłam wszakże wszelkich niebezpieczeństw w *** miałam szczęście znaleść w panu Jenerale opiekuna, którego dobroć wiecznie zachowam w pamięci.

V.

Jenerał był głęboko tem opowiadaniem wzruszony. Ale jeszcze, rzekł, nie wyjawiłaś mi pani prawdziwego imienia twego, mogęż je wiedzieć?

— Byłoby to dziwnie, więcéj niż dziwnie, ukrywać nic nie znaczące imie temu, któremu niewachałam się powierzyć najważniéjszéj tajemnicy. Nazywam się Ulryka Lemburg.

— A ojciec Pani może Jan Lemburg, niegdyś kapitan w** skiéj służbie, zapytał prędko Jenerał.

Skinęła potwierdzając.

— Więc bądź dwakroć pozdrowioną. Służyliśmy w jednym pułku, czyż ci ojciec nigdy mego imienia nie wspominał?

— Nie, ile sobie przypominam. Milczenie jego łatwo jednak sobie wytłómaczyć, ponieważ on starannie unikał wszystkiego, co mogło mu przypominać wojskową służbę.

— Wiem dla czego. Nasz pułkownik, człowiek bez żadnych zasług był jego nieprzyjacielem, i do tego doprowadził, że twego ojca, najlepszego officera

z pułku oddalono. A więc i on nie żyje, spoczywaj słodko wybawco mój! Tak pani, on mi życie zachował, wstrzymał w potyczce pod** pałasze, które już nad moją głową się wznosiły, twój waleczny ojciec otrzymał wtedy ciężką ranę. Ale cóż teraz zamyślasz czynić moje dziecię?

Szukać mordercy Julji. Już myślałam że go w krótce znajdę, gdy większa część tego pułku w którym on służył dostała się w naszą niewolę. Ale dowiedziałam się że był rannym i w skutek proźby przeniesiony do dóbr swoich tu w okolicy; do téj chwili czekam na próżno okoliczności zrobienia tam wycieczki. Teraz, ponieważ przymuszoną jestem służbę porzucić, pierwszą moją myślą, jest zadość-uczynienie przysiędze.

VI.

Łubo posiadłość tego oficera tylko o milę niemiecką była odległą, Jenerał radził jednak Ulryce, z powodu niepewności dróg dla pieszych, zaczekać na jego żonę, która niezwłocznie przybyć miała, aby swoją słabą przyjaciołkę w téj okolicy jeszcze raz zobaczyć.

Ulrykę bardzo ta wiadomość ucieszła, ale w żaden sposób niemógł jéj Jenerał namówić, aby aż do téj chwili pozostała w ubiorze męzkim.

Przy okoliczności, wyjawiła mu także oświadczenie Baerenfelsa.

— To jest dzielny zacny młodzieniec, weź go sobie moje dziecię; przytem jego rodzice mają znaczny majątek.

Spuszczone oczy Ulryki i głębokie westchnienie wydawały więcéj, niż ona sama myślała.

— No, no, to się znajdzie późniéj, rzekł Jenerał, uśmiechając się. Tymczasowo ustąpił jéj jeden pokój w swojem mieszkaniu.

Nazajutrz gdy przybyła żona Jenerała, Ulryka ubrała się w suknie kobiece i odjechała.

Nikt nie wiedział co się stało z adjutantem, aż w końcu Jenerał oświadczył, że go z depeszami do Niemiec posłał.

Baerenfels niemógł być w tym względzie spokojnym, obawiał się, czy nie był przyczyną zniknięcia Ulryki, i wystrzegał się mówić w tym przedmiocie z Jenerałem, aż nakoniec ten wyjawił mu swoje uczestnictwo w tajemnicy.

Nie wymagaj teraz żadnego wyjaśnienia, kochany Baerenfels, rzekł Jenerał, poprzestań na zapewnieniu, że nie bez nadziei kochasz, i przyjmij w dowód mego zaufania miéjsce adjutanta po zniknionym.

VII.

Podczas jednego rekonesansu, przybył Jenerał z Baerenfelsem pod wieczór do wioski, gdzie wiele zgromadzonych ludzi zastali.

Po długiém wypytywaniu, dowiedzieli się nakoniec, że jakaś obca kobieta, właśnie tylko co zabiła dziedzica téj wsi, i została do wysłuchania zaprowadzoną.

Jenerał i Baerenfels zatrzymali konie. Lecz jakże zostali przerażeni, gdy w pojmanéj poznali Ulryke Lemburg.

Żądali być przypuszczonemi do inkwizycji, co im nie było wzbronionem.

Ulryka pokazała się niestrwożoną. Moc prawdy mówiła przez jéj usta. Z zimnym uśmiechem słuchał zbrodniarz powieści o śmierci siostry Ulryki. W uniesieniu gniewu, za wzgardę dla nieszczęśliwéj; przebiła go sztyletem, który tylko dla swéj obrony nosiła.

Żona przebitego, która z ciekawości szła za Ulryką i z za drzwi w pół otwartych niewidziana, świadkiem była czynu, potwierdziła zeznanie. Ona sama, mówiła, że na obrzydły śmiech męża przy wzruszającem opowiadaniu nieznajoméj, w taką wściekłość wpadła, iż na jéj miéjscu, to samo uczyniłaby.

Zeznanie to, mówiło zupełnie za Ulryką, trudno jednakże byłoby Jenerałowi, uwolnić ją z rąk sprawiedliwości, gdyby nie lekarz, który przyniósł wiadomość, że uważany za zabitego, wrócił do życia, i że rana jego była w prawdzie głęboką, ale nieśmiertelną. Sąd tém łatwiéj przystał na uwolnienie Ulryki, że i okoliczności za nią przema-

wiały i raniony podług wiary-godnego zeznania lekarza, żądał aby zaniechano badania. To życzenie zapewne nie było skutkiem żalu, za swoją niegodziwość, lecz obawy, aby sam do odpowiedzialnośći za zbrodnią na osobie siostry mściciełki popełnioną, pociągnionym nie był.

Jenerał odprowadził Ulrykę do niedalekiego miejsca jéj mięszkania, Baerenfels który im towarzyszył, czynił jéj wyrzuty względem nagłego zniknięcia, ale za pośrednictwem wspólnego przyjaciela porozumieli się jeszcze w drodze.

W mieszkaniu Ulryki, gdzie wszyscy cieszyli się widząc ją wracającą w towarzystwie Jenerała, po kilku godzinach oddalenia Baerenfels znalazł pierwszą okoliczność pomówienia z nią na osobności.

— Znasz droga moje życzenia, rzekł stanąwszy przy niéj w odosobnionem oknie, życzenie mojego starego ojca abymię przed swoją śmiercią ujrzał żonatym zgadza się z mojém zupełnie, uwieńcz chęci dwóch poczciwych ludzi, przyjmując rękę, którą ci już dawniej ofiarowałem.

— Gdy wrócisz do Niemiec, rzekła cicho z spuszczonemi oczyma.

— Dzięki ci najdroższa, ale nie odwłócz szczęścia mojego, powiedz dzisiaj.

— Niepodobna, ten przeklęty kraj zniszczyłby szczęście naszego związku.

— Dosyć, rzekł Jenerał który oddawna niepostrzeżony do nich się zbliżył. Precz z przesądami,

wy sami w sercach waszych nosicie błogosławieństwo waszych związków i żadne miejsce nie potrafi wam szkodzić. Jutro dzieci, jeśli nam jaka godzina zostanie zjedziem się tu razem na wesele. My wojacy musiemy wszystko w lot robić.

Jenerał nie chciał słuchać daléj żadnych wymówek, gdy Ulryka raz już wydała się, że uczuciom Baerenfelsa serce jej odpowiada.

— Wyciągnąłeś dziś wielki los Baerenfels, rzekł w drodze dowódzca do swego adjutanta, którego serce przepełnione było wdzięcznością dla pośrednika w tak ważnéj okoliczności.

VIII.

Następnego dnia nie było ani chwili czasu do wykonania tego zamiaru, ale równo ze wschodem słońca na trzeci dzień, przyjechał narzeczony z Jenerałem do mieszkania Ulryki. Za godzinę mówił Jenerał, siadamy znów na konie, chodźcie więc jak jesteście panno młoda i świadkowie do kościoła.

Damy protestowały z początku, ale on mówił daléj, nie róbcie mi ceremonji, kto wie jak daleko będziemy z tąd jutro, w wojnie nie trzeba na drobnostki uważać, a szczególniéj w téj chwili, do uświetnienia téj miłéj uroczystości, nie sukien ala serc pięknych potrzeba, Jenerał, który właśnie zupełnie o swojéj toalecie zapomniał, słusznie mówił, ale

stronniczki pięknych powierzchownych form, kobiety, które obraza przepisów przystojności, mocno dolega, z westchnieniem mu ustępowały, zdawało się, że przeczucie jakiegoś smutnego wypadku, już zawczasu serca ich ściskało.

Duchowny, którego Jenerał poprzednio w parafji zamówił, czekał już gdy poczet do kościoła przybył.

Przemowa była bardzo stosowną do okoliczności, tak, że nawet na świadkach mocne uczyniła wrażenie.

Tém bardziéj uderzyło wszystkich, kiedy kapłan wymienił całe imie pana młodego i miéjsce jego urodzenia, Jan Ludwik de Lamerre nazwany von Baerenfels, urodzony w Marsylji.

Blednąc widocznie, patrzała Ulryka to na kapłana to na Baerenfelsa, nakoniec zwolna zstąpiła ze stóp ółtarza i upadła bez zmysłów na kamienie. Wszyscy z trwogą zajęli się Ulryką, ale zaledwie odzyskała zmysły, prosiła aby ją do domu odprowadzono. Jeden tylko Jenerał odgadł zupełnie przyczynę. W milczeniu wszyscy poszli za niemi.

IX.

— Pana imie, Baerenfels, rzekła do niego, zwiodło mię, dla czegóż nie powiedziałeś że jesteś francuzem.

— Bo o tem z nikim mówić nie zwykłem. Podczas rewolucji, opuściwszy Francją, rodzice moi kupili sobie w Niemczech dobra, i od nich przyjęli nazwisko Baerenfelsów. Po cóż miałem w téj wojnie wracać się do mego dawnego miana, tem bardziéj, że jestem sercem i duszą niemcem.

— Ale niestety! francuzem z rodu, rzekła Ulryka.

— Dzieckiem przybyłem do Niemiec, i spodziéwam się, że okazałem się i jeszcze potrafię się okazać w téj wojnie, wdzięcznym synem tego kraju.

— Jesteś francuzem, i to mię przymusza unikać cię, okropny ślub wiąże mię w ten sposób, że nawet nie mogę ci powiedzieć, bądź szczęśliwym choć moje serce pęka z boleści.

— Ulryko! krzyknął przerażony i chciał ją uchwycić za rękę.

Cofnęła dłoń i rzekła drżącym głosem:

— Od téj chwili żadnego już mieć nie możemy związku; święty ślub nakazuje mi, nienawidzieć pana, dla jego urodzenia, tak jest, jeśli pana jeszcze kiedy spotkam, nie wolno mi podać ci wody, choćby cię to miało od śmierci uchronić.

Odwróciła się do przytomnych i rzekła, Pozwólcie teraz niech się oddalę i wyszła do poblisskiego pokoju. Jenerał udzielił obecnym małe wyjaśnienie o całéj rzeczy, potem poszedł do Ulryryki aby jéj przemowić do serca. Naprózno przedstawiał jéj, że siostra która bez wątpienia szczęścia

jéj pragnęła, nie mogłaby wymagać tak ścisłego wypełnienia przysięgi wśród cierpień wymówionéj, że przytem nadewszystko, Baerenfels, który teraz z takim zapałem przeciw Francyi walczy, nie może być w żaden sposób za francuza uważanym.

— Moje sumienie rzekła, nie może dla tego milczeć. On jest z rodu francuz, a to właśnie jest słowo mojéj siostry, na które jéj największe zaręczenie dałam; przez całe moje życie wymawiałabym sobie krzywoprzysięztwo i stan mój byłby jeszcze boleśniejszym niż teraz.

Jenerał widział że niema sposobu zmienienia jéj zamiaru, i objawił Baerenfelsowi jéj ostateczne postanowienie niemym ściągnieniem ramion.

X.

W głównéj kwaterze czekało już nowe nieszczęście na biednego młodzieńca, ojciec jego umarł. Matka w liście, w którym mu o tym smutnym wypadku donosiła, zaklinała go o najspieszniejszy powrót, Jenerałowi sprawiło to wielkie ukontentowanie, lękał się on że rozpaczający młodzieniec w najpierwszéj potyczce umyślnie śmierci szukać będzie, i jedyny sposób ocalenia go, w odmianie sposobu życia upatrywał; dla tego wydał mu uwolnienie tego samego jeszcze dnia. Gdy Baerenfels polecał się jego pamięci, Jenerał rzekł do niego: młodzieńcze spełnienie powinności niech

zatrze troski w twojém sercu; bolesć mogła by ci śmierć przynieść a życie twoje potrzebne jest twéj matce. Powinność jest we wszelkich niebezpieczeństwach jedyną ucieczką, bądź zdrów.

W domu w Niemczech znalazł Baerenfels matkę w krótkim przeciągu swego oddalenia, bardzo zmienioną i ostatnią stratą przygnębioną. Lecz jakąż pociechę mógł przynieść strapionéj, sam cierpiąc; czuł on swoją niemożność w tym w zględzie i że będzie musiał stan swego serca przed nią ukrywać. Im bardziéj pani Baerenfels sądziła się bliską grobu, tém mniéj chciała odwlekać spełnienie swego życzenia, aby ujrzéć jedynego swego dziedzica szczęśliwym w małzeństwie.

Tu już straszna tajemnica nie mogła się utrzymać w sercu Baerenfelsa.

— Kochana matko, zawołał, pomny twojego i zmarłego ojca życzenia, dawno już uczyniłem wybór i byłem najszczęśliwszym, bo posiadałem miłość najszlachetniéjszej istoty. Lecz gdy przy ołtarzu, gdzie już razem z nią błogosławieństwa oczekiwałem, kapłan wymówił moje francuzkie nazwisko i miéjsce urodzenia, oblubienica padła bez zmysłów na święte stopnie ołtarza, i wszelkie przedstawienia, że w najmłodszych latach ten nieszczęśliwy kraj opuściłem, nawet jéj przekonanie o mojem przywiązaniu do Niemiec, nie zdołało już zbliżyć jéj do mnie. Odepchnęła mą

rękę od siebie, oświadczając, że żadnego związku między nami być nie może, bo to imie francuz jest u niéj celem nienawiści.

— Nie, mój synu, zawołała pani Baerenfels, lekkomyślne tylko dziecko może podobne zarzuty czynić; i cały, wielki, bogaty najszlachetniéjszych ludzi naród, swoim wyrokiem potępiać, nie zaś rozsądna kobiéta jakiéj tobie potrzeba.

— Nie mów matko o lekkomyślności, zawołał uniesiony młodzieniec, i opisał wszystkie okoliczności jakie mu Jenerał wyjawił; nakoniec przydał: przysięga pozbawiła mię na wieki jéj serca, i na bezżeństwo skazała; bo każdy inny wybór, jeszcze by mi bardziéj przypominał nieocenioną stratę i towarzyszkę moją w przepaść mych cierpień pogrążał.

— Kochany synu, rzekła strapiona niewiasta, najgłębszy nawet smutek, jeżeli nie w naszéj własnéj winie ma źrzódło, przemija. Człowiek wtedy nie powinien podlegać słabemu swemu sercu, i twe własne i przyszłych twych poddanych dobro, winno cię było dawno do nowego wyboru skłonić, gdyby nawet ojciec nie włożył na ciebie tego obowiązku. Oby nasz syn, te były ostatnie jego słowa, mógł jak najprędzéj godną małżonkę w ten dom wprowadzić. Napisz mu, niech jak najspieszniéj wraca, i powiedz mu w mojem imieniu, niech się stara pocieszyć cię towarzystwem

dobréj córki, abyś mógła spokojnie zéjść ze świata, kiedy twoja godzina także wybije.

XI.

Pani Baerenfels tak często powtarzała słowa zmarłego synowi, tyle wmawiała potrzebę ożenienia się, że ten nakoniec od czasu do czasu odkładaną chwilę namysłu oznaczył i zgodnie z życzeniem matki postanowił. Wymówił jednak sobie, że matka ma wybrać, a on przyrzekł w każdym przypadku wybór jéj przyjąć.

Stało się, wybrana przez nią sierota nazywała się Emilja Kaltheim.

Im więcéj zachwyconym był młodzieniec pięknością i nieporównaną dobrocią Emilji, tem mniéj był w stanie ukrywać przed nią prawdziwy stan swego serca. Przydał przytem że niczego niezaniédba aby stał się godnym jéj małżonkiem.

Dzień zaręczyn, który pani Baerenfels sama oznaczyła, miał prawdziwie szczególny koloryt. Emilja zdawała się strwożoną uczuciami narzeczonego, świat, który się tego dnia za nią zamykał, prócz obfitych boleści miał także przyjemne kwiatki, które jéj serce pokochało. Przytem nowy otwiérający się przed nią świat okazywał jéj oblicze, które przez mgłę jéj smutku, nabierało okropnego wéjrzenia. Przy-

najmniéj łza cały dzień prawie z pięknego błędnie przed sobą utkwionego oka płynąca, świadczyła o tem.

XII.

Aby na chwilę być sam z swemi myślami, poszedł Baerenfels zaraz po obiedzie do bliskiego lasku. Gdy wracając, przechodził koło ogrodu oberży, usłyszał swoje imie cicho wymówione, obrócił się w stronę z kąd głos ten pochodził, i ujrzał cień z rysami Ulryki, który zagasłem okiem gniewnie na niego spojrzał.

— Jéj duch, jéj zagniewany duch, wyjąkał osłupiały i pobiegł ku swemu mieszkaniu.

— Na Boga, co się panu stało, zapytała przerażona oblubienica, spostrzegłszy go; jeszcze pana tak bladym, tak pomieszanym nigdy nie widziałam.

— Ach! jeszcze też nigdy nic okropniéjszego nie doznawałem. Widziałem jéj gniewnego ducha przed sobą.

— Jéj? zapytała przelękniona, ale choć Baerenfels nic nie odpowiedział, jego przerażenie przypominało drżącemu jéj sercu imie Ulryki.

— Boże! zlituj się nad nami, rzekła, a Baerenfels, który z przerażenia przed duchem, oczy sobie zasłonił, spojrzał dopiéro obłąkany za tą, co

tak trafne słowa wyrzekła, kiedy ona już przez salon do pokoju jego matki pobiegła.

XIII.

Długo jeszcze najposępniejsze myśli miotały duszą jego w téj samotności, nakoniec zerwał się. Gdyby też to nie cień jéj, ale ona sama była.

Porwał kapelusz i pobiegł do oberży.

— Była tu jaka obca kobieta dzisiaj.

— Była, odpowiedział gospodarz, wachając się.

— Jej nazwisko.

Zapytany zapewnił że nie wie jéj nazwiska, towarzyszył jéj jakiś mężczyzna, który, jak mógł z rozmowy ich domyślać się, był rządcą jéj dóbr.

—Pytała się o mnie.

— Tak jest, odpowiedział oberżysta, widząc że wachanie się jego marszczyło brwi Baerenfelsa.

— Mów wszystko co wiesz, zaklinał młodziedzieniec, nie lękaj się, nie możesz pogorszyć mego położenia.

— Otóż łaskawy panie, kiedym jéj o zaręczynach pańskich wspomniał, zdawała się bardzo nieukontentowaną. Tak prędko już inna! zawołała. Tak, on także jest francuzem. Więcéj już nic nie mówiła, nietknęła nawet przygotowanego obiadu. Chciała natychmiast daléj pojechać, ale konie jéj nie były jeszcze napaszone.

— Przynajmniéj muszę wyjść na wolne powietrze, rzekła, a ja poprowadziłem ją do ogrodu; chciałem koniecznie zacząć jaką rozmowę, ale mi się nieudawało. Nakoniec weszła do altanki i wyjrzała przez okno, albo raczéj patrzała smutnie tylko przed siebie:

Wkrótce potém pan przyszedłeś z lasu. Oto idzie pan Baerenfels, rzekłem; spiesznie spojrzała na pana i wybiegła z ogrodu. Stangret jéj tymczasem zaprzągł. Aby się dłużéj nie zatrzymać, położyła mi za mój rachunek dukata. Zaraz potém powóz jéj, można powiedziéć, polecał.

— W którą stronę? zapytał Baerenfels.

— W tamtą, zapewne wraca do Szląska, z kąd przyjechała, tyle mogłem wyrozumieć z mowy jéj towarzysza.

Baerenfels wypytał się jeszcze, jak wyglądał jéj powóz; kazał sobie przyprowadzić konia z swéj stajni i ruszył takim pędem przez wieś, iż wszyscy wybiegli do okien, i lękali się, żeby jego dotychczasowa melancholja, okropnego końca w téj przejazdce nie była przyczyną.

XIV.

Z odpowiedzi na pytania, które w każdéj oberży i na każdéj poczcie czynił, mógł wprawdzie być pewnym, że ciągłe idzie za śladem téj, któréj szukał, ale czas strawiony w domu i w oberży

po jéj wyjeździe, zostawiał go zawsze daleko za nią. Dopiéro w wieczór zobaczył przed jakąś oberżą powóz, podobny do opisanego przez oberżystę; pojechał prosto ku drzwiczkom.

Gwałtowne przerażenie siedzącéj w powozie na widok Baerenfelsa, przekonywało go, iż dopiął zamierzonego celu, ale z drugiéj strony uważając pilniéj, przekonał się, że mimo wszelkiego podobieństwa do Ulryki, nie była to jednak ona.

Wstręt jéj zaczynał się zmniejszać, gdy z zapałem zapytał się czy, Ulryka Lemberg nie jest jéj krewną, i gdzie się znajduje.

— Jakto? czyż pana może to jeszcze obchodzić? zawołała uszczypliwie, albo czyli wspaniałomyślność jego, pragnie nieszczęśliwéj tak prędko zapomnianéj, drugie miejsce w swojém sercu ofiarować?

— Zapomnianéj! przezemnie zapomnianéj? zawołał Baerenfels i ślady głęboko zranionéj duszy wystąpiły na twarz jego. W chwili gdy dzisiejszym związkom, naleganiom podeszłéj matki, i ostatniéj woli zmarłego ojca, całą spokojność mojego życia poświęcam, mogęż zapomniéć téj, co jest życiem mojego życia!

Boleść jego obudziła współczucie obcéj, i nie trudno mu było wyjednać sobie chwilę rozmowy.

Gdy wysiadła z pojazdu, młodzieniec nie mógł ukryć wzruszenia, na widok młodéj piękności, wysuszonéj boleścią i rozpaczą; podobieństwo jéj

do Ulryki, tem większe na nim czyniło wrażenie.

— Teraz sądź pani o mnie, rzekł Baerenfels, skończywszy opowiadanie o swoim przymuszonym związku.

Przyjacielsko, i jakby prosząc o przebaczenie, podała mu rękę nieznajoma. Była to Julja, siostra Ulryki, od dawna za umarłą uważana. Aptekarz, którego w owym fatalnym dniu o truciznę prosiła, dał jéj tylko napój na sen; po przebudzeniu się, jak się ten godny człowiek spodziéwał, wspomnienie gorzkich wyrzutów o usiłowane samobójstwo, z jakiemi zasnęła, wstrzymały ją przy pomocy religji, od dalszych na życie swoje zamachów. Ale smutne jéj położenie pogorszyło się do najwyższego stopnia, stratą ukochanéj siostry, któréj suknie nad jeziorem znaleziono; wkrótce też wydobyto z wody ciało kobiéty, któréj twarzy dla wielu ran nie można było poznać; uważano ją jednak tak pewno za Ulrykę, iż ją w familijnym grobie pochowano.

Ulryka wróciła do domu rodzinnego, a Julja dowiedziawszy się o wszystkiém, mimo słabości, która bliski jéj zgon przepowiadała, nie dała się odwieść od przedsięwzięcia pojechania do Baerenfelsa. Sama chciała naprawić złe, będące skutkiem wymuszonéj przez nią przysięgi, i można sobie wyobrazić, jak przykre wrażenie uczynić na niéj musiała wiadomość, o związku nowym Baerenfelsa.

Żegnając się z nią tkliwie Baerenfels, zawołał z uniesieniem: Wkrótce pani, wkrótce ty i twoja siostra usłyszycie o mnie!

XV.

Powracając do domu, długo myślał jakimby sposobem uwolnić się od związku z Emilją, i nakoniec osądził, że najlepiéj będzie opowiedzieć całe zdarzenie.

W Baerenfels jeszcze światło we wszystkich oknach było widać, jakkolwiek późno bardzo wracał; oddawszy konia do stajni, gdy chciał iść do pałacu, aby troskliwość swoich ludzi z powodu tak szczególnego oddalenia zaspokoić, ujrzał przy świetle księżyca służącę Emilji, ostrożnie wychodzącą z domu. Jéj niespokojność, oglądanie się, bilecik, który w ręku jéj zobaczył, sprawiły, iż pobiegł za nią; krzyk przestrachu, który na widok jego wydała, i usiłowanie ukrycia przed nim biletu, podwoiły ciekawość jego; porwał więc list z jéj ręki, i poszedł ku pałacowi, niezważając, że biédna dziewczyna, z płaczem szła za nim aż do drzwi.

Z niespokojnością wybiegły ku niemu matka i Emilja.

— Co to Pan masz? zapytała Emilja, a żywy rumieniec okrył jéj lica.

— List odebrany służącéj pani.

— Ten list ja pisałam, odpowiedziała Emilja, wyciągając rękę; jeźli jednak pan sądzisz, że w nim co niewłaściwego znajdziesz, proszę czytać.

— Nie, odpowiedział Baerenfels, i gdyby nawet rumieniec pani, bardziéj o nadzwyczajności tego zdarzenia świadczył, zawsze poprzestanę na jéj słowie.

— Ty inaczéj o tém myślisz, kochana matko, rzekła Emilja, biorąc list; sądzę, że wszystkim wam powinnam wyjawić tę tajemnicę.— Wiecie, że wychowaną byłam w domu Barona Wilden. Młody Wilden, powróciwszy z uniwersytetu, powziął szczególne ku mnie przywiązanie; przyznać muszę, żem nie odrzucała jego przychylności, bo w tém nic złego nie widziałam; zdaje się jednak, że temu młodzieńcowi przeznaczono córkę jakiéjś znakomitéj rodziny. Skoro się o tém dowiedziałam, wdzięczność dla jego rodziców nakazała mi, zerwać z nim ostatecznie związki. Ręka pana Baerenfels, ofiarowana mi przez ciebie matko moja, była dla mnie zesłaném z nieba szczęściem, dodając mi mocy do spełnienia trudnéj ofiary. Ale Baron nie przestał mię ścigać; co większa, schronienie, które u was znalazłam, zwróciło jego uwagę. Od kilku dni już, nie odważam się wyjść z pałacu, bo go kilkakrotnie widziałam w pobliskości; ostatniéj nawet nocy, sły-

szałam dobrze mi znaną piosnkę na gitarze, pod mojém oknem.

Poprzednio jeszcze, znalazłam w pokoju moim list, bezwątpienia przez okno wrzucony; przeczytajcie go.

XVI.

Przeczytano list młodego barona; świadczył o gwałtownéj burzy miotającéj duszą jego; pisał przytém, że rodzice przekonawszy się, że żyć bez Emilji nie może, zezwalają na ich związek.

Emilja odpowiedziała mu z całą godnością pięknego i stałego charakteru, jako do innego już należąca, prosząc go, aby miał wzgląd na jéj sławę.

Łzy, których ślady tu i owdzie znać było na tym liście, świadczyły, ile ją kosztowało to odmówienie.

Pani Baerenfels uścisnęła ją z tkliwém uniesieniem, mówiąc:

— Sama cnota kreśliła te wyrazy.

— Lecz cnotę miłością swoją okupuje! zawołał syn Pani Baerenfels.

— Pozwól pani, abym na twojém miejscu, zaniósł Wildenowi ustną odpowiedź, albo raczéj abym go po nią, do pani przyprowadził. Idąc za dźwiękami gitary, którą słychać w ogrodzie, spodziewam się go znaleść.

— Jak Pan chcesz, zawołała Emilja płacząc, więc odstępujesz mojej ręki, aby mię przez to wystawić na najboleśniejsze wyrzuty, o niewdzięczność za wasze łaski.

— Pragnę tylko okazać pani, że wspólne nasze nieszczęście, koniec wzięło.

Wybiegł, wkrótce powrócił, i przyprowadził zdziwionego Barona, a oddając mu rękę Emilji, któréj ona nie miała odwagi cofnąć, rozwiązał z zadowoleniem wszystkich, niezrozumiałą dla nich zagadkę, wyjawiając im szczegóły, które już są wiadome.

Następnego dnia pojechał Baerenfels do dóbr Ulryki.

— Teraz dość już żyłam, rzekła Julja, gdy Baerenfels został szczęśliwym małżonkiem Ulryki, a czyste niebieskie zachwycenie, widać było w jéj oku.

Zgon jéj był pojednaniem z losem, a cicha pogoda jéj oblicza okazywała radość, jaką czuła, zamieniając boleści ziemskie, na koronę wiecznego życia.

H. Clauren.

PAN PIOTR.

I.

Piotr Rouvierre miał dopiero pięć lat, kiedy w ciągu kilku dni, tyfus panujący podówczas w Tulonie, wydarł mu ojca, a następnie matkę. Biédne dziecię pozostało bez pomocy, bo krewni jego niedawno przedtém, utracili cały majątek przez bankructwo.

Nie wiedziano co z nim czynić; nakoniec przypomniano sobie, że w Paryżu mieszka wuj jego, bardzo bogaty jak mówiono, bo zwykle bogatym być musi, wuj mieszkający daleko od swoich krewnych. Postanowiono zrazu napisać do niego, czy zechce zająć się swoim synowcem, ale gdy jeden z krewnych słuszną uczynił uwagę, że pan wuj mógłby wcale nieodpowiedzieć, a przynajmniéj, nie przychylić się do ich prośby, wsadzono przeto małego Piotrusia w dyliżans, z aktem zejścia jego rodziców, adresem wuja, kupca przy ulicy Sainte-Avoie, i tuzinem uścisków i życzeń. Niestety, był to nędzny posag sieroty, ale na szczęście, biedna dziecina nie pojmowała swego ubóstwa.

Dzięki opiece konduktora, któremu szczególnie został polecony, mały Piotruś dostał się bez szwanku aż do swojego wuja.

Franciszek Godard miał lat około pięćdziesiąt; nie ożenił się dotąd, aby uniknąć wydatków na żonę i kłopotów z dziećmi. Wszystkie jego zdolności ograniczały się na handlu rozmaitém żelaztwem, szczotkami i t. d. Wystawcie sobie rozpacz starego kawalera, na widok malca, którego mu przesłano jakby paczkę towarów; jednak śmierć siostry i szwagra rozczuliła go, a wesołość dziecięcia dopełniła reszty.

Prócz tego, niebyło sposobu odrzucenia takiego dziedzictwa. Cózby świat powiedział, gdyby Franciszek Godard odepchnął swego siostrzeńca? Musiał więc biédny wuj przyjąć ten nowy kłopot. Piotruś został przyjęty, jeśli nie z radością, przynajmniéj bez wielkiego wstrętu.

Ale tego w żaden sposób nie przewidywał stary kramarz, że wkrótce nie będzie mógł obejść się bez swego maleńkiego krewniaka, którego obecność tak mu z początku zdawała się nieprzyjemną. Dziecię to dało mu poznać wesołość, o któréj nigdy nie pomyślał. Tyle sobie wróżył zamięszania i nieporządku za przybyciem tego nieoczekiwanego gościa, że nie pojmował się z radości, uważając spokojność i posłuszeństwo dziecięcia.

Piotruś postrzegł przychylne usposobienie wuja, i użył swego wpływu, jak wszystkie słabe istoty,

z większą zręcznością niż rozumem, i wkrótce został zupełnym panem w domu swego opiekuna. Ten ostatni chlubił się ze swego wychowańca; najprzód, był to żywy dowód jego dobrych uczynków. Ile razy wyszedł z dziecięciem na przechadzkę, sąsiedzi spostrzegłszy ich, odzywali się zawsze z pochwałą szlachetności *zacnego* pana Godard!... Prócz tego Piotruś ładny, zwinny jakby jakie paniątko, i wujaszek czuł się upięknionym jego pięknością. Dlatego, kiedy odpowiadał osobom przychodzącym do sklepu jego, i podziwiającym ułożenie zręczne dziecięcia: „To jest mój synowiec“ — mniemaćby można, że tym sposobem podwyższał własną swoją godność w mniemaniu pytającego.

Znajdując przyjemność w pochwałach dawanych małemu, a które zawsze na swój karb zwykł był liczyć, pan Godard starał się ile możności pomagać wrodzonym przymiotom swego synowca; dla tego sprawiał mu bardzo ładne sukienki, przyzwyczajał go obchodzić się ze wszystkiém ostrożnie, żeby sobie nie powalać rąk albo twarzy, i zabraniał mu bawić się na ulicy z innemi chłopcami, równego z nim wieku.

Piotruś chętnie zgodził się na to wszystko. Ale pozbawiony zabaw pełnych ruchu, które są życiem dziecinnego wieku, i rozwijają jego władze, przyzwyczaił się do miękkiego próżnowania, które nieźle wyglądało przy jego dziecinnéj postawie,

ale późniéj przerodziło się w śmieszną gnuśność. Piękność jego znikła, stał się podobnym większéj części dziesięcioletnich dzieci paryzkich, i przestano dziwić się jego zręczności.

Zaledwie tę zmianę postrzegł stary kupiec, jego przywiązanie nagle zaczęło się zmniejszać. Kochał swego siostrzeńca dopóty, dopóki go chwalono; ale skoro zaczęto wyśmiewać się tylko z wyszukanych strojów Piotrusia, poczciwy wujaszek zmienił punkt widzenia, i zwrócił uwagę na koszta, których te ubiory wymagają. Dopiéro wtedy pierwszy raz przyszło mu na myśl, że Piotruś ma lat dwanaście, i że trzeba mu obmyślić jakieś zatrudnienie. Dla tego rozgniewany pewnego dnia, że musiał zapłacić miesięczny rachunek krawca, oświadczył swemu siostrzeńcowi, że nie może dłużéj pozostać nieczynnym, i że nazajutrz rozpocznie naukę u stolarza, jednego z jego przyjaciół.

Ta wiadomość była uderzeniem piorunu dla Piotra. Czuł on nieprzezwyciężony wstręt do pracy; nie znał tego, że wszystko co jest pożyteczném, jest zarazem godném szacunku, i że najpiękniejszym wieńcem dla czoła młodego człowieka, jest pot znużenia.

Gdy Piotra wprowadzono nazajutrz pomiędzy pracowitą czeladkę w fartuchach, doznał szczególnego uczucia dumnéj wzgardy. Rzucił precz od siebie narzędzia, jakie mu dano, i zaczął prze-

chadzać się dumnie wpośród wiórów sosnowych.

Wyśmiewania towarzyszy i rozkaz pana, przymusiły go wziąść się do roboty. Na nieszczęście wychowanie jego uczyniło go słabym i niezgrabnym; nic mu się nie udawało, i to zwiększyło nieukontentowanie jego.

Wkrótce kazano mu razem z drugim, równie jak on początkującym, zawieźć meble na odległą ulicę. Musiał pomagać w ułożeniu ich na wózku, a potém założono mu pas przez ramie.

— Ciągnij! zawołał jego towarzysz, który zajął miejsce w tyle wózka, i z całéj siły popychał go.

Piotr ciągnął, i wózek posuwał się. Ale potrzeba było przebyć ulicę Sainte-Avoie, gdzie nasz nowicjusz dobrze był znany.

— Co to? zawołał syn korzennika, który najpierwéj go poznał; pan Piotr został koniem dyszlowym!

Piotr spuścił oczy, rumieniąc się, ale Antoś towarzysz jego odezwał się:

— To się tobie nie zdarzy niezawodnie.

— Dla czego?

— Bo zawsze będziesz osłem.

Ze wszech stron powstały huczne śmiechy, i syn korzennika spiesznie ukrył się w sklepie.

Cokolwiek daléj, młoda kramarka odezwała się w pół-litośnie i w pół-żartobliwie:

— Ach! mój Boże! panie Piotrze, poplamisz twoją piękną merynosową bluzę; jeśli chcesz, pożyczę ci fartuszka.

— Zeszyj lepiéj twój, bo rozdarty, odpowiedział znowu Antoś.

Dziewczyna spojrzała na swój fartuszek, i cofnęła się zawstydzona.

Już minęli ulicę Sainte-Avoie, i Piotr cieszył się, że uniknął dalszych docinków, gdy wtém potrącił jakiegoś próżniaka, rysującego węglem na murze. Ten odwrócił się, i zmiarkowawszy z ubioru i postaci Piotra, z kim ma do czynienia, odepchnął go i podniósł rękę, chcąc go uderzyć.

— Powoli, powoli, zawołał Antoni, stawając między niemi, jeżeli nie chcesz co oberwać.

Ten, do którego ściągały się słowa jego, sądząc z postawy i żylastych rąk mówiącego, żeby źle wyszedł, wdając się w walkę, odszedł, mrucząc jakieś przekleństwo. Piotr zatrzymał się, aby cokolwiek spocząć.

— Szczęśliwyś, rzekł do towarzysza, że umiesz każdemu odpowiedzieć stosownie!

— A cóż? czy mam sobie pozwolić skubać wełnę jak owca? Pan Bóg nie naprózno dał nam język i dwie ręce. Pracuję ile mogę, wypełniam moją powinność, ale nikomu nie pozwolę grać na moim nosie. Daléj, ciągnij panie Piotrze, bo majster kazał nam się spieszyć.

Pomimo dobrych rad i przykładów Antoniego, Piotr nie nabrał ochoty do pracy, i wuj jego częste odbiérał skargi na jego niepilność i niezdatność. Stary rozgniewał się tém nareszcie, i surowo się obszedł z dziecięciem, które przez to większego nabrało wstrętu do rzemiosła, do którego chciano go gwałtem przymusić. Wuj podwoił swoją surowość, a siostrzeniec stał się jeszcze opieszalszym.

W ten sposób oba używali swoich sił bezpożytecznie. Piotruś przekonany, że krępują jego skłonności, z całych sił opierał się temu. Mniemał on, że tylko ma wstręt do tego rzemiosła, które mu wybrano; tymczasem istotnie, był to wstręt ogólny do pracy. Dzieciństwo jego przygotowało czczość całego jego życia. Miał to być na zawsze *Pan Piotr*, to jest człowiek kochający się w sukni i kapeluszu pięknym, które uważał za urzędowy strój próżniaków; bo, sądząc tylko z pozorów, Piotr brał za próżniactwo ukrytą pracę wyższych klass towarzystwa, i mniemał, że kto ma delikatną rękę, a tém bardziéj, kto nosi jedwabne rękawiczki, ten pewnie nic nie robi.

Znienawidził zatém swoje rzemiosło, nie dla tego, żeby sądził się zdolniejszym do innego, ale ponieważ spodziéwał się skorzystać na zmianie. Nie lubił on pracy ręcznéj, a o umysłowéj nie miał wyobrażenia; chciał uciec, wyszukać sobie

rzemiosła nie wymagającego nauki, mozołu, uległości, jedném słowem takiego jakiego niema.

Podobne usposobienie wewnętrzne musiało naturalnie przeszkodzić Piotrowi w nauce rzemiosła, do którego chciano go zniewolić. Przez dwa lata zostawał u stolarza, a żadnéj korzyści nie odniósł z nauki. Zrazu przykremi były mu wyrzuty i nagany, jakich mu nie szczędzono; późniéj oswoił się zniemi, a nakoniec zaczął chełpić się z uporu swego, utrzymując, że ten wstręt jego do stolarstwa, dowodem jest zdolności do czegoś wyższego. Oświadczył, że przymuszają go wyrzec się stanu, w którymby mógł jaśnieć, i że jest nieszczęśliwym męczenikiem.

Ale trudno opisać sobie kłopot jego, kiedy wuj oświadczył, że pozwala mu wybrać stan, do jakiego ma skłonność. Piotr, nie mógł otwarcie powiedzieć, że nie ma skłonności do żadnego stanu, i nie namyślając się odpowiedział, że chce być złotnikiem. Może być, że do takiego wyboru skłoniła go pozorniejsza robota w tém rzemiośle, i ta myśl, że nie będzie potrzebował być koniem dyszlowym, jak go nazwał syn korzennika. Zostać złotnikiem z stolarza, było to istotnie postąpić parę szczebli olbrzymiéj drabiny stanów, i w mniemaniu Piotra, zbliżało go do tego położenia w świecie, którego tak usilnie pragnął.

II.

Jednak w krótce nowe zatrudnienie sprzykrzyło mu się, ponieważ wymagało więcéj uwagi i staranności jak poprzednie. Przekonał się po raz pierwszy, że nie trzeba z pozoru sądzić o rzeczach, ale uwaga ta na nic mu się nie przydała, bo doświadczenie uczy tylko tych, którzy chcą z niego korzystać, i można za bardzo słuszne uważać to znane przysłowie, że *najbardziéj ślepy jest ten, kto niechce patrzéć.*

Rouvière wmówił w siebie, że jeżli nowe rzemiosło nie podoba mu się, nie jest to winą jego, ale omyłką w wyborze.

Dnia pewnego wracając z odległéj ulicy, gdzie go posłał jego zwierzchnik, spotkał Antoniego, który choć zaledwie z dziecinnego wieku wychodził, był już jednak zręcznym robotnikiem; od dawna już nie widzieli się z sobą; zatrzymali się, żeby cokolwiek pomówić, i nie brakło im przedmiotu.

— No i cóż? zapytał Antoni; jesteś kontent ze złotnictwa?

— Nie bardzo, trudne to jest rzemiosło; co dzień coś nowego trzeba się uczyć, i cały dzień siedzieć.

— Skarżyłeś się u nas, że musisz ciągle stać.

— Prawda.

— Ale jakież u licha rzemiosło chciałbyś wynaleźć dla siebie, jeżli nie chcesz stać ani siedzieć?

— Oh! tyle jest ludzi szczęśliwych, którzy nie potrzebują piłować ani heblować, i więcéj zarabiają, bazgrząc liczby na papierze, jak najlepszy rzemieślnik. To nie jest nużącém rachować...

— Dla czegóż więc niechciałeś uczyć się arytmetyki w szkole wieczornéj, gdzie nas majster posyłał?

— Bo mi to strasznie zawracało głowę; ale gdybym umiał....

— To się ucz!

— Kiedy to bardzo trudno.

Młody stolarczyk zaczął się śmiać.

— Już rozumiem o co ci idzie, rzekł znowu, ty chciałbyś takiego stanu, w którymbyś nie miał nic więcéj do roboty, jak trzy razy na dzień przebierać się. Znam jeden stan, któryby ci się podobał.

— Jakiż to?

— Stan pana miljonowego.

Piotr nieukontentowany wzruszył ramionami, i dwaj terminatorowie rozeszli się.

To, co żartując powiedział Antoni, było rzeczywistością; ale Rouvière nie chciał tego sam przed sobą wyznać. Skarżył się ciągle na złotnictwo, i niecierpliwił zwierzchników swoich niedołężnością równie śmieszną, jak pogardy godną. Z towarzyszami swemi ciągle był w kłótni, bo nie mógł znieść, kiedy mu który przypomniał, że powinien choć raz przecie na dzień wziąść się do

roboty; za to też tamci, aby się pomścić, nie opuszczali żadnéj sposobności poniżenia go.

Każdego rana, kiedy przybywał zawsze ostatni do warsztatu, inni robotnicy podnosili się z miejsc swoich z żartobliwą grzecznością.

— Co pan dobrodziéj żąda? pytali się, podając mu z uszanowaniem krzesło; może pan dobrodziéj życzy sobie serwis złoty na sześćdziesiąt osób? Pan dobrodziéj zapewne jest ambassadorem wielkiego Mogoła.

A kiedy Piotr nic nie odpowiadając, siadał na swojém miéjscu, mówili daléj:

— Ach mój Boże, pan Hrabia powalał się od pilnika, pan dobrodziéj zapomniał zapewne swoich rękawiczek!

Te żarciki, powtarzane ciągle z okrutną wytrwałością, jaką odznaczają się ludzie takiéj klassy, ilekroć idzie o zemstę, przyprowadziły nakoniec Piotra do tego, że postanowił porzucić złotnictwo.

Trzeba było jednak koniecznie wynaleźć jakiś stan w zamian za ten, a Piotr nie mógł wymyśléć żadnego, któryby miał szczęście podobać mu się. Myślał on o drukarstwie, ale do tego trzeba było nauczyć się ortografji, stać ciągle, i dotykać się poczernionych czcionek; trzy okoliczności, które zdawały mu się niepodobnemi do zniesienia. Handel także podobałby mu się, gdyby nie trzeba było nosić towarów i nauczyć się rachować.

Nakoniec przypadek położył koniec tym namysłom.

W domu złotnika, u którego Rouvière był na nauce, mieszkał nauczyciel muzyki. Był to jeden z tych uniwersalnych talentów, jakich jest mnóstwo w Paryżu, który stawał przed drzwiami swego mieszkania, trzymając w ręku doniesienie z gitarą tuszem namalowaną, i uczył grać na każdym instrumencie za 18 franków na miesiąc. Piotr słyszał go codzień nucącego, kiedy wieczorem wychodził z domu; osądził, że człowiek, który ciągle śpiewa, musi być szczęśliwym, i nakoniec wniósł z tego, że po miljonowym bogaczu najlepszy jest stan artysty muzycznego.

Istotnie pracy tu nie ma żadnéj; bo i cóż to za praca dmuchać w flecik, albo skrobać smyczkiem po stronach! Dzieci to samo czynią dla zabawki. Prócz tego muzyk nie jest rzemieślnikiem, niepotrzebuje walać sobie palcy piłowinami, i może chodzić w czarnym fraku, w pantalonach ze strzemiączkami i w półkoszulku z guziczkami z perłowéj macicy!....

Te wszystkie uwagi skłoniły Piotra do stanowczego kroku. Odważył się sam oświadczyć wujowi skłonność swoją do muzyki, i uczynił to w chwili, kiedy stary kramarz nowe czynił mu wyrzuty. Wuj słuchał go cierpliwie; nakoniec, rzekł biorąc go dość niedelikatnie za ramie:

— Słuchaj, nic dobrego, znudzony już jestem twojém próżniactwem i niedołężnością, ale nikt niebędzie mógł powiedzieć, że Franciszek Godard opuścił syna siostry swojéj, dla własnego kaprysu. Chcesz być muzykiem teraz, dobrze; jutro mieć będziesz nauczyciela, ale pamiętaj co ci mówię: jeźli ten nowy stan sprzykrzy ci się znowu, opuszczę cię; od tego dnia, kiedy ci się zechce porzucić muzykę, będziesz mógł poszukać sobie innego mieszkania i stołu.

Pierwszy to raz Franciszek Godard mówił spokojnie; dla tego Piotr zrozumiał, że to nie były żarty; ta myśl przestraszyła go cokolwiek, i dla tego gwałt sobie uczynił, i wziął kilka pierwszych lekcji muzyki z uwagą; ale to wysilenie niedługo trwało. Skoro poznał, jak trudną jest ta nowa nauka, wróciła mu się zupełnie dawna ociężałość. Myśl, że to jest ostatnie doświadczenie, i że wuj opuści go, jeźli nie będzie w muzyce postępował, dopełniła reszty; potrzeba, która zaostrza zdolności czynne i podwaja prawdziwą odwagę, niszczy za to dusze słabe i próżniackie. Rouvière powiedział sam sobie, że niezdoła przezwyciężyć trudności, i dla tego niechciał z niemi walczyć.

W tym czasie widział się znowu z Antonim, który, dzięki cierpliwości i pilności swojéj, niebył już pospolitym robotnikiem. Chociaż dopiéro liczył lat ośmnaście tak jak Rouvière, jednak już od kilku miesięcy pracował na siebie, i dopoma-

gał nawet staréj matce, z którą mieszkał na jednéın przedmieściu. Piotr odwiedzał ich niekiedy, częścią dla tego, że się nudził w domu, częścią z przyjaźni, i spotkał u nich pana Alexandra, mieszkającego na tém samém piętrze, co młody stolarczyk. Ten pan Alexander był w każdym względzie przeciwnością z panem Piotrem. Był on podrzędnym aktorem jednego z mniejszych teatrów w Paryżu, i pełnił obowiązki swoje z zapałem i ukontentowaniem. Biedny i bardzo zatrudniony, chwalił jednak stan swój, który mu się zdawał zarówno pięknym i łatwym. Był to jeden z tych rzadkich charakterów, które umieją się stosować do okoliczności jak wosk do formy, któréj kształt przybiéra, i które w każdém zdarzeniu znajdują powód do dziękczynienia losowi.

Rouvière widząc Alexandra, osądził, że aktorowie są najszczęśliwszemi ludźmi w świecie.

— Jesteś pan zatém zupełnie zadowolony z swojego losu? zapytał go dnia pewnego.

— I jak! bo też trzebaby być bardzo wybrednym, żeby z niego nie być zadowolonym.

— A wiele pan masz pracy?

— Ja? nic nie mam do roboty, mój przyjacielu, zupełnie nic... To jest prawdziwa rozkosz artysty dramatycznego; wszystko u nas jest rozrywką.

Ach, to przewyborny stan, pomyślał Piotr.

— Czy też to trudno zostać aktorem?

— Najłatwiéj w świecie... Dość jest umieć czytać i pisać, mieć cokolwiek pamięci, nieco pojęcia i dobréj chęci; wreszcie tego co każdy człowiek posiada.

To byłoby dla mnie zupełnie stosowne, pomyślał Piotruś.

— A można dużo zarabiać?

— Miljony! mój przyjacielu, miljony.... Zobacz Keana, Talmę, pannę Mars.

— Wyraźnie urodziłem się do tego stanu, zawołał Piotr głośno.

— Czy doprawdy to mówisz? zapytał Alexander.

— Doprawdy.

— Młodzieńcze; to jest natchnienie jenjuszu! Jesteś dobrze wychowany, masz piękną postać, zrobisz sobie los, ja ci zaręczam za to.

Potém przybierając poważną postawę, składając na krzyż ręce, dodał:

— Chcesz być aktorem!... Oh! nie wystawiasz sobie jeszcze wszystkich rozkoszy tego stanu!... Wystąpić przed publicznością w kosztownym stroju, wyciskać łzy kobiétom, słyszéć oklaski wznoszące się ze wszech stron, zaledwie pokażesz się na scenie.... co za rozkosz, co za sława...

— Ale czyż pozwolą mi wystąpić? zapytał Rouvière.

— Bądź spokojnym; ja to biorę na siebie.

III.

Nazajutrz P. Alexander zaprowadził Piotra do swego dyrektora teatru. Powierzchowność młodzieńca podobała się temu ostatniemu, i zezwolił na doświadczenie jego zdolności.

Miano właśnie wystawić nową sztukę; Rouvière otrzymał w niéj dość znaczną rolę, i zarazem kazano mu przychodzić regularnie na próby. Już to pierwsze niebardzo mu się podobało. Nigdy dotąd nie myślał, jakiéj pracy wymaga wystawienie sztuki; przeląkł się mnóstwa przepisów, których trzeba się było trzymać, i okoliczności, na które musiał uważać. Dotąd mniemał, że dość jest, aby aktor umiał na pamięć swoją rolę, i deklamował ją stosownie do chwilowego natchnienia; ale skoro ujrzał, że każde poruszenie, każdy cień w głosie, długiéj wymagał nauki, zapał jego do sztuki dramatycznéj ostygł zupełnie. Prócz tego próby zajmowały mu najpiękniejszą część dnia, i dopiero dostrzegł, że ci mniemani próżniacy, u których wszystko było rozrywką, pracują po piętnaście godzin w dwudziestu czterech. To odkrycie byłoby go skłoniło do opuszczenia natychmiast tego stanu, ale próżność go zatrzymała. Na-

dzieja wystąpienia przed oczy publiczności w ubiorze książęcym, kusiła go. Prócz tego zobowiązanie się jego względem dyrektora teatru było formalne., i od tamtego tylko zależało zatrzymanie go lub uwolnienie od obowiązków.

Piotr nauczył się dosłownie swojéj roli, ale zwyczajne jego lenistwo wstrzymało go od zgłębiania jéj. Dyrektorowi nie podobała się jednostajność daklamacji Piotra, ale P. Alexander zapewnił go, że na widok zapalonych kinkietów ożywi się zapał młodzieńca; bo wszyscy dopiero przed obliczem publiczności czują się w całéj sile swego jeńjusza.

Piotr od dnia pierwszéj próby, przestał chodzić na lekcje muzyki. Nie mógł przecie przeznaczać się do dwóch stanów! razem; ale wuj nie wiedział jeszcze o téj zmianie, bo Piotr lękając się jego gniewu, chciał mu dopiero wtedy wyjawić, że został aktorem, kiedy przez pierwszy wstęp dowiedzie swoich zdolności.

Nakoniec nadszedł dzień pierwszego przedstawienia. Rouvière spędziwszy kilka godzin w teatrze, wracał do wuja na obiad; zastał go czytającego jakiś list, którego treść gniewała go.

— Gdzieś był? zapytał groźno zobaczywszy siostrzeńca.

Potrzeba uniknienia wyrzutów zagniewanego wuja, wprawiła Piotra do kłamstwa.

— Byłem na lekcji muzyki, odpowiedział.

— Kłamstwo! zawołał wuj, i wziąwszy go jedną ręką za kołnierz, a drugą pokazując list, który czytał; — Patrz, dodał, co tu o tobie donoszą; od miesiąca nie byłeś na lekcji, i piszą mi, że chcesz zostać komedjantem.

Rouvière przymuszony był wszystko wyznać.

— Piotrze, rzekł mu na to stary kupiec; byłem względem ciebie ile możności łagodnym, ale powiedziałem ci, że to doświadczenie będzie ostatniém. Chwytasz się tego stanu przez lenistwo; doszedłeś już do tego wieku, że powinieneś być człowiekiem, a nie masz dotąd sposobu do życia. Wiedz o tém, że niechcę być twoim wujem, bobym grzeszył pomagając ci próżnować. Idź precz, niechcę cię widzieć więcéj.

To mówiąc, Franciszek Godard popchnął siostrzeńca za drzwi, i zamknął je za nim.

Pierwszém poruszeniem Piotra był gniew.

— Dobrze! zawołał, ponieważ wypędzają mię, nie wrócę tu już więcéj.

I pobiegł ku teatrowi, jakby się obawiał, żeby go wuj nie zawołał.

Zbliżała się godzina rozpoczęcia widowiska; pobiegł się ubrać; daléj, po długiém oczekiwaniu, które wydawało mu się wiecznem, klaśnięto trzykrotnie, i zasłona zwolna podniesioną została. Piotr znajdował się na scenie i miał pierwszy mówić; ale blask światła, widok tłumu widzów, odebrały mu nagle pamięć, i dopiéro szmer zadzi-

wionéj publiczności wyrwał go z tego pomięszania... Sufler podał mu piérwsze słowa, i Piotr zaczął mówić.

Ale zalęknięcie jego poprzednie uprzedziło już widzów; zaczęto uważać drżący głos jego i niewprawne poruszenia, szukano śmieszności w każdym jego wyrazie; i w chwili kiedy oddalał się ze sceny, lekki smiech rozszedł się po sali.

Za kulissami spotkał rozgniewanego autora.

— Pan będziesz przyczyną upadku mojéj sztuki! zawołał tenże; kto nie może się pierwszych słów dobrze wyuczyć, nie powinien podejmować się tak ważnéj roli.

Chciał odpowiedzieć, wtém reżysser ostrzegł go, że już czas, żeby wyszedł na scenę. Pośpiech, z jakim Piotr wybiegł z za kulis, żeby się nie spóźnić, obudził śmiech publiczności, a następnie ironiczne oklaski pomięszane ze świstaniem.

Zmięszał się Piotr i deklamował ciągle sam niewiedząc jak, wpośród ciągłych śmiechów i gwizdania. Następny akt, w którym Rouvière nie wchodził, przyjęty był z oklaskami, i sztuka zdawała się być podźwigniętą. Wtém przyszła koléj na Piotra; na widok jego znowu śmiechy powstały, i Rouvière stracił prawie przytomność. Grał on rolę młodego Księcia, który znajduje ojca, od wielu lat uważanego za umarłego. Miał rzucić się na szyję artysty, przedstawiającego tę rolę; ale, w chwili gdy tenże jakby wycieńczo-

ny wzruszeniem, upadł na kolana, Piotr zapomniawszy, że go ma podnieść, z zapałem objął rękami i przycisnął do serca kapelusz i perukę starca.

Głośny nieskończony śmiech powstał ze wszech stron; niedokończono widowiska.

Rouvière, ścigany wykrzyknikami widzów i złorzeczeniami autora, ucieka za kulissy, a potém na ulicę, ubrany jeszcze w suknie teatralne. Zatrzymał go krawiec, który kazał mu zdjąć ubranie, niebędące jego własnością, rzucając mu jego zwyczajne suknie. Piotr spieszył się ile możności, słysząc jeszcze krzyki i świstania.

W pierwszéj chwili o tém tylko myślał, żeby jak najspiesznéj oddalić się od miéjsca, w którém takie poniżenie go spotkało; ale straciwszy już z oczu gmach teatralny, zatrzymał się nagle. Przypomniał sobie, że wuj wypędził go z swego domu, i że nie ma przytułku. Ta myśl do reszty odjęła mu odwagę, i oparłszy się o mur, gorzko zaczął płakać.

Zostawał już czas niejaki w téj smutnéj postawie, kiedy uczuł, że ktoś położył rękę na jego ramieniu, i znajomy głos zapytał go:

— No cóż, panie Piotrze?

Odwrócił się; był to Alexander.

— Daj mi pokój, zawołał Piotr; ty jestes przyczyną tego wszystkiego.

— Czyś ty dziecko! mówił Alexaner. Dla tego że publiczność była dziś w pomarańczowym humorze, i zamiast ze sztuki śmiała się z ciebie... Ależ mój przyjacielu, to się bardzo często zdarza; publiczność, widzisz, jest to przyjaciel artysty. Czyliż gniewałbyś się, żeby z tobą przyjaciel żartował?... No, no, nie uważaj tego wypadku za stanowczy. Wreszcie, jak na pierwszy wstęp, grałeś doskonale... cokolwiek nieśmiałości, trochę za zimno, brak wprawy, ale zresztą doskonale... na drugi raz wszystko pójdzie przewybornie.

— Na drugi raz! krzyknął Rouvière; prędzéj dam się ukamienować, niżeli drugi raz wystąpić na scenę.

— Istotnie, zaczynam wierzyć, że jak na artystę dramatycznego, nie dość masz filozofji. Gdybym był na takie drobnostki uważał, umarłbym już oddawna.

Alexander długo jeszcze starał się pocieszyć Piotra, ale widząc nakoniec, że to nie udaje mu się wcale, ofiarował się odprowadzić go do domu. Wtedy Rouvière przymuszonym był odkryć mu, że nie wie gdzie noc przepędzić.

— Czemużeś mi tego dawno nie powiedział! zawołał Alexander; mam wyborne łóżko, które dla nas obu wystarczy; pójdź, pozostał mi jeszcze sér i chleb z obiadu; będziemy biesiadować nie z przepychem, ale wesoło.

Piotr nie miał w czém wybiérać; przyjął więc gościnność Alexandra; ale nazajutrz ujrzał znowu smutne położenie swoje. Był bez sposobu do życia, a wuj wypędził go z domu w taki sposób, że niepodobna mu było powrócić bez jakiego pośrednictwa. Alexander, któremu powierzył się w tym względzie, pomyślał przez chwilę, a potém biorąc go za rękę, rzekł:

— Posłuchaj przyjacielu; nie chcesz wystawiać się więcéj na takie jak wczoraj przypadki; szanuję tę drażliwość; ależ trzeba koniecznie, żebyś miał co jeść i gdzie się przespać. Nic nie umiesz robić (co nawiasem mówiąc, nowym jest dowodem, że urodziłeś się na aktora); trzeba więc wynaleźć sobie jakieś zatrudnienie, które mogłoby cię bez wielkiéj pracy utrzymać; właśnie znalazłem podobne. Przedstawię cię naszemu naczelnemu klaskaczowi, będziesz członkiem areopagu, stanowiącego o powodzeniu dzieł dramatycznych; przytém możesz sprzedawać bilety.

Piotr byłby wolał co bądź innego, ale głód zaczął mu dokuczać, a to najłatwiéj przezwycięża dumę; skłonił się więc do przyjęcia miejsca, które mu Alexander ofiarował, i udał się z nim do wspomnionego jegomości.

Przybycie jego do grona, którego członkiem został, szczególne tamże sprawiło wrażenie; pokazywano go palcem jako aktora, którego wczoraj wygwizdano,

i o mało nie skończyło się tak jak dnia poprzedniego, bo Piotr już chciał uciekać.

W kilka dni jednak przyzwyczajono się do niego, i on także otrzaskał się z nieprzyjemnościami swego stanu. Pozbył się nawet wstrętu, jaki miał zrazu do tak niskiego zatrudnienia, bo co tracił na godności, to mu wynagradzała bezczynność i sposobność bawienia się.

Istotnie wiele było w teraźniejszym jego stanie okoliczności pochlebiających jego upodobaniu. Mógł już bez żartów nazywać się *panem Piotrem* i dla tego nie zwracał uwagi na to, że liczy się do rzędu prawie uliczników.

Pewnego rana, wychodząc po bilety, które miał sprzedawać wieczorem, spotkał służącego swego wuja, który oświadczył mu, że P. Godard chce go widzieć. Zdziwiony tą wiadomością, pospieszył jednak na ulicę Sainte-Avoye, i znalazł swego opiekuna umierającego. Poczciwy starzec podał mu rękę na znak przebaczenia, chciał coś mówić, ale nie mógł, i za chwilę skonał.

Rouvière był wzruszony nagłą stratą wujaszka; ale skoro się dowiedział, że ten umierając zapisał mu cały swój majątek, boleść ustąpiła natychmiast uniesieniu radości. Przyszedł więc nareszcie do tego, że mógł żyć sobie wygodnie, i niezawiśle od nikogo; niebędzie już dręczył się wyborem stanu; został bogatym!... krzyczał i łzy wylewał — z radości.

Przedewszystkiém trzeba było zebrać dziedzictwo, które, jak pospolicie majątki kupców, bardzo było powikłane. Niezdolny zająć się ukorządkowaniem majątku, i niecierpliwy użyć go jak najprędzéj, Piotr nie pomyślał o potrzebnych formalnościach przy objęciu spadku, z kąd wypłynęło wiele procesów różnego rodzaju, w których stracił część dziedzictwa, sprzedał ze stratą sklep, i zebrawszy nie bez trudu 40.000 franków gotowizną, postanowił żyć spokojnie z procentu od téj summy.

Wybrał sobie jedno piękne przedmieście, najął tam mięszkanie, umeblował je, i zaczął żyć jak majętny kapitalista.

Dawni koledzy dowiedziawszy się o téj zmianie jego położenia, zaczęli go bardzo szanować, i ci, co się najbardziéj śmieli dawniéj z jego próżniactwa i niezdatności, zostali jego pochlebcami.

Co do Antoniego, ten powiedział tylko:

— Znalazłeś stan, jakiego ci trzeba było; bądź roztropnym.

Rouvière znalazł zrazu wiele przyjemności w nowym tym rodzaju życia; długo nie mógł sam siebie przekonać, że jest panem siebie, i że może żyć nic nie robiąc. Lecz z postępem czasu znudził się swojém szczęściem; dnie jego były czcze, wieczory nie zajęte; nie lubił ani rozmowy, ani czytania, a nie zawsze mógł iść na przechadzkę. Sprobowawszy wszystkich niewinnych

sposobów rozerwania się, i ujrzawszy, że zawsze na końcu znajdują się nudy, zaczął przemyśliwać nad wynalezieniem sobie innych zabaw. Niedaleko od jego mieszkania był rodzaj szynku, niebardzo porządnego, ale co wieczór słyszał tam spiewy i krzyki wesołości; wszedł raz, dla sprobowania, czyby się tam nie mógł rozerwać. Jeden z dawnych jego towarzyszy, klaskacz, przedstawił go obecnym, i po kilku godzinach zupełnie był zadowolony z całego towarzystwa.

Powrócił tam nazajutrz i dni następnych. Z razu przychodził tylko wieczorem; ale nie znacznie zaczął przychodzić wcześniéj i późniéj wychodzić, a nakoniec trawił całe dnie w tém miejscu. Został pijakiem, graczem, wdawał się w kłótnie; interessa jego zaczęły iść nie dobrze, i musiał naruszyć kapitał.

IV.

Najtrudniéj zacząć. Od téj chwili kapitał Piotra zdawał się topić w jego rękach. Nadzieja pokrycia wydatków wygranemi pieniędzmi, co dzień do nowych strat go prowadziła; gniewał się, że los tak ciągle jest mu przeciwny; postanowił uciec się do niektórych małych oszukaństw, ale napróżno. Nakoniec Dubois, dawny jego towarzysz, który go przyjął przy piérwszem wejściu jego w to miejsce, po pijanemu przyznał mu się,

że ci, co z nim grali, są oszuści, grający *na pewne*.

To wyznanie obudziło z razu gniew Piotra; ale po chwili namysłu, osądził, że najlepiéj uczyni, jeźli użyje tego samego sposobu dla odzyskania pieniędzy, jakim inni wyciągnęli je od niego. W skutek tych uwag, prosił swego przyjaciela Dubois, żeby mu dał małą lekcyjkę tych figlów, i nauczył się od niego robić woltę, filować, i innych sztuk szulerskich. Nie pomyślał, że kto przyzwyczai się oszukiwać łotrów, będzie późniéj oszukiwał uczciwych ludzi, i stanie się do tamtych podobnym. Nowa nauka jego, z razu dobrze mu się udawała. Ale gracze nie długo dostrzegli, że jest równie zręcznym jak oni, zaczęli mieć się na baczności, i znowu losy się zrównoważyły.

W ten sposób Piotr utracił nakoniec cały majątek; żył jeszcze czas niejaki zapomocą kredytu, ale i ten ostatni środek wkrótce zniknął. Wtedy niedostatek dopełnił moralnéj jego zguby. Więcéj niż kiedykolwiek wstrętu miał do pracy, a przyzwyczaił się do znacznych wydatków. Nie długo mógł się oprzéć występnym skłonnościom. Zręczności, któréj nabył, oszukując tych, co go w grze odarli z pieniędzy, użył przeciwko innym. Aby się usprawiedliwić w własnych swych oczach, bo któryż łotr nie broni swéj sprawy przed sądem sumienia! — powtarzał sobie, że oddaje tylko

wet za wet, i odbiera od jednych to, co drudzy od niego wzięli. Coraz więcéj rozszerzał te rozumowania, bo coraz więcéj rozprzestrzeniał się zakres jego występków. Dubois i reszta łotrów, których jaskinią był ów szynk niedaleko mieszkania Piotra, przyjęli go do swojéj współki, i nieznacznie, może nawet nie uważając tego, został wspólnikiem bandy zbrodniarzy.

Od chwili, kiedy majątek jego zaczął niknąć, Piotr przestał widywać Antoniego i Alexandra, bo w początkach występnego życia, obecność uczciwych ludzi jest przykrą.

Nim pójdziémy daléj, rzućmy okiem na zmianę, jaką lata uczyniły w powierzchowności Piotra Rouvière. Miał lat dwadzieścia ośm: należał zawsze do rzędu elegantów niższego rzędu, którym brakuje w ubraniu dwóch rzeczy, gustu i czystości. Uchodził zawsze za człowieka wyższego tonu między towarzyszami swemi w szynku, i nazywano go ciągle *panem Piotrem.* Zresztą nawet w nowém rzemiośle, zręczność jego zaledwie uchodzić mogła za mierną; równie był niezgrabnym i ociężałym na oszusta, jak na rzemieślnika; dla tego używano go tylko do zwabiania głupców. Jego ubranie staranne przydatném było towarzystwu, i dawano mu niektóre polecenia za obrębem głównego miéjsca działań; nie należał do narad i układu planów, tylko otrzymywał część swoją przy podziale zdobyczy.

Tymczasem zbrodnie bandy pod dowództwem Dubois, codziennie wzrastały. Zacząwszy od oszukiwania w karty, postąpili następnie do fałszowania wexli i do najzuchwalszych kradzieży. Rouvière był zawsze uczestnikiem ich wypraw, i niekiedy dość ważną grał w nich rolę.

Ale spadnięcie ze schodów podczas jednéj z takich wypraw i rana, którą przytém odniósł, odjęła mu i ten sposób zarabiania na życie. Przymuszony nie wychodzić z izdebki pod strychem, w któréj mieszkał, został wkrótce łupem wszystkich dolegliwości i niedostatku. *Pan Piotr* nie był członkiem tak ważnym w spółce Dubois, żeby nieobecność jego długo czuć się dawała; dla tego koledzy jego mało dbali o położenie, w jakiém się znajduje. Piotr napisał do Dubois, ale list jego pozostał bez odpowiedzi.

Rozpacz zaczęła ogarniać Piotra, kiedy nakoniec dawny klaskacz przyszedł do niego.

— Byłbym oddawna przyszedł, rzekł on, ale wyjeżdżałem z Paryża, i dziś dopiéro twój list odebrałem.

— Czy przynosisz mi to o co pisałem?

— Pieniędzy? nie wiem już nawet jak wyglądają; ale przychodzę ci podać sposób zarobienia ich wkrótce.

Rouvière ściągnął ramionami; — wszak widzisz rzekł, że nawet chodzić nie mogę.

— To też nie będziesz potrzebował chodzić, byłebyś tylko napisał kilką słówek.

— Fałszywy wexel?

— Nie. Znasz ty niejakiego Antoniego, bogatego stolarza?

— Byłem z nim razem w terminie.

— Napisz do niego, żeby tu przyszedł dziś wieczorem, i staraj się go późno w noc zatrzymać....

Piotr spojrzał na niego zdziwiony.

— Cóż chcesz uczynić? zapytał.

— To do ciebie nie należy, tylko zatrzymaj go tu do północy.

— I nie zrobicie mu nic złego?

— Nie.

— A cóż za to dostanę?

— Piątą część z sześćdziesięciu tysięcy franków!...

Piotr chciał już odpowiedzieć, że zgadza się... kiedy nagle zatrzymała go jeszcze jedna myśl uczciwa.

— To jest, chcecie Antoniemu zabrać 60,000 franków, rzekł.

— Te pieniądze nie są jego.

— Pewno?

— Niezawodnie!

Piotr wahał się jeszcze:

— No, namyśl się bo jeżli nie chcesz, to się znajdzie inny sposób.

— A jak on nie zechce przyjść?

W istocie, myślał Rouvière, jeźli nic mu złego niechcą uczynić, jeźli te pieniądze nie są jego własnością!... wreszcie na nic się nie narażam, nie będę należał do wyprawy.

— No jakże? zapytał Dubois.

— Napiszę.

Dubois podyktował mu. Rouvière w liście tym wyznawał wszystkie swoje błędy, żałując za nie jak syn marnotrawny; wystawiał swój niedostatek, i kończył zaklinając Antoniego, żeby przybył do niego tego wieczora.

— Sam zaniosę ten list, rzekł Dubois. Teraz, moje dziecię, czekaj cierpliwie, i odegraj dobrze twoją rolę. Jutro przyjdę z pieniędzmi.

Rouvière przepędził dzień bardzo niespokojnie. Wahał się między nadzieją i obawą. Nakoniec, za nadejściem zmroku, zapukano do drzwi jego, i Antoni wszedł spiesznie. Na widok jego Piotr zadrżał; podniósł się, chciał mówić; ale młody stolarz nie dał mu na to czasu.

— Nie mów nic, zawołał, twój list o wszystkiém mię już uwiadomił; są to wyznania, które przykro jest powtarzać. Nie przyszedłem prawić ci kazania, ale pomówić z tobą po przyjacielsku.

Widząc, że pomięszanie Piotra nie zmniejsza się:

— No, dodał, podając mu rękę, nabierz odwagi! straciłeś wszystko, będziesz teraz pracował.

Mam ci jedną rzecz powiedzieć która spodoba ci się; tymczasem zjedzmy wieczerzę.

Za chwilę chłopiec z oberży przyniósł wszystko, czego potrzeba do dobrego obiadu, i dwaj dawni koledzy zasiedli do stołu.

Antoni mówił zrazu o rzeczach obojętnych; potém sprobował rzucić nawiasem kilka zapytań, tyczących się dalszych widoków Piotra; ale ten ciągle pomięszany unikał odpowiedzi, i starał się zwrócić rozmowę na interessa Antoniego.

— Zostałeś więc majstrem, jak słyszałem.

— Od roku majster nasz dawny ustąpił mi całego zakładu, bardzo korzystnie dla mnie.

— Ach, pan Fournier zarzucił fabrykę!... Czy też znaczny ma majątek?

— Tak, miał go jeszcze przed kilku miesiącami! odpowiedział smutnie Antoni.

— Jakto? więc go stracił?

— Powierzył swoje kapitały łotrowi bankierowi który zbankrutował.

— I nic mu nie pozostało?

— Nic, prócz 60,000 franków, które wczoraj odebrałem.

Piotr uczuł, że serce jego silnie bije.

— I masz u siebie te pieniądze?

— Mam, i jutro zaniosę je panu Fournier. Biedny człowiek w pierwszéj chwili myślał, że nic nie uratuje, i gdyby nie ja, byłby umarł. Bo też od razu stracić to, co się przez pięćdziesiąt lat zbie-

rało, to przykro; przytém utrzymuje dwie swoje córki, które owdowiały, i sześcioro wnucząt; upadek jego byłby zgubił ośm jeszcze osób. Teraz będą mieli z czego uczciwie się utrzymać; ale też nie łatwo dało się to zrobić. Od dwóch miesięcy odwiedzałem codziennie notarjuszów i adwokatów. Nakoniec wszystko skończone; odebrałem 60,000 franków dla starego poczciwca, i więcéj mię to cieszy, niżeli żeby one były moje własne. To też gdyby złodzieje przyszli do mnie, dałbym się raczéj zabić, niżbym oddał tę pieniądze.

Piotr uczuł dreszcz w całém ciele.

— Ale, przypomniawszy sobie mówił daléj Antoni, którego wieczerza rozweseliła; nie wiesz, kogo mam przy sobie; zgadnij?... Pana Alexandra... tak, owego zapalonego artystę; wystaw sobie, Alexander przystał na to, żeby być moim buchalterem i kassjerem. Prawdę mówiąc, nie miał w czém wybiérać; jego dyrektor zmniejszył liczbę członków swego teatru, i oddalił wszystkich mniéj potrzebnych; nasz przyjaciel znalazł się w téj liczbie. Wtedy spytałem go, czy nie chciałby utrzymywać moich rachunków; przystał na to chętnie! Dziś znajdziesz go tak zadowolonym ze swego zatrudnienia jak dawniéj, i równie pełnym gorliwości i uczciwości.

— Musisz mieć wiele roboty, kiedy potrzebujesz rachmistrza.

— Objąłem wszystkie antrepryzy po panu Fournier, i trudno mi samemu wejrzéć we wszystko; otóż, jak ci już wspomniałem, mam dla ciebie zatrudnienie. Mam roboty w różnych stronach Paryża; wiesz o tém, że trzeba takich robot doglądać, a mnie to trudno wszystkiemu wydołać; potrzebuję człowieka, któryby przechadzając się i tu i tam, wstąpił zobaczyć co robi czeladź. Ty lubiłeś zawsze chodzić wszędzie; sądzę, że to zatrudnienie byłoby ci przyjemném. Cóż ty na to?

— Bardzo chętnie.

— A więc od dzisiaj już objąłeś twój obowiązek. Nigdy nie odwlekam tego, co można zrobić natychmiast; pójdziesz ze mną, mam pokoik do twego rozporządzenia; jeść bedziesz razem ze mną tak, jak Alexander, i będziemy żyli jak trzéj bracia!... Daléj! już ułożone, pójdźmy.

To mówiąc Antoni wstał; ale Piotr wynalazł setne trudności. Wspomniał o potrzebie uporządkowania niektórych interessów, obliczenia się z właścicielem domu, i tym podobnych.

To wszystko możesz zrobić tak dobrze u mnie jak tutaj. Ta izdebka jest zimna i ponura; lepiéj ci będzie u mnie, pójdź.

— Widzisz, że ledwie mogę ujść kilka kroków.

— Weźmiemy fiakra.

— Późno, już u ciebie śpią, narobiemy kłopotu.

— Nie bój się Alexander tam czeka na twoje przybycie.

Piotr opierał się jeszcze niejaki czas, ale nadaremnie. Antoni upierał się przy swojém, i Rouvière musiał nakoniec ustąpić. Wino pomięszało mu cokolwiek zmysły, i dał się wyprowadzić prawie nie wiedząc o tém, aż na ulicę, gdzie Antoni napróżno wołał fjakra...

— Pójdźmy daléj, znajdziemy przecie powóz; oprzéj się na mnie.

W ten sposób przyszli aż do okręgu Temple, gdzie mieszkał Antoni; Piotr uczuł, że już niepodobna wrócić się i postępował daléj. Stanęli nakoniec przed fabryką Antoniego... Rouvière ledwie mógł na nogach się utrzymać; zimno przebiegało go całego, a oddech jego był ciężki.... Antoni otworzył drzwi od dziedzińca, i wprowadził swego towarzysza; ale zaledwie uszli kilka kroków, usłyszeli okropny krzyk. Piotr musiał o mur się oprzeć, żeby nie upaść....

— Co to jest, zapytał przerażony stolarz...

Ten sam krzyk dał się słyszeć drugi raz.

— Boże! zabijają kogoś u mnie!

Antoni pobiegł ku domowi, którego drzwi były otwarte, lecz dwaj ludzie biegnący w téj chwili ze schodów potrącili go tak silnie, że upadł.

— Na pomoc Piotrze! zawołał on, złodzieje! zbójcy!

Piotr bez zmysłów prawie, zbliżył się w chwili, kiedy Antoni już się podnosił. Jęki boleści obiły

się o ich uszy. Antoni pobiegł do swego pokoju, i zapaliwszy latarkę, poszedł o piętro wyżéj, jęki słyszéć się dawały. Znaleźli Alexandra w krwi własnéj broczącego; w ręku trzymał jeszcze szczątki puljaresu, w którym znajdowały się owe sześćdziesiąt tysięcy franków, o których mówił Antoni.

— Zbrodniarze zamordowali go! krzyknął Antoni... Piotrze! pomocy, biegaj po lekarza!

Ale Piotra już tam nie było; na widok zabitego krzyknął i uciekł. Otwierając drzwi od podwórza, znalazł się twarz w twarz z Dubois.

— Nieszczęśliwy! zawołał tenże, chwytając go za rękę, zaledwie nie zepsułeś wszystkiego! pocóż wracałeś z Antonim?

— Puść mię! twoje ręce jeszcze są krwi pełne. Dubois puścił go, i znikł w ulicy Quatre-Fils.

V.

Piotr zupełnie stracił głowę, jednak jakiś rodzaj instynktu prowadził go do jego mieszkania. Poszedł do izby swojéj i padł na łóżko, jakby bez duszy. Dotąd postępował w życiu, nie oglądając się na przeszłość; i prawdę mówiąc, nie doznając prawdziwych zgryzot sumienia; ale widok krwi przeraził go. Tym razem, że tak powiemy, namacał zbrodnią! Już tu nie chodziło o zgwałcenie ustaw społeczeńskich. Zamordowano

człowieka! nie sumienie oburzało się na to, ale cała istność; nie pieniądze skradziono, ale życie! Piotr nie oswoił się z myślą téj zbrodni, jego pociągi były nikczemne, ale nie srogie; oburzał się na to morderstwo, w którém mimowolny miał udział. Do tego dołączyła się jeszcze trwoga! Czyliż nie pociągną go do odpowiedzialności za śmierć Alexandra? Jego ociąganie się w pójściu za Antonim, ucieczka po odkryciu zbrodni, mogłyby zrodzić podejrzenia. Dubois, albo który z jego towarzyszy, mógł zostać schwytanym, odkryć prawdę i zaprowadzić go na rusztowanie!

Na tę myśl Rouvière wpadł w rozpacz; jedyny sposób, jaki zdawał mu się pozostawać, było, uprzedzić oskarżenie, odkrywając winnego; i oświadczając, że sam był w ręku jego ślepém i niewinnem narzędziem.

Powziąwszy tę myśl, spiesznie pragnął ją wykonać, i napisał do Antoniego następujący list:

„Jestem najnieszczęśliwszy! znam zbrodniarzy, którzy zakradli się wczoraj do twego domu, i mimowolnie dopomagałem im. Jeden z nich radził mi pisać do ciebie wczoraj; nie pomyślałem nawet, żeby chciano korzystać z takiéj nieobecności, dla popełnienia téj zbrodni. Przyjdź do mnie, wszystko ci wyjawię; tylko nie chciéj mię gubić.

Piotr.“

Oddał ten list odźwiernemu tego domu, w którym mieszkał, z rozkazem zaniesienia go natych-

miast podług adresu. Nie miał odwagi udać się sam do młodego stolarza; obawiał się, żeby ludzie, jak będzie szedł przez ulicę, nie dostrzegli na nim śladu krwi, i nie obwinili go o morderstwo.

Większe pół dnia przeszło, a Antoni nie przybywał; szczęściem że Piotr, którego rana i wzruszenie dnia poprzedniego nabawiły silnéj gorączki, nie mógł liczyć godzin, ale pod wieczór, kiedy przesilenie minęło, mógł zebrać myśli, i dziwił się, a razem niepokoił, że tak długo nie odbiera odpowiedzi. Chciał wstać i spytać się odźwiernego czy kto nie był, wtém zapukano do jego drzwi, i wszedł nieznajomy jakiś człowiek.

— Jestem posłańcem p. Antoniego, rzekł tenże

— Dla czegóż sam nie przyszedł?

— Powrócił z Versalu znużony i rospaczający prawie. Nie mógł się odważyć na tak daleką drogę, ale prosi pana do siebie. Powóz czeka na dole.

Rouvière chociaż zdziwiony podniósł się jednak, i poszedł za nieznajomym. Oba wsiedli do powozu. Już noc była, słabość i ruch powozu wprawiły Piotra w lekkie omdlenie. Nakoniec powóz zatrzymał się. Rouvière nagle obudzony, wysiadł oparty na swoim towarzyszu, spostrzegł natychmiast, że nie znajduje się na ulicy Quatre-Fils, ale na ciemnym jakimś zatyłku i przed domem niebardzo zachęcającéj powierzchowności.

— Dokąd mię prowadzicie? zapytał wstrzymując się.

Oczy jego postrzegły woźnicę, który stał obok niego.

— Dubois! zawołał przerażony.

Niemiał czasu więcéj mówić, silne ramiona porwały go; drzwi domu otworzyły się, i wciągnięto go tamże.

Nazajutrz Antoni przyszedł do mieszkania Piotra i pytał się o niego.

— Ah! to pan, do którego pan Piotr list wczoraj pisał, rzekł odźwierny.

— Nie odebrałem żadnego listu.

— Rzecz dziwna! no proszę, wczoraj pan Piotr dał mi list do pana, schodziłem z nim z góry, spotkałem pana Dubois, który często u pana Piotra bywa, i rzekłem do niego:

— Pan Rouvière posyła mię z tym listem na ulicę Quatre-Fils. Co to jest? zapytał mię. Pokazałem mu adres; wziął odemnie list, i rzekł odchodząc: idę właśnie tamże, oddam sam ten list.... Ale pana Piotra teraz niéma.

Antoni oddalił się smutny i zamyślony. Przechodząc nad brzegiem Sekwany, zobaczył tłum zgromadzony w jedném miejscu.

— Biedny człowiek! mówiła jakaś kobiéta.

Antoni zbliżył się.

— Co to jest? zapytał przewoźnika.

— Trup, któregośmy złowili w Sekwanie.

W téj chwili, odezwał się jakiś głos z tłumu:

— Oh! znam tego człowieka; był to próżniak, z którego wuj nic nie mógł zrobić... Nazywano go *panem Piotrem.*

(*Magasin Pittoresque.*)

JULJA.

POWIEŚĆ z XIV WIEKU,

(*Z angielskiego.*)

Purpurowe promienie zachodu słońca, przeglądając się w niezmierzoném okiem zwierciadle wód morza śródziemnego, uroczą barwą krasiły blade pomarańczowe kwiaty, ogrodów willi bliskiéj miasta. Pyszna Genua radośnie powitała po dniu gorącym nadchodzący chłodny wieczór, umilony lekkim morskim wietrzykiem, którego skrzydełka nieco oziębione w przelocie nad śnieżnemi górami, jakby dotknęły się łekko tych mass zlodowaciałych, nabrały od nich świeżości, która połączona z wonią krzewów i kwiatów wschodzących pod niebem

południa, szeroko w około napełniła powietrze balsamiczném tchnieniem.

A jednak było oko, którego blask zachodniego słońca nie odżywiał, i usta, czujące świeżości wieczornego wietrzyka, chociaż krzesło z poręczami odwrócone było ku oknu, a zazdrostki zupełnie otwarte. Hrabina Julja Aldobrandini, nie zdolną była uczuwać te łagodne zmiany powietrza. Patrzała ona na trzy lube dziewice, których oczy śledziły najmniéjsze jéj poruszenia, okropna myśl lodem ścinała całą jéj istność, że jéj córki w krótce pozostaną bez matki. Ona zastąpiła im stratę ojca, lecz któż zdoła matkę zastąpić! Z błagającém wejrzeniem polecała je staraniom i opiece stryja, Hrabiego Aldobrandini, a on przyrzekał zająć się niemi jak ojciec. Matka chciała coś powierzyć opiekunowi którego dla córek swoich wybrała, dała im więc znak żeby zostawiły ich samych. Hrabia wyjrzał za odchodzącemi do ogrodu, i smutném okiem prowadził je przez kilka chwil, wzdłuż wonnéj alei któréj krzewy zasłaniały w części postacie dziewic a usta jego drżały gdy mówił: — „Czyliż będę wstanie zastąpić miejsce matki tym nieszczęśliwym dzieciom! Czy już nie ma żadnéj nadziei Julio?“ a własne przekonanie, odpowiadało mu: „Żadnéj!“

Hrabina na pierwszą tylko część zapytania odpowiedziała, bo czuła ile zbyteczną była druga je-

go połowa. „Dwie z nich zadadzą ci mało trudu; Konstancja i Bjanka, są łagodnego i spokojnego temperamentu, od dzieciństwa przyzwyczaiły się do przeciwności i zmartwień, skłonności ich są prawie zwyczajami. Czuję to z pociechą, że życie ich będzie podobne do cichego strumyka, którego spokojny bieg, nigdy gwałtownym wiatrem nie był wzburzony. Ale moja Julia, ona, któréj oczy łzami się napełniają, i lica płoną za najmniéjszém wzruszeniem, któréj żywe uczucia i trwożliwy charakter tyle wymagają ostrożności... Ach! drżę o przyszłość Julji! Niech mi Bóg przebaczy, jeśli Julję więcéj kochałam jak inne! ale one tego nie wiedziały; ja sama dotąd nie czułam tego.

Upadła wysilona. Aldobrandini przez chwilę nadto był wzruszony, aby jéj cokolwiek mógł odpowiedzieć. Był to człowiek, który wziął rozbrat ze wszystkiemi uczuciami ziemskiemi. Zimny i poważny w obejściu, ostry w postępowaniu, surowy w sądzie. Jego zdolności były wielkie; lecz gdzie pustynia najbardziéj jest nagą, tam słońce najsilniéj musiało dopiekać; i istotnie, ten zimny filozof, był niegdyś młodym zapaleńcem. On był najmłodszy w swojéj rodzinie, a piękna Julja była żoną jego brata. Uważano, iż młoda małżonka, bywa często zamyśloną; surowy wyrok, skazał młodego Juljusza na daleką podróż. Czas prędko przeszedł, a gdy Aldobrandini powrócił do ziemi rodzinnéj, był już na wszystko obojętnym.

Ta jego obojętność odstąpiła go przecież chwilowo, na widok umiérającéj kobiéty, którą dawniéj tyle kochał. Przerywanym i cichym głosem, odezwał się nakoniec:

— Juljo, wiele lat minęło, i ani ty, ani ja, nie wspomnieliśmy o przyszłości mogącéj mieć coś dla nas wspólnego. Dawniéj byłoby to napróżno, ale teraz tak nie jest. Zostawiasz obraz twojéj młodości, rękojmię tak drogą! Twoja Julja będzie zawsze celem szczególnego mego zajęcia.

Hrabina wyciągnęła ku niemu wyschłe dłonie; Aldobrandini przypomniał sobie, że niegdyś doskonała ich piękność służyła za wzór snycerzowi; wziął je z czułością, i łzy upadły na rękę umierającéj Julji. Nakoniec Hrabina przyszła do siebie i słabym rzekła głosem:

— Od ciebie, spodziewam się zupełnego jéj szczęścia!"

Dziewice znowu pokazały się w ogrodzie; hrabia skinął na nie, aby weszły, i w krótkich grzecznych wyrazach pożegnawszy je, odjechał do miasta.

Coraz głębiéj padały cienie smutku na willę. Z każdym dniem młode siostry więcéj się przekonywały o bliskim zgonie matki. Ich głos stał się cichym, chód niepewnym, a śmiech, tak częsty

dawniéj, nie rozjaśniał ani na chwilę bladych liców; nakoniec, zmienione oczy Hrabiny, zamknęły się na zawsze, ale ostatnie spojrzenie zwrócone było na jéj córki.

Smutnie bardzo przeszła reszta lata, a kiedy liście opadły w ogrodzie, i chłodny wiatr zaczął szumieć pomiędzy ogołoconemi z zieloności drzewami, dwie starsze siostry z radością dowiedziały się, że opuszczą willę, i przepędzą zimę w klasztorze Santa-Catarina. Julja opuszczała ostatnie mieszkanie matki z boleścią; zdawało jéj się, że ją drugi raz traci. Kilkakrotnie zwiedzała każde miejsce lubione od matki, i odjeżdżając wylewała łzy obfite. Młodość, jest to szybko płynący strumień, w którego wodach mogą się odbijać obrazy różnych przedmiotów, ale nie zatrzymują się długo. Julja, pomimo, że zachowywała ciągle pamięć straconych rodziców, zwolna jednak odzyskała dawną wesołość i wiele szczęśliwych chwil spędziła w klasztorze.

Rok w młodości jest jak miesiąc w wiośnie; zadziwiające są zmiany, jakie spełnia. Nasienie zmienia się w listek, pączek w kwiat, tak prędko, że niemożemy prawie dostrzedz tego.

Hrabia powróciwszy z Rzymu, niemógł się wydziwić, jak prędko synowice jego stały się piękne-

mi kobiétami. Konstancja, najstarsza, miała lat dziewiętnaście; najmłodsza, Julja, siedmnaście; wszystkie trzy miały zamieszkać w jego pałacu.

W wiosenny wieczór przybyły trzy siostry do pałacu stryja swego. Był to ciężki, staroświecki budynek. Konstancja i Bianka uważały, wchodząc w główną bramę, że im smutno będzie w tym starym gmachu, lecz umysł Julji przejęty był niepewną bojaźnią, która zwiększała się w przechodzie przez ciemne, wysokie pokoje. Nakoniec weszły do wielkiego salonu, gdzie stary pokojowiec zameldował je hrabiemu. Julja spojrzała w około. Karmazynowe niegdyś firanki, stały się już prawie czarnemi, a długie wązkie okna z przepalonemi szybami, więcéj cienia niż światła dodawały. Na ścianach wisiały portrety familijne, lecz ich szkarłatna odzież zbladła, i zdawało się, że z podziwieniem zwracają surowe spojrzenia na młode nieznajome. Drzwi się otworzyły, i trzy siostry stanęły przed obliczem stryja. Stał przy stole, okno było osłonięte firanką, nadającą temu miejscu jeszcze więcéj smętności. Siostry klęknęły, a on z zimną i spokojną powagą przemówił słowa błogosławieństwa. Konstancja i Bianka przyjęły to z łagodnością, lecz serce Julji przepełnione było smutkiem. Pomyślała, jak różne od tego byłoby przywitanie z rodzicami; spuściła głowę, zanosząc się od płaczu, a jéj ciemne rozpuszczone włosy, bladą twarz jéj okryły. Łagodnie, lecz zimno,

podniósł Hrabia płaczącą Julję, i grzecznemi, ale poważnemi wyrazami opieki i przychylności, pożegnał siostry, które udały się do przeznaczonych dla siebie pokoi.

Kilką gwiazd rzadko rozrzuconych po niebie, ledwie tyle użyczały światła pomiędzy gęstemi krzakami, iżby prowadzić kroki dobrze znającego to miejsce. Powietrze było miłe, ciepłe, a przyjemna woń zdradzała kwitnące w bliskości róże; ale milszy nad wonny oddech róż w powietrzu, był cichy, dźwięczny głos młodości i miłości. Stopniowo dwie kształtne postacie ukazywały się w ciemności. Jedną z nich był nader przystojny młodzieniec, a drugą Julja. Pomimo łagodności nocy, czoło młodzieńca było zmarszczone, a głos jego więcéj był smutny, niż czuły, gdy mówił:

— Nie widzę nadziei, jak tylko w tobie Juljo! Czy sądzisz, że ojciec zechce zapomnieć śmiertelnéj dla Aldobrandiniego nienawiści, dla tego, że syn jego kocha jedną z jego synowic? lub mniemasz, że Aldobrandini zechce oddać prawa swoje nad tobą, wiecznemu nieprzyjacielowi swemu! Oh! on tego nie uczyni: choćby widział łzy twoje.

— Moje nadzieje są pomięszane; nie wiem czego wolno mi się spodziewać, odpowiedziała smutnym ale stałym głosem dziewica; lecz to wiem,

że nie opuszczę potajemnie i w nieposłuszeństwie domu, mego opiekuna.

— I cóż cię przywiązuje do twego surowego stryja?

— Nigdy nie był surowym dla mnie; z początku tak mniemałam, sądząc o jego uczuciach z ciemnych firanek, smutnych pokoi i okropnéj cichości starożytnego pałacu; lecz gdy udawszy się do przeznaczonych dla nas pokoi, zobaczyłam, że tam niczego niebrakuje, że nawet wykwintny zbytek przebija się we wszystkiém, pomyślałam sobie: Zapewne nas stryj kocha, bo inaczéj niebyłby tak starannym w uprzyjemnieniu nam pobytu w swoim pałacu.

Kilka chwil jeszcze rozmawiali z sobą; pożegnali się, aby się znów złączyć, i nakoniec Julja wyjechała tajemnie z zamku stryja, aby zostać małżonką Lorenza de Carrara. Lecz uježdžała z sercem wzruszoném, a gdy po ślubie próżnemi były wszelkie prośby i starania o przebłaganiu stryja, Julja płakała gorzko, jakby ten wypadek nie powinien był być przewidzianym. Stryj jéj więcéj jeszcze smucił się jéj ucieczką. Kiedy starsze siostry Julji poszły za mąż, on prawie tego nie uważał, ale strata Julji gwałtownie go uderzyła, jakby słodka muzyka nagle ustała, jakby w jednéj chwili zaćmił się blask słońca. Ona była jedynym kwiatem, który pozwolił sobie kochać w swojém surowém życiu; ona była wznowieniem złudzeń jego młodości; miłość dla matki odżyła w milszém, w święt-

szém uczuciu, w miłości dla jéj dziecka; a teraz, to wszystko musiało zniknąć!...

Jego dobroć, starania, były ciągle w pamięci młodéj Hrabiny de Carrara; bo teraz już nią była. Ojciec Lorenza umarł wkrótce po ślubie. Czas żałoby był przerwą smutnych, nieprzerwanych zabaw ślubnych. Na usilne żądanie Julji, postanowili zamieszkać w willi, gdzie umarła jéj matka.

— A niebędzieszże tam smutną, droga Juljo? pytał Lorenzo.

— Będę tkliwą, ale nie smutną, odpowiadała mu; będzie mi się zdawać, że mię matka jeszcze pielęgnuje, a każda jéj prośba, każda przestroga, prędzéj przypomni się mojemu sercu w tém miéjscu, gdzie słyszałam je z ust najczulszéj matki.

Morzem przybyli do ładnéj willi, i z roskoszą przechadzali się po wielkiéj sali, na któréj ścianach malowanych al fresco, wyobrażoną była historja Enony. Na balustradach stały wonne krzewy, a w pysznych marmurowych naczyniach świeżo zebrane kwiaty; w śródku sali był piękny wodotrysk, którego krople zdawały się być perłami, zebranemi z groty jakiéj morskiéj nimfy, i spadając w kryształowe naczynie, wdzięcznie wtórzyły Julji, kiedy uczoną dłonią przebiegała po strunach lutni. Nie mniéj roskoszną była przechadzka po tarasie, wieczorem przy świetle cza-

równém księżyca, odbijającém się w falach błękitnych morza.

Wkrótce Lorenzo cieszył się bardzo, że się tam udali. W Genui wybuchła okropna zaraza, tysiące porywająca ofiar. „Duch twojéj matki, mówił Lorenzo do żony, był opiekuńczym twoim aniołem, kiedy cię natchnął myślą, przeniesienia się tutaj.“

Ale serce Julji nie było spokojne, choć widziała siebie i męża zabezpieczonemi od zarazy; Julja myślała o swojm stryju. Kto mógł, wyjeżdżał z miasta, lecz Hrabia Aldobrandini pozostał w niém. Odwiedzał on chorych i umierających; głos jego pocieszał nieszczęśliwych, a gorące modły wznosiły się do Boga za duszę tych, co padli ofiarą. Julja dowiedziała się o tém wszystkiém, i gorżko płakała, samotnie zamknięta w swoim pokoju; padając na kolana, błagała nieba za stryjem.

Nadzieja pojednania się z nim, wstąpiła w zbolałe jéj serce. Ten, który jak anioł pocieszyciel ociera łzy bliźnich swoich, myślała ona, potrafi przebaczyć i zapomnieć błędy i słabości ziemskie. Zajęta tą słodką myślą, wesoło wybiegła naprzeciw powracającego męża, ale czoło jego było zachmurzone, i po pierwszém przywitaniu, oświadczył jéj, iż na tydzień musi się oddalić do dawnego swego zamku. Pożegnanie okropném było dla Julji. Obecność kochanéj osoby zbyt skoro staje się potrzebą. Kilka tylko tygodni razem spędzonych, a już

czujemy, iż życie nasze martwém byłoby bez niéj.

Julja grała na lutni, ale jéj dźwięk zdawał się niedość tkliwym, zrywała kwiaty, ale one nie miały dla niéj zapachu, przerzucała poezje Arjosta i nieznajdywała w nich żadnego zajęcia, a cały dzień przechodził jéj na wynajdywaniu różnych podobnych i niepodobnych niebezpieczeństw, mogących zagrozić jéj mężowi.

Nazajutrz, przechadzając się po tarasie, usłyszała głosy kilku osób; wymówiono jedno nazwisko; okropne przeczucie opanowało serce Julji. Zawołała pazia; ten z początku unikał odpowiedzi, lecz dusza Hrabiny odgadła prawdę. Stryj jéj był dotknięty zarazą. Skinęła na pazia żeby się oddalił i oparła się na kolumnie. Po chwili odjęła ręce od twarzy; była bladą, ale jéj oczy były suche. Oddaliła się do mieszkania krokiem powolnym, lecz pewnym. W dwie godziny domownicy szukali jéj wszędzie, ale napróżno; znaleźli tylko list do Hrabiego Lorenza, obwinięty lśniącym puklem kruczych włosów.

Opuśćmy pałac i zamięszanie między domownikami Julji, a pójdźmy w jéj ślady. Znajdowała się w drodze do Genui, przebrana w grubą czarną

odzież zakonnicy ś. Katarzyny, który to ubiór dawał jéj sposobność zbliżania się do chorych. Chociaż przyczyna jéj podróży dość jéj dodawała odwagi, z ukontentowaniem jednak, ujrzała człowieka, idącego w tę samą stronę, z koszykiem naładowanym owocami i jarzyną. Zbliżyła się do niego, i zapomocą kilku piastrów skłoniła go, iżby zwolnił kroku i towarzyszył jéj w podróży do Genui.

— Zaraza, mówił on, sprawia, iż wszystkie przedmioty z trudnością mogą być dostawiane do miasta, i dla tego ogródek mój przynosi mi teraz wiele pieniędzy.

— A nie lękasz się zarazy? zapytała mniemana zakonnica.

— Kto nie naraża, nie zyskuje! odpowiedział ogrodnik.

— Swięta Madonno! pomyślała Julja, jakże ja nie mam się narazić na niebezpieczeństwo, przez wdzięczność i miłość, kiedy ten człowiek naraża się dla lichego zarobku.

Ulica, gdzie stał pałac hrabiego Aldobrandini, była w środku miasta, i trzeba było przejść najgłówniejszą część miasta, aby dojść do niego. Jakże tam było zmienione! Niedawno jeszcze, tłumy ludzi i powozów snuły się ze wszech stron, a teraz, ani jednéj żyjącéj istoty na ulicy. Dochodząc do końca ulicy, przewodnik zapytał Julji, gdzie ma zamiar udać się?

— Do pałacu hrabiego Aldobrandini.

— Nie znajdziecie tam nikogo. Dobry hrabia byłby kazał wszystkich chorych przenieść do swego pałacu, gdyby to było podobném, a gdy sam dotknięty został zarazą, nie ma ani jednéj istoty, któraby się ważyła wejść do niego; bo wszyscy sądzą, że tam najgorsze musi być powietrze, kiedy tak dobry człowiek nie mógł mu się oprzéć.

Julja podała mu pieniądze, ale on wziąść ich nie chciał, mówiąc:

— Twoje poselstwo świętsze jest jak moje; zatrzymaj te pieniądze, będą ci potrzebne, jeźli zostaniesz w mieście, bo tu wszystko bardzo drogie.

Nagła myśl uderzyła Julję. — Nie żądam, rzekła do ogrodnika, żebyś przebył to miéjsce, które ci się zdaje siedliskiem zniszczenia; lecz bądź tu jutro, i miéj z sobą mały zapas pokarmów i owoców. Przyjdź tylko, sowicie ci zapłacę.

— Przyjdę pewno, odpowiedział ogrodnik; niechaj cię wszyscy święci prowadzą, twoje poselstwo jest bardzo niebezpieczne. — Spojrzał za Julją jak znikła na zakręcie ulicy. Szkoda, rzekł, że jéj na miejsce nieodprowadziłem. Bądź co bądź, przyjdę tu jutro. Pomimo czarnego welonu i bladéj twarzy, jest ona bardzo podobną do mojéj Minetty. Eh! jeźli ta zaraza długo jeszcze potrwa, to będę bardzo bogatym! — Tak rozmyślając na prze-

mian o zakonnicy, pieniądzach i kochaniu, udał się dalej w swoją drogę.

Julja przybywszy do pałacu swego stryja, zatrzymała się chwilę, nie z bojaźni, ale w oczekiwaniu; cichość była tak głęboka, że najmniejszy szelest nie doszedł jéj ucha. Drzwi wszystkie były otwarte, lecz niemożna było dostrzedz ani śladu jakiejkolwiek żywéj istoty. Weszła do sypialni stryja, była próżną! Serce jéj mocno było wzruszone, lecz zawołała: „Mam jeszcze nadzieję, i udała się do oratorjum. Nie omyliła się. Krucyfix stał na stole; na twardym materacu z drugiéj strony pokoju leżał jéj stryj. Upadła na kolana, bo Hrabia leżał bez czucia, ale, dzięki Najświętszéj Pannie, nie bez życia. Schiliła się, dotknęła ustami swemi chorego, i uczuła oddech życia; jego dłoń paliła jéj rękę, i uderzenia pulsu wyraźnie czuć się dały. Julja uklękła przed krucifixem, obfite łzy ulżyły boleści, i spokojnie zaczęła błagać Boga o siłę i natchnienie, co ma przedsięwziąść! Powietrze było gorące i ciężkie; otworzyła okno a balsamiczna woń ogrodu zapełniła pokój. Skropiła czoło stryja aromatycznemi wodami i wlała w usta jego kilka kropel lekarstwa. Otworzył oczy, wzniósł je w niebo, ale wkrótce znów się zamknęły. Wyciągnął rękę, jakby czegoś szukał,

i Julja domyśliła się, że pić chce zapewne. Zbiegła szybko do ogrodu, naczerpnęła wody u fontanny, i podawszy ją choremu, przekonała się, że ten napój był mu pożądany. Hrabia podniósł głowę, ale nie odzyskał przytomności; cała długa noc przeminęła, nie przynosząc zmiany w jego stanie.

Nazajutrz Julja wyszła na spotkanie ogrodnika, który czekał na nią, ale bez nadziei, żeby ją zobaczył. Jakież okropne musiało być opustoszenie miasta, kiedy Julja nie wiedziała, która godzina, bo nie było ani jednego człowieka, do poruszenia dzwonów kościelnych. Wziąwszy przyniesione przez ogrodnika zapasy, powróciła do pałacu.

Przez długie, okropne trzy dni, Julja nie widziała ani promyka nadziei uratowania stryja. Nakoniec czwartego dnia z rana, siedząc przy jego łożu, ujrzała lekki pot na jego twarzy; sen jego był spokojny i orzeźwiający; obudził się zupełnie przytomny. Lękając się skutków wzruszenia, Julja zakryła twarz welonem, a na zapytania odpowiadała cichym zmienionym głosem.

— Jestem słaby i potrzebuję pomocy, ale któż jesteś, szlachetna istoto, która ośmielasz się wchodzić do mieszkania choroby i śmierci?

— Nieznajoma, której przeznaczeniem jest pokutować!

— Julja! zawołał Hrabia, i w téj chwili była przy nim; oboje wylewali słodkie łzy przyjaźni i zapomnienia. Przygotowała prędko lekkie pożywienie, i używając władzy lekarza, wzbraniała mu wszelkiéj rozmowy. Wkrótce hrabia wysilony znowu zasnął.

Już chłodny wietrzyk wieczorny wchodził do pokoju, kiedy Julja odważyła się pierwszy raz przedstawić, że chce posłać przez ogrodnika list do swego męża, i że życzy sobie, aby przysłano lektykę, którąby przeniosła stryja do ich willi.

— Moje drogie dziecię, odpowiedział jéj, czyń co chcesz, zawieź mię nawet do domu Carrara.

— Nigdzie nie będziesz mógł być lepiej przyjętym rzekł ktoś wchodząc; Julja powstała i znalazła się w objęciach swego małżonka. Wiedziałem, że cię tu znajdę, Juljo, rzekł Lorenzo, chociaż list twój wspominał tylko o modłach i pielgrzymce.

Cóż jeszcze zostaje do powiedzenia? hrabia towarzyszył młodym małżonkom do ich willi, gdzie wyzdrowienie jego było prędkie i zupełne. Widząc tkliwą miłość obojga, poznał, jak wielkie było poświęcenie się Julji dla niego; od téj chwili uważał Lorenza za swego syna, i związek ich rodzin był bardzo szczęśliwym. W pałacu Aldobrandinich, w galerji obrazów, znajduje się jeszcze wyobrażenie hrabiny Julji w ubiorze zakonnicy; jéj blade lica, zgrabna postać pod grubą

czarną suknią, i piękne krucze włosy, zakryte w części welonem, dodają jakiegoś uroczego wdzięku jéj powabom, a hrabia Lorenzo często powtarzał, że nigdy nie była więcéj zachwycającą.

RYBACZKA.

W Szkocji jest wioska nazwana Gourloch. Leży ona na brzegu pięknéj zatoki, około trzy mile od miasta Delingburn, i po największéj części zamieszkaną jest przez rybaków. W miesiącach letnich przybywa tam mnóstwo cudzoziemców, dla brania kąpieli, i ci najmują u rybaków mieszkania.

Nie ma w całéj Szkocji, a może nawet w całéj Brytańji, miejsca tak pięknie położonego jak Gourloch. Z wierzchołka wzgórza, na wschód niedaleko od wioski, jest widok, rzadki w górzystych okolicach. W porównaniu z tém co oko z tąd objąć może, niczem byłby rozhukany ocean, któremuby jaki czarownik rozkazał w mgnieniu oka u-

spokoić się i pokryć trawą, drzewami, mchem, i kwiatami; nietylko góry, ale najbogatsza rozmaitość lasów i łąk, równin i lekkich wzgórzów, pojedynczych i pięknie gruppowanych mieszkań, rozwija się nagle przed wzrokiem zdziwionego widza.

Gdym podczas jednéj wycieczki w zachodnie okolice Szkocji, pierwszy raz przybył na ten pagórek, zmordowany usiadłem na oderwanéj bryle skały, w któréj ręka ludzka wyrobiła siedzenie, i ujrzałem w grubych rysach wyrżnięte na kamieniu te wyrazy: „Spocznij, i bądź wdzięcznym.“ Natura, jakby dumna z swojéj piękności, chciała palcem wskazać ją wędrownikowi; nagromadziła te ułamy skał tam, gdzie oko najwięcéj, najobficiéj używać może widoku jéj wdzięków. Zajęty wpatrywaniem się, nie uważałem na podeszłego człowieka, który wkrótce po mnie dostał się na wierzchołek wzgórza, i obok mnie usiadł. Pozdrowił mnie, i tym sposobem ocucił mię z marzeń moich.

Powierzchowność jego była poważna; od pierwszego wejrzenia poznać w nim można było marynarza. Wziąłem go za dobrze mającego się rybaka z wioski, który przez trudy i starania młodzieńczego i dojrzałego wieku, zapewnił sobie spokojność i wygodę na wieczór swego życia, i chwilę wolną do spojrzenia w około siebie, nim jego noc nadejdzie.

Zaznajomiliśmy się prędko, i poznałem, że wiedział, jaki jest cel jego pielgrzymki na ziemi. Opowiadał mi o swojéj wiosce różne okoliczne podania, i usiłował zbijać moje wątpliwości i domysły.

— Czy nigdy nie doświadczyłeś pan, zapytał mnie, jak czasem myśl jaka głowę, albo jakie uczucie serce nasze przebiegnie, podobnie jak tchnienie wiatru, chłodzące twarz naszą; to jest tak, że niewiemy ani zkąd pochodzi ani dokąd odlatuje. Lecz wiatr przewionie, i żadnego śladu nie zostawi, a podobne myśli i uczucia stają się bardzo ważnemi, stają się sprężynami naszego postępowania, sprężynami w przędzy naszego losu.

Nie mogłem temu zaprzeczyć; ale domyśliłem się, że jakaś okoliczność była starcowi powodem do téj uwagi; tę myśl wyjawiłem mu.

— Masz pan słuszność zupełnie, odpowiedział; w téj chwili patrząc na drzémiące tam w dole wody zatoki, przypominam sobie wypadek, którego świadkiem byłem przed niedawnym czasém, i którego pamięć cięży mi na sercu jak młyński kamień.

Prosiłem starca, żeby mi zdarzenie to opowiedział, i przysunąłem się doń bliżéj, żeby lepiéj słyszéć; nie dał się długo prosić, i w tén sposób zaczął opowiadać:

— Przed sześciu miesiącami, mieliśmy tu we wsi wesele — nigdy nie widziałem piękniéjszéj pary przed ołtarzem.

Sir Douglas, był synem ubogich rodziców, ale w służbie naszéj doszedł do stopnia oficera, zdaje mi się, że był chorążym. Pułk jego podczas pokoju został rozwiązany, i on znowu do nas powrócił, bo nigdzie mu się nie podobało tak jak tutaj, i żył z swego pół-żołdu i z tego co jeszcze oszczędził, tak jak mógł. Jenny Stuard była najpiękniéjszą dziewicą w całéj wiosce, i tak słodką i łagodną jak anioł. Straciła ojca i matkę, i mieszkała u swego stryja, rybąka, jak my wszyscy, który jéj dał u siebie przytułek; o resztę ona sama się starała, bo była bardzo zręczną do igły, i znajdowała zawsze wiele roboty u tych rodzin, które w lecie jak robaki z kątów i dziur, przywłóczą się do nas z miast wielkich, aby się w wspaniałém naszém morzu wykąpać. Ona była tak przyjacielską i milczącą, tak przyzwoitą i dobrze wychowaną, a przytém tak ujmującéj powierzchowności, że nawet najdumniejsza część towarzystwa w kąpielach nie wahała się przyjmować jéj do siebie. Niechcący, i niewiedząc o tém, obchodzili się oni z nią jak z równą sobie.

Jenny i pan Douglas znali się, i skończyło się na tém, że się zaślubili. Mieszkali oni w domku, który Douglas kupił, oto tam, widzisz pan, gdzie ląd wchodzi tak daleko w morze, i byli bardzo

szczęśliwi. Jenny nie lubiła miasta, bo się nieraz napatrzyła życia wielkich państwa, i przekonała się, że to życie niezgodne jest z usposobieniem jéj duszy i serca. Teraz miała towarzysza, którego czuła równym sobie, którego rozum napełniał ją dumą, tą dumą, która tak miłą jest sercu kochającéj niewiasty, i wznosi ją nad nią samą. Podczas wojen w obcych krajach, Douglas nauczył się różnych języków, napatrzył się świata, i umiał nie jedno powiedziéć o ludziach rużniących się od nas obyczajami. Gdy mówił, czas upływał ani wiedzieć było kiedy, a Jenny słuchała mowy jego jakby słów wyroczni; owa tak była z nim połączoną, jak powój z pniem drzewa, on był dla niéj wszystkiém na świecie. Co jemu było miłe, to ją cieszyło, jego troski były jéj smutkami, jedno jego słowo prawem. Będzie temu dni ze czternaście, skarzyła się raz z rana na ociężałość i ból głowy; była smutną i zamyśloną, a Douglas radził jéj, żeby położyła się jeszcze, sądząc, że dłuższy spoczynek uleczy ją. Powiedziała, że to uczyni, i Douglas wyszedł, bo miał jakieś sprawunki na wsi. Powróciwszy, zastał ją w téj saméj postawie, w jakiéj ją zostawił, to jest przy stole w oknie, z opartą na dłoni głową, ale upewniła go, że ma się lepiéj, iże jéj nic nie brakuje. Douglas robił to wszystko, co my robiemy, łowił ryby, robił sieci, i naprawiał uszkodzone. Uwierzył zapewnieniu Jenny, i powie-

dział jéj, że przyrzekł kilku młodym ludziom ze wsi, towarzyszyć w wyprawie na połów na pełne morze, i że dopiero następującego dnia powróci. Długo patrzyła nań z szczególném wyrażeniem zadziwienia, jakby go nie rozumiała, a kiedy odszedł przygotować swoje narzędzia, patrzała się na jego robotę, jakby nie pojmowała, co on zamyśla. Dopiéro kiedy przyszedł pożegnać się z nią, objęła go silnie rękami i niechciała puścić; jéj łono wzdęło się, jakby serce jéj chciało wydrzéć się z piersi, i nic nie mówiła.

— Co ci to Jenny? pytał Douglas.

— Zostań dziś zemną! odpowiedziała po długiém wahaniu się, nie odchódź téj nocy, tylko téj nocy. Ja tak rzadko proszę cię o co, nie odmów téj mojéj prośbie. Jutro nie będę cię zatrzymywać, ani na jedną chwilę. — Douglas pytał się o powody tego żądania; ale ona nie mogła innego przytoczyć, jak ten, że jakaś nieopisana trwoga ściska jéj serce, i że ją opanował smutek, jakiego nigdy nie doświadczała.

Mąż usiłował w żart obrócić tę jéj niespokojność, ale kiedy obstawała ciągle przy swéj prośbie, prawie rozgniewał się, i zarzuciwszy sieć na barki, pocałował ją i odszedł.

Jenny została niejaki czas nieporuszona, na miejscu gdzie ją odstąpił, i patrzała na drzwi, któremi on wyszedł. Drżała jak liść wiatrem wstrząśniony, ale usiłowała przezwyciężyć obawę; uklę-

kła, odrzuciła w tył rozpuszczone włosy, i wzniosłszy ręce i oczy do nieba, błagała Boga, ażeby męża jéj nie wypuszczał z swojéj opieki, i przywiódł go napowrót w jéj objęcia. Pełna ufności, jakby pewna, że będzie wysłuchaną, opuściła głowę na piersi i powstała; pokój wrócił do jéj serca, i uśmiech przebiegł po ustach, jak promień słońca w zwierciadle jeziora. Jakby nic się nie stało, zajęła się zwykłém gospodarskiem zatrudnieniem, i zdawała się być spokojną.

Z rana pogoda była bardzo piękna, ale dzień był parny, i koło południa wiatr powstał, tak, że wszyscy żeglarze przepowiadali wielką burzę jeszcze przed nocą.

Wiatr był przeciwny; pewni byliśmy, że łódki rybackie nie mogły daleko odpłynąć, i wrócą jeszcze przed burzą, zobaczywszy znaki wróżące ją.

Ale za nadejściem wieczora, wiatr wzmógł się, i powstała burza, jakiéj najstarszy z nas w tych stronach nie pamiętał. Okręty stojące w zatoce, zostały zerwane z kotwic i rozbite o skały; wszystko co żyło, uciekało do najbliższego portu. Ludzie, którzy tak byli oswojeni z wodą, jak z twardą ziemią, i słyszeli świst burzy od urodzenia, stracili męstwo, a kobiéty napełniały powietrze krzykami żałości i rozpaczy, bo każda prawie miała jakiego krewnego pomiędzy młodemi ludźmi, co wypłynęli na połów. Cisnęły się one

do siebie, i wspólném uczuciem trwogi słuchały wiatru i deszczu. Pomiędzy niemi była tylko jedna, któréj burza nie przestraszyła, która nie wyszła z domu, i pociechy bliźnich nie potrzebowała. Była to Jenny. Wprawdzie i ona niekiedy przysłuchiwała się rykowi morza, który w niejakich przestankach do jéj uszu dochodził jak głos ducha morskiego, i wtedy odkładała na bok robotę; ale wkrótce przypomniała sobie modły do tego, który wodze wichrów w swéj dłoni trzyma, i na którego skinienie milczą wały wzburzone. Pociecha, jaka w tych chwilach uniesienia napełniała jéj serce, utrzymywała odwagę jéj, i ożywiała, jak niebieska rosa wysuszoną ziemię ożywia. „Bóg słucha tych, co z ufnością modły do niego wznoszą“ mówiła sama do siebie, i pomocą wiary rozpraszała trwogę swéj duszy; kotwica jéj nadziei w niebie spoczywa, żaden ziemski wicher zerwać jéj nie jest w stanie.

Wstała, i poprzątnęła mieszkanie, przyłożyła drzewa na ogień, i przysunęła do komina szerokie krzesło z poręczami, żeby znużony rybak znalazł je już gotowe. Nakoniec sąsiedzi przyszli do niéj, wiedząc, że mąż należy do liczby nieobecnych, i oświadczyli jéj, że mają zamiar udać się na brzeg, i sprobować, czy się nie dowiedzą co o losie statków. Wyszła niespiesznie, ani trwożnie ale bez płaszcza z odkrytą głową i w zwyczajnym swoim białym ubiorze, jakby narzeczona, którą

do ołtarza prowadzą. Wyszliśmy, było nas około trzydziestu, ale jak wzruszający był widok tylu bladych twarzy, oświeconych krwawym blaskiem pochodni, a w przerwach, kiedy szum wiatru ustawał, słyszéć się dawał odgłos smutnych ich krzyków.

Jenny szła naprzód, serce jéj zdawało się spokojném, a krok jéj był pewny; tylko kiedy krzyk któréj niewiasty z niepomyślną wróżbą doszedł do jéj uszu, oglądała się trwoźnie do okoła, i słyszałem jak cicho powtarzała: „Boże, powróć mi męża; jeźli potrzeba ofiary, wybierz inną dla ołtarza twego gniewu.“ Jakby przestraszona występną tą myślą, zatrzymała się nagle, w tedy, gdyśmy się zbliżali do skały, na któréj latarnia morska stoi. Zdawało nam się, że słyszemy jakby ludzkie krzyki; zaczęliśmy wołać i znaki dawać pochodniami; znajome głosy odpowiadały nam. Drapaliśmy się z skały na skałę, i nakoniec dostaliśmy się do biednych towarzyszy: usłyszeliśmy smutną wiadomość. Łódka jedna została rozbita, i właśnie wyciągali na brzeg zimne ciało nieszczęśliwego jéj właściciela. Gdy to usłyszały idące za nami kobiety, powstał ogólny żałosny krzyk, bo każda obawiała się, czy to nie jéj mąż, ojciec albo brat utonął. Tylko Jenny stała spokojnie, bez trwogi blisko trupa, i przemawiała świętemi słowami pociechy, tak, że aż płacz kobiet ustał w skutku jéj mówy. Weszła w tłum, wzięła pochodnię

zdrżącéj ręki, która ją trzymała, i nachyliła się nad umarłym. Wtedy światło padło na jéj piękne oblicze: nie mogłem w niém dostrzedz najmniejszego znaku przerażenia albo trwogi. Miły rumieniec barwił jéj lice, a niebieskie światło jaśniało w oczach. Uklękła nad trupem, długie jéj włosy na wiatr były rozpuszczone; wszystkich oczy zwróciły się na nią, więcéj jak na przedmiot jéj zajęcia; wiatr nachylił światło pochodni na twarz umarłego, pochodnia wypadła z rąk Jenny — młoda kobiéta padła na zwłoki męża.

Prośba jéj została wysłuchaną; ścisnęła męża w swoich objęciach jeszcze téj nocy. Gdyśmy ją chcieli podnieść, życie jéj już uleciało; bez cierpień konania oddała duszę na łonie swego męża.

DIARMID BAWE

DUDARZ.

(Baśń Irlandzka.)

W burźliwą noc, siedział przy kominie Patryk Burke; dwaj mali synowie jego piekli kartofle w popiele, a rumiana córka trzymała palące się łuczywo przyświecając matce, która w kącie izby naprawiała suknie Patryka, a Judy, dziéwka, śpiewała wesołą piosnkę przy kądzieli. — Myślałem właśnie, jak powinniśmy dziękować Panu Bogu, że w tak okropną noc mamy ciepłe gniazdo, rzekł Patryk; bo jak na nogi wzrosłem, nie pamiętam takiéj burzy.

— Istotnie, odpowiedziała żona, ale słuchaj no co to za krzyk? I położywszy robotę na kolanach, spoglądała trwożnie na drzwi.

— Niech nas Najświętsza Panna ma w swojéj opiece! zawołała Judy i przeżegnała się; to coś nie dobrego!

— Milcz, głupia! krzyknął Patryk; to wiatr tak w lesie wyje! — Ledwie to powiedział, zastukano do drzwi. Molly szeptała modlitwę, Judy wzywała wszystkich świętych, a malcy skryli się za łóżko.

— Cicho, cicho, zawołał Patryk, czegóż się lękacie? Judy, nie możesz wstać zobaczyć, kto do drzwi kołacze? — Bo pomimo męzkiego tonu, który przybrał w téj chwili, Patryk Burke wołał służącę do drzwi wysłać, niż sam je otworzyć.

— Co mówicie? krzyknęła Judy z wyrazem podziwienia; czyliż chcecie, żebym została koniem, jak mój dziadek?

— No, to siedź cicho, ja sam otworzę.

Po tych słowach wstał, zbliżył się ku drzwiom, i zapytał:

— W imie świętego Patryka, kto tam?

— Ja, Pat! odpowiedział głos, po którym Patrik poznał młodego Squire (Saird). W mgnieniu oka drzwi się otworzyły, i wszedł młody człowiek z strzelbą na ramieniu, i dwa psy za nim.

— Dla czegóż tak długo daliście mi stać na podwórzu? zapytał nowo przybyły.

— Jest to winą Judy, łaskawy panie, która lęka się dobrych ludzi; i ma w części słuszność, muszę jéj to przyznać, po tém wszystkiém co się przytrafiło jéj dziadowi! — Panie, świeć nad jego duszą!

— I cóż to takiego? zapytał młody Squire.

— Trzeba waszéj szlachetności wiedzieć, że Judy miała dziadka; był to stary Diarmid Bawe, dudarz, wielki, sławny grajek; jak zadął, to aż serce skakało. Miał on małą dzierżawkę w górach, i chodził sobie raz w jasną noc przy księżycu w tę

i w ową stronę po polach, bardzo smutny i zamyślony, z powodu braku tytuniu, bo rzeka przybrała i Diarmid nie mógł w bród jéj przéjść, żeby go sobie w miasteczku na drugiéj stronie kupić; a pewno wolałby głodno spać się położyć, jak nie pociągnąć choć raz dymu z fajki. Otóż, doszedłszy do starych tych murów niedaleko brodu, spostrzegł, Boże ustrzeż nas! wielkie wojsko, ubrane jak dragoni. — „Wszyscy gotowi? zapytał dowódzca w ubiorze jeneralskim.

— Nie, Jenerale! odpowiedział mały jakiś człowiek, od stóp do głów czerwono ubrany; jeźli nie dacie konia dla Sir Darriga, będzie musiał pozostać tu, i przegramy bitwę.

— Oto tam stoi Diarmid Bave, rzekł dowódzca, wskazując na dziadka Judy; zrobić z niego konia.

Wtedy Sir Darrig postąpił do Diarmida, który jak wasza cześć łatwo sądzić może, w niemałym był strachu; ale nie mając żadnéj pomocy, postanowił śmiało spojrzéć w oczy niebezpieczeństwu, zaczął żegnać się i różne zaklęcia wymawiać aby odegnać złe od siebie.

— Pójdziesz tu czy nie? ty.... zawołał mały czerwony jegomość, i zgrzytnął okropnie. Wiedz, że tyle dbam o twoje krzyże i zaklęcia, co o źdźbło słomy.— Potém uderzył biednego Diarmida płazem pałasza, i ten w mgnieniu oka został przemieniony w konia, a Sir Darrig wsiadł na niego.

Przebyli lotem ocean jak dzikie gęsi, i krzycząc pędzili daléj, aż przybyli do Jamajki; gdzie stoczyli morderczą walkę z ludźmi tamtego kraju. Walecznie szło z obu stron, aż jeden z Jamajczyków szablą swoją ciężką zadał ranę Diarmidowi pod lewém okiem; otóż wtedy, biedny Diarmid zapomniał swego powolnego temperamentu, rzucił się z jeźdcem swoim w pośród nieprzyjaciół, machnął ogonem, tratował i nacierał, tak, że wkrótce piękną lukę zrobił. Nakoniec wojska, w których Diarmid jako koń służył, odniosły zupełne zwycięztwo, i to jedynie przez niego. Wtedy zaczęli wykrzykiwać wesoło, radować się, i wielką cześć wyrządzać Diarmidowi, jako najwaleczniejszemu z koni.

— Niech każdy weźmie garść tytuniu dla Diarmida Bave! krzyknął dowódzca, i rozkaz został wykonany. Potém polecieli na powrót, bo już na dzień się zabiérało, do starych murów niedaleko od brodu, i znikli tam jak mgła za górami.

Gdy Diarmid obejrzał się, słońce wschodziło, i on mniemał, że to wszystko snem było; wtém spostrzegł cały stóg tytuniu na starych murach leżący, uczuł, że krew idzie z pod jego lewego oka; bo Diarmid istotnie był w téj potyczce raniony, i zginął by może, gdyby nie talizman, który nosił na szyi od czasu, jak miał szkarlatynę. Przytém i plecy go bolały i boki, boć to nie tak lekko nosić na sobie tyle mil jeźdźca z biczem i

ostrogami. Otóż tedy, tytuń leżał tuż przy nim na kupie, i dał się słyszéć głos, a nikogo w bliskości nie było: „To wszystko do ciebie należy, za to żeś się tak walecznie sprawił w bitwie, a jeśli Sir Darrig będzie jeszcze kiedy potrzebował konia, będzie już wiedział, gdzie poszukać rozsądnego zwierzęcia, bo nigdy na tak dobrym wierzchowcu nie jeździł jak na tobiee.“ —

Patrik skończył swoje opowiadanie, a młody Squire wyjrzawszy przez okno, rzekł:

— Dziękuję ci Pat! istotnie nadzwyczajne zdarzenie; już się teraz nie dziwię, że się Judy obawia wychodzić w nocy. Ale ponieważ burza ustała, i rozwidniło się znacznie, pójdę sobie do domu.

— Niech Bóg i Najświętsza Panna wezmą waszą cześć w swoją opiekę, bo to było zupełnie w taką noc księżycową, kiedy Diarmid Bave został przemieniony w konia.

PODRÓŻ

PO WARSZAWIE.

Wycieczka Druga.

Rozstałem się z Stasiem w kawiarni, i dopiero w wieczór miałem się z nim widzieć na komplecie u pana Z. Wróciłem do domu, rozmyślając o tém, czém się przez całe popołudnie zajmę, żeby jakąśkolwiek z tego czasu odnieść korzyść. Mamże paląc fajkę, puścić wolny bieg moim myślom, i czekać, póki zkolei na coś ważnego nie natrafię? Mamże wziąść w rękę jaki romans, albo, co gorsza, gazetę, i czytać kłamane uczucia kochanków, albo niezgrabnie dowcipkowane recenzje teatralne, niepokonanego powszechnem zdaniem obserwatora z urzędu? Mamże?... Wszedłem właśnie do stancji, zbliżyłem się do okna, o którém zapomniałem wspomnieć w opisie jeograficznym mego mieszkania; wychodzi ono na Krakowskie Przedmieście, i mogę objąć z niego przestrzeń od poczty do saskiego placu. Wyjrzałem na ulicę,

i już nie będę się namyślał co mam czynić. Siądę tu, i opowiem jak się wydaje Warszawa, a mianowicie Krakowskie przedmieście, z okna mojego pokoju.

Turkot, wrzawa, malownicza mięszanina karet i fur z drzewem, strojnych kobiet i męźczyzn, i obszarpanych żydów i żebraków; w górne sfery mojego okna, wznosi się lotny, rożnorodny wyziew szampana, porteru, piwa i anyżówki, z poważniejszemi zapachami, befsztyku, czokolady i zrazów; prawie wszyscy, są już po śniadaniu. Mnóstwo przechodzących w tę i w ową stronę, mija się, wita, zatrzymuje, rozmawia, żegna i rozchodzi. Ale szczególniéj z jednéj strony snuje się prawie nieprzerwany ciąg gustownie ubranych kobiét, niekiedy w towarzystwie wyświeżonéj młodzieży. To piękny świat, powraca po nabożeństwie z katedry. Stań tylko tu na przejściu, a przez kwadrans niezliczone zobaczysz obrazy usiłowanéj skromności, wymuszonéj prostoty, ukrytéj zalotności, i dumnego zarozumienia. Są to lalki w kosmoramie przenośnéj wędrującego Włocha. Ale nie żałuj spojrzeń, znajdziesz i tu czysty smak, umiejący znaleźć ozdobę w tém nawet, co samo z siebie nie zdaje się mieć żadnéj wartości. Tak zawsze i wszędzie na świecie, jednych ubiór upiększa, a inni zdobią ubiór.

Południowe słońce żywszemi barwami maluje wszystkie oblicza; lekkie ubranie pozwala wyraźniéj

rozróżniać kształtne figurki przechodzących piękności: a jednak przyznam się, że widok wciętych kibici niemiłe sprawia na mnie wrażenie. Od czasu jak przeczytałem w jedném z obrazkowych pism perjodycznych, o szkodliwym wpływie gorsetów na zdrowie młodych kobiet, kiedy ujrzałem jak okropnie przekształcają całą budowę ciała te modne tortury, od tego czasu sznurówka jest celem najzapamiętalszéj mojéj nienawiści, i przysiągłem sobie, że nigdy nie zakocham się w kobiecie, która się sznuruje podług mody. Czyliż ma słuszność ten, który kobiety nazywa słabemi, niewytrwałemi istotami? Rzeczywiście, nie. Bo widząc z jaką nieustraszoną odwagą drobne delikatne dziewice dobrowolnie poddają się męczarniom zbytecznego ściskania się, byleby cieńkiemi być w pasie, przyznać musimy, że płeć piękna najtrudniejsze poświęcenie się cierpliwie spełnić jest zdolną, jeźli one jakikolwiek wpływ mieć może na ilość odnoszonych przez nią tryumfów.

Ach! co za szkoda, że Staś nie słyszy moich złorzeczeń sznurówkom, i rozumowań nad płcią piękną! jakżeby się zdziwił, on, który mieni mię zaślepionym jéj stronnikiem. Prawda, że z zapałem gotów jestem bronić tych najdoskonalszych dzieł ręki boskiéj, przeciw niesprawiedliwym zarzutom nieumiejącéj oceniać ich młodzieży; prawda że szanuję ich berło, przyznaję im prawo panowa-

nia nad nami, ależ na *uciski* tego rodzaju, o którym wspomniałem, sądzę, że wolno mi powstać. Ale dajmy pokój morałom, zajmijmy się cokolwiek szczegółami mojéj żyjącéj panoramy.

Jakieś dwie strojne młode kobiety, między szesnastu i dwudziestu laty, i wykwintnie ubrany młodzieniec. Wyższa, brunetka z żywemi oczyma, wesoło, ciekawie, a nawet zalotnie spogląda na przechodzących; zdaje się być zadziwioną, że ludzie tyle mają innych rodzajów zajęcia się iż mogą przechodzić obok niéj, i nie zatrzymać się, dla uwielbienia jéj wdzięków; w spojrzeniu jéj wyraźnie napisane jest: „Patrzcie, jaka ja piękna!“

Druga, blondynka, żywo rozmawia z towarzyszącym jéj młodzieńcem; aż mię litość bierze nad tym biedakiem który ciągle idzie zgięty w pół ciała, ażeby uchem bliżéj być różanych ustek towarzyszki. Odpowiada z poruszeniami zdradzającemi tkliwość, może udaną, słów, których nie mogę dosłyszéć. Za niemi lokaj w liberji niesie dwie w safian oprawne z złoconemi brzegami książki; wracają więc z kościoła; założę się jednak, że nie rozmawiają o kazaniu, którego słuchali.

Daléj, dwóch młodzieńców prowadzi się pod ręce. Jeden w czarnym fraku, drugi w brązowym tużurku. U obu laseczki w złoto oprawne, kosztowne spinki na piersiach, i obu oczy okazują, że niedospali przeszłéj nocy. Jegomość w czarnym fraku musiał być na tańcującym wieczorze, bo ma

białe glansowane rękawiczki, nieco zbrukane. Drugi przesiedział noc przy zielonym stoliku; dawno pokazywano mi go, jako zwolennika faraona.

Patrzcie! patrzcie! o, to sprzeczność prawdziwie śmieszna. Jéjmość przynajmniéj pół szóstéj stopy wysoka, i massiw co się zowie, a przy niéj, karłowata szczupła postać męzka. No, ta pani bez trudu zapewne może męża za nos wodzić. To też śmiało z góry patrzy na przechodzących, jakby wyzywała tego, ktoby mógł spojrzéć jéj w oczy nie podnosząc głowy. Niedba nic na to, co się dzieje *na dole*, i dla tego mąż musiał ją pociągnąć za suknię, aby ją przestrzedz, że się jéj bandaż u trzewika rozwiązał.

Otóż znowu dwie ładne panienki, a, nie same; o trzy kroki za niemi, bezwątpienia mama jednéj z nich przynajmniéj, otyła, niska, włosy jasne, bardzo starannie ułożone, całe ubranie modne, nawet kosztowne. Może miéć lat około czterdziestu, była kiedyś zapewne piękną; są tego maleńkie jeszcze ślady, a jéj się zdaje, że jest taką jak przed dwudziestu laty. Przy niéj młody L., postępuje z wyraźnemi oznakami przyjaźni, przywiązania, zajęcia,... boi się spojrzéć na przechodzące kobiéty, bo jéjmość bardzo nań uważa.

Dwie panienki idące przed niemi, rozmawiają zapewne o tajemnicach serc swoich, bo często jedna z nich ogląda się, bezwątpienia, żeby zape-

wnić się, czy idąca za niemi para nie może dosłyszéć ich rozmowy. Bądźcie spokojne, mama także ma powód nie zbliżania się do was za nadto. I ona nie chciałaby, żeby kto podchwycił treść jéj rozmowy z panem L. Jest to pewno ta pani, u któréj L. od lat kilku trudni się zarządem dóbr. Biédna wdowa, po śmierci męża nie mogła sobie dać rady; L. ofiarował jéj swoje usługi, i mówią, że nie źle na tém wyszedł; trudni się zarządem dóbr wdowy.

— *Bien bon jour, mon cherciu!*

Obéjrzałem się, kto to mię wita.

— A, jak się masz, kochany Olesiu! cóż cię skłoniło nakoniec, do odwiedzenia mojéj samotni? Musiałeś się bardzo znudzić na świecie.

— Nie, *mon cher!* przechodząc tędy, spojrzałem w górę, i zobaczyłem cię w oknie, a zatém pewny byłem, że jesteś w domu; bo tylko wątpliwość w tym względzie wstrzymywała mię dotąd. *Qu'allez vous faire* dziś wieczorem?

— O siódméj idę na komplet do pana Z. Stasio mi przyniósł list zapraszający.

— *Dommage!* Nie chodź tam, nie zabawisz się dobrze; cóż tam spodzieważ się zastać, sam *mauvais genre.* Właśnie przyszedłem *zainwitować* cię do państwa K.; *on chantera*, będziemy się wybornie bawić, ciebie nam tylko brakuje. Pani K, *ainsi que les demoiselles*, a szczególniéj panna Zo-

ſia, *m'ont obligé*, żebym cię koniecznie przyprowadził.

— Niemogę, kochany Olesiu, dałem słowo Stasiowi, że pójdę z nim razem; niepodobna żebym go zawiódł. Co do zabawy, spodziewam się znaleść jéj niezmiernie wiele, chociaż tańczyć niebędę. Ja się najlepiéj bawię, patrząc na rozrywkę drugich.

— *Tu auras de quoi rire!* ale daj się uprosić, *un autre fois* napatrzysz się karykatur niższego rzędu.

— A więc chcesz, żebym dziś na wyższy rząd patrzył? Nie, mój Olesiu, na tém mi nigdy nie zbędzie. Państwo K. pozwolą mi przyjść innym razem, a co do kompletu, tak jak dziś okoliczność może mi się nigdy więcéj nie nastręczyć; trzeba ci zaś wiedzieć, że mam więcéj niż jeden powód znajdowania się na podobnym wieczorze.

— *Tu sais*, że niemam talentu do odgadywania tajemnic, a więc wylicz mi te ważne powody, *mais avant tout* powiedz mi jakże się ubierzesz? Musisz wystąpić wykwintnie, żeby się czémkolwiek odróżnić od tego *tas de canail*, który tam znajdziesz.

— Wiesz co, dwakroć błogosławione twoje do mnie przybycie, bez ciebie nie byłbym pomyślał o ubraniu, i poszedłbym tak jak jestem w téj chwili.

— O, to mię najbardziéj trapi, że nie mogę cię skłonić do większéj staranności w ubiorze. *Fi mon cher*, trzebaż przecie starać się podobać nawet powierzchownością. *Montrez moi*, co chcesz wziąść dzisiaj, *nous arrangerons* twoją toaletę *comme il faut.*

Przerzuciliśmy wszystkie szuflady w komodzie; frak, kamizelka, krawat, guziki do gorsu, zostały po wielu namysłach wybrane i odłożone.

— Czy *szose* pójdziesz? zapytał Oleś.

— Nie! nie mam zamiaru tańczyć, więc to byłoby niepotrzebnie.

— *Et si l'envie te vient*, będziesz potém żałował.

— O! bądź spokojny, to mi się rzadko kiedy przytrafia.

— *Eh bien*, trzeba *des pantalons aux souspieds*.

— Nie noszę takich wcale.

— *Comment!* to niepodobna. Uważałem z twojéj garderoby, że zaczynasz już staranniejszym być w doborze ubrania, ale strzemiączka, *mon cher*, to jest konieczność.

— Nie mogę się przyzwyczaić.

— *Ecoute!* rzekł Oleś biorąc mię za rękę z czułością. Niekiedy chętnie słuchałeś rad moich, mogę sobie pochlebić, że uważałeś je za rozsądne; uczyń mi największą przyjemność. *Tu es un homme, fait pour plaire*, podobasz się twojém ułoże-

niem, wychowaniem, jesteś *assez eloquent*, aby ujmować sobie serduszka piękności; *tu chante charmant*; wszystko łączy się, żeby cię uczynić miłym w towarzystwach; brakuje ci tylko jednéj rzeczy: noś strzemiączka, to jest konieczne; *fais ce sacrifice*, jeżeli mię kochasz.

Serdecznie miałem ochotę śmiać się z tak dziwnego zakończenia poważnéj przemowy, i z człowieka, w którego oczach strzemiączka mogły nadać mi większą wartość; wstrzymałem się jednak, i odpowiedziałem z uśmiechem:

— Przyrzekam, przyrzekam; ale z początku będziesz musiał prowadzić mię, żebym się nie przewrócił.

Przejrzałem raz jeszcze odłożone suknie.

— Oj ty, ty, rzekłem, zapomniałeś najważniejszéj rzeczy; gdzież jest kołnierzyk?

— *Barbare!* któż słyszał myśléć o kołnierzyku? *à l'anglaise*, czarny krawat z dużym węzłem, i nic więcéj.

Barbare! rzekł, a zatém niema co odpowiedzieć; święcie jednak przyrzekłem sobie, nie ubrać się *à l'anglaise*.

— Pięknie mieszkasz, mówił daléj Oleś, tylko trochę za wysoko; ale zapewne nie bardzo mordujesz nogi, bo *vivant en brave garçon*, raz tylko na dzień wychodzisz, i raz wracasz do domu. *C'est comme moi!* bo w domu niepodobna usiedzieć; *et puis* tyle mając znajomości i przyjaciół,

trzebaby obrażać ich na siebie, nie odwiedzając ich często. *Quant à les amours*, w któréjże stronie serce twoje najżywiéj bije? Nie wiem kto mi powiedział, że ciągle spotyka cię na Miodowéj ulicy. *Dis moi*, któż jest ta piękność, *qui t'enchaine*?

— Przez Miodową ulicę chodzę do Stasia, prawie co dzień, łatwo więc mógł mię tam kto spotkać.

— Oho! chcesz się wywinąć, nic z tego; moje oczy nadto są wprawne do czytania w twoich, i z jednego spojrzenia potrafię wykryć całą twoją tajemnicę. Ale wiesz co, jesteś *extremement volage*. Od dwóch lat naliczyłbym więcéj jak tuzin porzuconych przez ciebie kochanek; to wypada po dwa miesiące na jedną. *C'est fort*!

— Tobie też o niestałość mię łajać, tobie, który jesteś, jezli nie Don Juanem, to przynajmniéj wartbyś być jego wnuczkiem.

— *Ma parole!* nie zapieram się, byłem cokolwiek płochy; ale *depuis sept mois*, zupełnie się ustaliłem. Nie będziesz się dziwił, jak ci powiem, kto mię tak spętał; zgaduj!

— Julja?

— Ach! już zapomniałem, żem ją znał kiedyś.

— Emilja?

— Nie, *sais tu*? za mąż poszła.

— Za kogo?

— Znowu nie zgadłbyś do jutra. Wszak znasz pana M., okrzyczany jest z brzydkości swojéj;

ostatniego karnawału zaczepiono go na maskaradzie, i musiał pozwolić się dotknąć twarzy dla przekonania, że nie jest w masce. Uciułał sobie różnemi sposobami znaczny majątek, i piękna Emilja, jak druga Wenus, nie wahała się połączyć z Wulkanem. *Ma foi!* tém gorzéj dla niego, głowa jego odpowie za to.

— A biedak, niepotrafi zapewne zrobić na nią takiéj siatki, jak jego kulawy poprzednik.

— *Apropos*! znasz nowy romans Teichmana „Nella"? *Superbe*! *excellement*! powiadam ci. Zosia go śpiewa, usłyszałbyś go dzisiaj.

— Żałuję mocno, że niemogę mieć téj przyjemności.

— W części, dobrze się stało; jesteś cokolwiek *enrhumé* jak uważam, a niewymówiłbyś się od śpiewania, będę pracował *pour nous deux*.

I niebędziesz się o to gniewał, pomyślałem sobie, ale nic nie powiedziałem.

— *Il faut que je prepare mes armes*, mówił daléj Oleś. Muszę wybrać kilka z nowych romansów i prześpiewać je. *Adieu*! *mon ami*, baw się jak będziesz mógł najlepiéj.

Przejrzał się w zwierciedle, poprawił krawat i jak by mu kto powiedział: „ładnyś" — uśmiechnął się z zadowoleniem, ścisnął mię za rękę i wyszedł nucąc zwrotkę piosnki Berengera: „*vous n'etes plus Lisette.*"

Była godzina trzecia poszedłem na obiad; do państwa N***. Są to bardzo godni ludzie; dom ich jeszcze nie przesiąkł modą. Obie córki państwa N***. Pięknie bardzo mówią po francuzku, ale używają tego języka tylko do osób nie rozumiejących polskiego. Czytają wiele, ale matka sama wybiera dla nich książki; grają na pantalionie, ale nie wstydzą się przyznać że jedna urządzała sama wyborny budeń, a druga co rok w jesieni przysposabia na potrzebę domową rozmaite konfitury, soki i galarety z owoców. Każda znich będzie miała po sto tysięcy w posagu, a jednak chodzą w domu tylko w płócienkowych sukienkach. Nie jest to skutkiem oszczędności rodziców, bo oni dawniéj, ani teraz jeszcze niczego nie szczędzili aby ukształcić swoje córki; widać, że nie na stroju zasadzają wartość kobiety.

Wróciwszy do domu zastałem bilet od Stasia, w którym pisał do mnie, że musi czekać do ósméj godziny na jakiegoś jegomości, który ma do niego pilny interes. Prosił mię, abym zupełnie ubrany przyszedł do niego koło ósméj, żebyśmy mogli razem pójść na komplet.

Przyszedłszy spotkałem we drzwiach owego oczekiwanego jegomości, powtarzającego na schodach; „upadam do nóg pańskich.“ Chciałem pytać się Stasia, ktoby to był, ale sam zaraz zaczął:

— Wystaw sobie, że nawet u mnie ludzie szukają protekcji. Ten pan dowiedziawszy się, że

żyję z kilku tutejszemi redaktorami pism perjodycznych, przyszedł prosić mię, żebym go przedstawił jako biegłego tłumacza z języka francuzkiego i niemieckiego. Przyrzekłem mu tylko, że dowiem się, czy który z znajomych mi wydawców nie potrzebuje jego usług. Musiałem mu to przyrzec, bo mię na śmierć znudził swojemi uniżonemi grzecznościami.

Ponieważ Stasio był już ubrany, wyszliśmy zatem i udaliśmy się na ulicę Piwną. Weszliśmy po ciemnych wschodach na drugie piętro. Stasio mię prowadzi jako świadomy drogi. Otwieramy drzwi

— Ah! jakiż tu kurz, zawołałem wchodząc.

— Mój kochany, wiesz, że pan Z., jest podrzędnym nauczycielem tańca, nie można, więc żądać żeby posadzki w jego mieszkaniu były woskowane.

— Ale dlaczegóż tak ciemno?

— Musiał on osądzić, że dość jest jednéj świeczki; aby oświecić głowy tych, co do niego na lekcje chodzą.

— Właśnie kontredans się kończy. Pan Z. i jego żona należą do tańczących, nie mogę cię przedstawić; ale uważaj. Ten krótko-pękaty jegomość, to pan Z.; a ta chuda pani w drugiéj parze, jest jego szanowną małżonką. Czy uważasz jak jéj spiczasto spuszczony nosek; ciekawie do zębów zagląda? gdyby nie konczata broda w odwrotnym kierunku zakrzywiona, oddawna już poważny ojciec wszystkich nosów, odgadłby tajemnicę dolné

szczęki; patrz jak szybko migające jéj oczki wzgardliwe rzucają pociski na tańczących kawalerów, i tylko łagodzą się kiedy robi *balanse* naprzeciw tego jegomości w oliwkowym fraku.

W pośród ciągłych wykrzykników pana Z., ostrzegającego tańczących, kiedy się mylili w figurach kontredans nareszcie się skończył. Pan Z. przywitał przyjacielsko Stasia, który mię przedstawił. Uważałem, że podczas téj ceremonji, jéjmość zdjęła z prawéj ręki rękawiczkę, zapewne w nadziei, że będę chciał skaleczyć sobie usta całując jéj dłoń jasno-kościstą. Ale ja wolałem skończyć na ukłonie, kiedy mię pan Z. za rękę prowadził przed nią, i zarekomendował. Jéjmość usiadła. Po chwili zbliżył się do niéj ów kawaler w oliwkowym fraku; Stasio trącił mię z lekka, i rzekł po cichu:

— Patrz, jak wszystkie rysy gosposi zmieniają się za zbliżeniem oliwkowego fraka, jak całe oblicze wyraża jéj zadowolenie. Nos zapomina swéj przyjaciołki brody, i dźwiga się w górę; broda porzucona przez swego towarzysza, smutnie opuszcza się i melancholicznie igra na suto ukarbowanym *kolemoncie*; wychudła rączka bawi się w roztargnieniu, z brązowym łańcuszkiem, do którego olbrzymiem kołem, przytwierdzony jest tombakowy zegarek, o godzinę prędzéj idący.

Przypatrzemy się teraz toaletom zachwycających dziewic. Jakie ostre rumieńce!... włosy nieda-

wno w piękne utrefione loki, rozprostowały się, i niedbale czepiają się aż po ramionach, muszki poodpadały, nosy się zaczerwieniły, trzewiki popękały, suknie się pogniotły, rękawiczki zbrudziły. Jedna, dla ochłody siada przy oknie, nucąc z cicha: „*Miłość mię zdradziła, ja się kocham przecie.*“ inna jakby przyszyta do swego kawalera, toczy ważną rozprawę o widowiskach, o Herkulesie, dzikich ludziach, Młynie djabelskim i t. d., ta znowu zaspakaja pragnienie, wychylając potężną szklanicę piwa....

Stasio odprowadził mię na drugą stronę pokoju i wskazał mi osobno stojącą parę. Jakaś niezgrabna z małym noskiem, ogromną twarzą i kociemi oczyma jéjmość czule się wdzięczy do chudego kawalera w długim zimowym surducie i nankinowych pantaljonach. Za każdym jéj uśmiechem, pokazuje się próżne miejsce, na siedm zębów, które ją nielitościwie opuściły; pozostałe pokryły się grubą żałobą, i ledwie je dostrzedz można.

W niedostatku krzeseł, większa część młodzieży stoi, inni, w harmonijnéj wspólce mieszczą się na jednem krześle, z swemi damami.... A! gosposia roznosi herbatę,.... jak panny szczodrze dolewają araku,.... męszczyzni także chciwie się rzucają,... wyrywają sobie szklanki...

Rrrrrr ah! wytrącili tacę z rąk pięknéj gosposi szklanki się tłuką, herbata płynie strumieniami, noga gospodyni została sparzoną. Kawaler w oliw-

kowym fraku wszczyna kłótnie z najbliżéj stojącym jegomością, krzyk, dwa szpice przeraźliwie wyją, obelgi! popychają się, zrucili nieśmiało palącą się świécę, ciemno! Coraz większy hałas, przy drzwiach, w .. cie jakieś szepty i śmiechy.

— Wychodźmy, już tu nic niezobaczemy; szepnął mi do ucha Stasio, i wziąwszy za rękę poprowadził na wschody. Niepostrzeżono naszego wyjscia. Już na dole będąc, usłyszeliśmy jakiś nowy łoskt, zapęwne przewróconego stołu. Wyszliśmy na ulicę; w téj chwili zegar wieżowy wybił 10tą. Niebo pogodne ale na ulicy piwnéj zawsze jest ciemno. Nikogo nie spotykamy. Cicho zupełnie. A! jakaś para postępuje przed nami, idźmy zwolna, przecież niebędzie grzechem podsłuchać ich rozmowę.

Kobieta ma minę rzemieślniczki niższego rzędu brudna salopa, czepek co kolwiek na barkier, twarzy widzieć niemogę, idzie przed nami. Męszczyzna w surducie i zatłumionéj czapce, nie zdaje się pewnym swoich nóg, a jednak niechce trzymać się idącéj obok niego kobiety, żeby nie odkryć swego obecnego stanu.

— Będziesz ty szedł czy nie nic dobrego!.... rzekła kobiéta, popychając taczającego się towarzysza. To jest skaranie boskie miéć takiego hultaja męża. Wyszedł sobie rano, odnieść robotę, i zamiast wrócić do domu z pieniędzmi, cały boży dzień pije w szynku.

— Kochana żono!... upewniam cię, że jesteś w błędzie... Nie miałem zamiaru stracić ani grosza... Licho nadało, że spotkałem Walentego, wiesz, tego... co to ma pudla, którego posyła po bułki... Wyborne psisko!... jak mu pan powie: „Sułtan, przynieś bułkę,“ mój pies póty się będzie kręcił koło straganu, aż się przekupka obéjrzy, wtedy łap za bułkę i w nogi.

— Głupiś, twój Wałenty jest pijak taki jak ty, a jego pies wart siedzieć w prochowni. Gdzie masz pieniądze za spodnie, które odniosłeś, miałeś dostać pięć złotych, gdzie je masz? No, będziesz szedł czy nie!

— Aj! potknąłem się. Żebym ja [illegible]ał takiego pudla, no!

— Odpowiadaj na to, o co się pytam. Gdzie masz pieniądze, któreś za spodnie dostał. Przecież nie wszystko przepiłeś?

— Nie, moje kochanie. Niedość nawet piłem, bo jeszcze mam pragnienie.

— Uważajże, tylko coś się nie rozbił o latarnię, jeszczeby tego brakowało.

— A, to latarnia, a mnie się zdawało, że to mój kum Bonifacy. Nie lubię Bonifacego, nieporządnie się ubiera, a ja, jako krawiec, bardzo na to uważam.

— O! ty dziś bardzo jesteś porządny, jakby cię z śmieci wyciągnął. A pięć złotych?

— Widzisz... miałem pięć złotych, gdym się spotkał z Walentym. Zaczekaj, zobaczę w kieszeni... Aha, widzisz że mam; wiedziałem dobrze, że jeszcze mi coś zostało.

— Jakto? wieleż mi dajesz? to siedm groszy tylko!

— Nie może być!... prawda, siedm groszy, myślałem, że mi się więcéj zostało.

— A nieszczęśliwy! wszystko wydał! kiedy wie, że małec od tygodnia już krzyczy, żeby mu kupić wózek.

— Niech chodzi pieszo, mniéjsza o małca!

— O! ja wiem o tém, ty niedbasz ani o żonę ani o syna, byle tobie dobrze się działo. A niegodziwy! wyrodny!

— Kochana żono! wierz mi... jakem majster... nie wiele piłem,... okropne mam pragnienie. Oto, wiesz co? wstąpmy tu na róg, na butelkę piwa.

— Dam ja ci tu piwa, a jutro?

— Jutro, kochana żono, widzisz, każdy majster poniedziałkuje, a ja, jak mi Bóg miły, będę w domu siedział.

— Wierzę; bo cię nie wypuszczę.

W téj chwili dochodzili do rogu; pan mąż chciał wstąpić na piwo, a pani żona, ciągnęła go do domu, potknął się i upadł jak długi.

Żona krzyczy, przeklina; w jednéj chwili ulica zaludniona; przekupki, chłopaki, służące, goście

z szynku, różnego rodzaju widzowie, gromadzą się około leżącego krawca, i zamiast podnieść go, słuchają opowiadania jego połowicy: — jak on wziął spodnie z domu aby je odnieść właścicielowi, jak za to dostał pięć złotych, jak spotkał się z Walentym co ma pudla, jak przepił pieniądze, jak....

— Pójdźmy dalej, nie ma co widzieć.

Minęliśmy Podwale, i idziemy Krakowskiem przedmieściem, jaka różnica! tu jeszcze się snują tłumy ludzi, ulica prawie tak ożywiona jak rano. Większa część wraca z Teatrów. Dróżki krzyżują się, jedni wychodzą z kawiarni, aż ich czuć pączem, inni dopiéro idą na herbatę. Posłuchajmy tych dwóch ichmościów, co się teraz spotkali z sobą.

— Dokąd idziesz?

— Do domu.

— Tak wcześnie?

— Nie wyspany jestem od wczoraj.

— Byłeś w teatrze?

— Nie.

— Jakoś nie swój jesteś. Czy ci co niepomyślnie poszło.

— Cokolwiek! wystaw sobie, przegrałem 60 złotych do starego Anzelma.

— W wista? czy podobna!

— Nie w wista. O ósméj skończyliśmy wista, byłem wygrany trzydzieści sześć punktów. Za-

czynamy ziewać; gospodarz nie chce nas wypuścić. Wist już nam się znudził, żartami proponują Landzknechta. Anzelm nigdy w to niegrał, uczemy go, probuje, sześciu nas było. Z początku przegrał 80 złotych; bez uwagi bił własne pieniądze. Ale gdy zaczął sam ciągnąć, ja byłem *vorhand*. Wystawił robla. Biję, przegrywam, odstępuję, inni biją dwa ruble, cztery, przegrywają. Podług wszelkich wyrachowań, pierwszy raz ciągnąc powinien był po trzecim bastować. Zostawia ośm rubli; chciałem mu dać naukę jako frycowi, biję ośm! A kontrmarsze! Jak na złość w kontrmarszu pada walet na jego stronę.

Przeklęty patron bankierski w pierwszym położeniu wygrał! Przegrałem dziewięć rubli; byłbym je odzyskał ale została mi się w kieszeni tylko dwózłotówka, a nie wystawiano mniéj jak rubla. Powiedziałem że mam po pewną osobę wstąpić do teatru i wyszedłem.

— Ja zupełnie przeciwne miałem szczęście. Byłem u téj wdowy co to wiesz; było wiele gości, grali w faraona. Dostał mi się bank, różnie szło, zmniéjszała się i znowu powiększała moja kassa; w tém wybiła na zegarze w salonie, dziesiąta „Dziesiątka, Banco!" zawołał Filip. Miałem około trzydziestu dukatów w banku, nie można się było wahać, nie wypada. Wszyscy na chwilę się wstrzymali, ciągnę, z dobrą miną, kilkakrotnie już przeciągałem poprzednio tę talję, i uważałem,

że dziesiątka pik lekko była splamiona na jednym rogu, kładę; as, piątka, trójka, król, as.... nieszczęśliwa dziesiątka idzie. Niepodobna, wiedząc że mam trzydzieści dukatów przegrać, nie uniknąć tego, zwłaszcza jeżeli nikt nie uważa. Pociągnąłem *za ucho*, rozumiesz, do asa przybyła dama, a dziesiątka pik wygrała dla mnie. Filip splunął tylko, policzyliśmy pieniądze i zapłacił mi. Wypiłem jeszcze szklankę pączu, i pożegnałem towarzystwo.

— Wstąp do mnie na chwilę; jesteśmy nie daleko od mego mieszkania. Sprobujemy sztosa, kto z nas będzie szczęśliwszy.

— Bardzo ciekawy jestem tego; rzekł do mnie Stasio. Ci ichmość są jak to mówią, *obaj lepsi.* Bankier faraonowy, mówiąc o przeciągniętéj karcie, dodał: „rozumiesz?“ Radbym istotnie wiedzieć, który z nich oszuka drugiego.

— Bądź spokojny, przyjaciel z dukatami, wymawia się, musi się spieszyć do domu. Rozeszli się.

Te dwie panienki wracają z teatru, i rozmawiają o sztuce, męszczyzna obok nich idący, musi być ich bratem bo nie umizga się do żadnéj z nich; widowisko bardzo im się widać podobało, mówią głośno, i chwalą wszystko. „Szczególniéj ostatni akt, w którym nic nie mówili tylko rozumieli się na migi i tańczyli, to ślicznie!“ Powiada jedna z nich:

— Ah prawda, jak to ten kochanek pięknie się schował pod słomę! to doskonałe, odpowiedziała druga.

— Uważasz, szepnął mi Stasio, ta panna lubi, kiedy się kochanek pod słomę chowa.

— Eh, ty we wszystkiém coś złego upatrujesz, to widać takie nierozgarnięte stworzenia; słyszałeś że balet nazwały ostatnim aktem.

— Bo nieczęsto bywają w teatrze... Ach; uważaj, znam te dwie osoby, idą naprzeciwko nas. Jest to mąż i żona. Prowadzą się pod rękę, ale ani słowa z sobą nie mówią; tak samo w milczeniu szli do teatru, i założę się, że przez całe widowisko, żadne z nich nie przemówiło ani słowa. Zresztą wyborni ludzie, żyją bardzo zgodnie; już trzydzieści lat jak się pobrali, i nigdy nie mieli więcéj jak dziś skłonności do rozmowy.

Doszliśmy do drzwi domu w którym mieszkam — otwarte.

— Wstąpisz do mnie jeszcze na chwilę? zapytałem.

— Nie!... pójdę do domu, wstałem dziś raniéj jak zwykle, czuję, że mi się na sen zbiéra.

— No, to do jutra!

— Bądź zdrów!

BIOGRAFJA KLUCZA.

PRZEZ NIEGO SAMEGO OPOWIADANA.

(Myśl z niemieckiego.)

Zasiądźcież więc w koło poważne klucze i wy łube kluczyki, i słuchajcie z uwagą przypadków starego, zardzewiałego towarzysza. Mowię z uwagą, bo nikt może tyle co ja nie doznał zmian losu. A więc zaczynam.

Aby każdy mię dobrze poznał, donoszę z góry, że jestem rodzaju męzkiego, i od najwcześniejszéj młodości, brodaty. Nigdy nie byłem żonatym. Ojciec mój był ślusarzem, a matka moja, była smukła szyna żelazą; pochodzę więc z uczciwéj familji i zaniósłbym oskarżenie do sądu przeciw każdemu, którybyś miał przeciwnie utrzymywać.

Kiedy byłem młody, pełniłem urząd klucza do bramy. To mi to było życie wygodne! przez cały dzień nic nie robiłem, tylko wisiałem na gwoździu. Mój przyjaciel odźwierny, miał nieszczęśliwą słabość zapruszania sobie głowy; często, tłómacząc zapewne system Kopernika o obrocie zie-

mi, po omacku sięgał po mnie, i wypuszczał mnie z ręki. Pewnego razu gdy worek jego nagle zachorował na suchoty, a gardło przedstawiało siedmioletnią suszę Egipską, zaniósł mnie do żyda na franciszkańską ulicę, po długiém targu, sprzedał mnie za 17 groszy: potomek Jzraela uchwyciwszy mnie w osmolone dłonie, rzucił w kąt między stare graty żelazne. Sprzedać osobę mojego znaczenia za 17 groszy! To nie sprawiedliwie. Przekonałem się o własnéj mojéj wartości, co się ludziom na świecie bardzo rzadko zdarza, albowiem większa część nie równie wyżéj nad zasługi się ceni.

Przepędziwszy kilka dni u mojego nowego pana, a to w bardzo złém towarzystwie, uciskany z góry i z boku nie zgrabnemi, nie mającemi żadnego poloru drabami, kupiony nareszcie zostałem przez jakiegoś podstarzałego Jegomości.

Ujrzawszy się w ręku jego, spojrzałem z ukosa na nowego właściciela mojego. Wystawcie sobie figurkę zgjętą jak znak zapytania, z nóżkami jak wykrzykniki! z szeroką od ucha do ucha buzią, jak dwa nawiasy, a mieć będziecie doskonały obraz tego lichwiarza. Tak tedy był to Pan Łapigrosz, mentor lichwiarzy, pociecha utrapionéj młodzieży w nagłéj potrzebie (jak *np.* Bielany lub Wiejska kawa, Teatr lub Reduty) który mógłby co chwilę zostać kawalerem orderu *Harpagona*, bo nikt w skąpstwie do tak wysokiego szczebla nie doszedł.

Przeszedłszy Nowiniarską ulicę, zaniósł mnie do ślusarza na Sto Jerską, kazał mi trochę brodę ogolić, i udzielił mi nominacją na klucz swojéj kassy. Chociaż sam byłem z żelaza, tu dopiéro zaczął się dla mnie wiek złoty. W rzeczy saméj ze wszystkich kluczów, los klucza kassowego jest najszczęśliwszy, zwłaszcza u sknery, któryby pewno wolał powierzyć przyjaciołom swą ulubionę, aniżeli klucz od kassy. Myślę ja podać projekt, aby w czasie wojny, wszyscy skąpcy zaciągnieni zostali do wojska, i aby na polu bitwy z kluczem kassowym w ręku walczyli, a w tym razie pewnoby byli nie zwyciężeni, gdyżby prędzéj życie, aniżeli swój oręż oddali.

Ludzie żalili się niegdyś, że otrzymali tylko pięć zmysłów: gdyż większa część zwierząt, tyleż co ludzie posiada, wtedy los dodał im klucz kassowy, i rzekł: — Ten klucz szósty zmysł wasz stanowić będzie; czyli raczéj, pokaże wam to, do czego wszystkie wasze zmysły dążyć powinny. Nie jedna panienka byłaby tak szkaradną, żeby się o nią nikt nie zapytał, gdyby nie miała klucza kassowego, wykrywającego jéj wdzięki.

Ale nadto się oddalam od mojéj powieści. Otóż tedy pan Łapigrosz, wsadził mnie do kieszeni od fraka, który jeszcze Batorego pamiętał, i z niewymowną pociechą, ujrzałem się w gronie kolegów. Sciskano mnie serdecznie, a jeden, w którym poznałem naczelnika kluczów, improwi-

zował do mnie przemowę. To przyjęcie nie opisane uczyniło na mnie wrażenie, a skoro wynurzyłem moją wdzięczność, obeznał mnie ze wszystkiemi obecnemi.

— Ten oto jegomość, rzekł, jest kluczem *piwnicznym*; jest on wielkim uczonym i matematykiem. Ale jak to każdy na świecie ma swoich nieprzyjacioł, i tak przeciw niemu zawiązały się *towarzystwa umiarkowania*; lecz dzięki niebu, liczba ich także jest umiarkowaną. Tamten klucz *od spiżarni*, jest gazeciarzem; przynosi raz tłuste, drugi raz chude nowiny: potrawy mięsne, o których nieraz nie wiemy, czy pachną starzyzną czy świeżyzną, są wiadomościami *z listów prywatnych*, bo i tu nieraz niewiadomo co o nich myśléć lub czy im wierzyć. Masło, ser, i t. p. są *rozmaitościami*, które nie raz są przegniłe i niestrawne: ciasto i owoce są artykułami *humorystycznemi*.

— Ten znowu rzekł daléj mentor kluczów, jest kluczem garderoby naszéj pani: jest on lekarzem, a to homeopatycznym, gdyż leczy kurcze, spazmy, mdłości, i t. d. samemi kapeluszami, wstążkami, czépeczkami, fularami i innemi podobnemi bagatelkami.

Tu wziąwszy go na stronę, zapytałem:

— Cóż to za urząd pełni to małe, niepozorne, żółte stworzenie, które z taką pogardą z kąta na nas spogląda.

— Już to, odparł mówca z uśmiechem, jest zwyczajem małych ludzi, że usiłują nadać sobie ważność przez to, że na innych z góry spoglądają. Jest to mały głupiec, który nawet jeszcze brody nie ma: jest to kluczyk od zegarka.

Główny klucz, został odtąd najlepszym moim przyjacielem, a przez niego, zapoznałem się lepiéj z moim panem. Był to sobie wyborny człowiek: mało jadł, mało pił, i mało spał, niepozwalał sobie żadnéj wygody, aże bliźnich swojch kochał jak siebie samego, więc i im nic dobrego nie życzył. Nie odmawiał nigdy usługi przyjacielowi, bo też nie miał żadnego przyjaciela; nie pysznił się on ze swych bogactw, gdyż zawsze uważał się jeszcze za biédnego, a gdy ubogi narzekał przednim na swoją biédę, chętnie pomagał mu narzekać.

Pewnego razu zachorował. Jego sukcesorowie płakali rzewnie i łzawém okiem, to na niego to na mnie zyzem spoglądali; ale on pomimo wszelkich przedstawień, uparł się, i zostawiwszy pieniądze, przeniósł się na pola Elizejskie. Nie wiem jaką miał w tém spekulacją.

Nie pozwolono mi znajdować się na pogrzebie mojego pana. Albowiem włożono mnie w szkatułkę, w ogromną przyciśniono pieczęcią; to okrutne postępowanie, łzy mi wycisnęło. Samotność musi być największém złem na ziemi, a Stwórca wolał Adamowi wykroić żebro, i zrobić mu z niego żonę, aniżeli na to złe go narazić, chociaż in-

ni utrzymują, że chciał tém przekonać Adama, że samotność nie jest jeszcze, największém złem na świecie.

Zaraz po pogrzebie, sukcessorowie uwolnili mnie z więzienia, i otworzyli kassę. Nastąpiła głęboka cisza, gdyż liczono, dzielono, oddalono się, i zostawiono mnie w zamku. Spojrzałem w skrzynię, nieszczęśliwa! była *in gollissimo statu.* Po kilku dniach, napełniono skrzynię bielizną, nie zamykano jéj więcéj, tak, że stałem się zupełnie zbytecznym.

Ach! dla uczciwego klucza, jest to okropném nieszczęściem, w sile wieku skazanym być na nieczynność? Jużem się lękał, że zgon mój wkrótce nastąpi, gdy pewnego razu młodsza, nucąc, wbiegła do pokoju, wyciągnęła mnie, wsadziła do fartuszka, pobiegła do ogrodu, i w tylnéj furtce ogrodowéj próbowała, czybym niezdołał zamku otworzyć.

— Jesteś tam Basiu? zapytał z tamtéj strony głos barytonowy, czy klucz się przyda?

— Ach nie przyda się, rzekła Basia.

— Może nieumiesz się z nim obchodzić, odezwał się baryton, rzuć mi go przez mur, może mnie się uda.

Basia rzuciła mię przez parkan, i wpadłem w ręce ładnego młodego chłopca. Usiłował mną zamek otworzyć, i dopóty mną kręcił, dopóki mi zęba nie wyłamał.

— Teraz ci już nie pomogę, rzekła Basia.

— Ale cóż zrobię z kluczem twoim?

— Wiesz co Władziu? właśnie brakuje mi klucza do toaletki; poślę ci zamek, każesz kluczyk do niego dorobić.

— Dobrze, odrzekł pan Władysław, i nieukontentowany włożył mnie do kamizelki.

Nie jest to wcale pocieszający awans z klucza kassowego na toaletowy. Kassa już tylu ludzi uszczęśliwiła, a toaleta iluż to nieszczęśliwych uczyniła! Kassa cieszy nas nieraz, bo nam stare lata zabezpiecza, a toaleta cieszy tylko kobiéty, bo im pomaga wypiérać się lat starych; a nareszcie kassa prędzéj doprowadzi do toalety, aniżeli toaleta do kassy. Kontent jednak byłem, że znowu wszedłem w czynność, a gdym u ślusarza został opiłowany, przycięty, i w zgrabny kluczyk zamieniony, aż mi lżéj było, i zaledwie pojąć mogłem, jak kiedyś mógłem być tak nieokrzesanym gburem.

Pan Władysław, odebrawszy mnie od ślusarza, tegoż jeszcze wieczora, udał się do wiadomego miejsca, i zaczął się drapać na mur; gdy już był na drugiéj stronie, nieszczęśliwym trafem wypuścił mnie z kieszeni, tak, że na nos upadłem. Co zaszło podczas gdym leżał pod murem, o tém wprawdzie dopiero późniéj się dowiedziałem; jednakże, aby nie przerwać toku rzeczy, w porządku wszystko opowiem.

Basia czekać miała w ogrodzie; nieszczęściem jednak pani nagle zasłabła, a Basia nie mogła odejść od łóżka. Pan Władysław, po nadaremném oczekiwaniu, wsunął się na dziedzieniec, a z tamtąd na schody, i dostał się do pokoju, gdzie znalazł pannę Eleonorę.

W pierwszéj chwili pan Władysław podobnym był do panny Alixy w Zampie; wkrótce jednak wyratowała go przytomność umysłu; żwawo przyskoczył i padł na kolana.

— Oddawna już, pani! zawołał z czuciem, ubóstwiam cię potajemnie... (nigdy jéj nie widział); nie mogłem jednak znaleźć sposobności wynurzenia ci gorejących uczuć. Ale gdy tłumna namiętność zdawała się rozsadzać me piersi, rozpacz przywiodła mnie do śmiałego zamiaru, do przebycia muru ogrodowego. Naraziłem moje życie, aby tu umrzéć u nóg twoich, jeżeli, o luba! nie wysłuchasz mię!

Te słowa z całym zapałem wyrzeczone, uczyniły na umyśle panny Eleonory, niewymowne wrażenie. Ona nigdy jeszcze nie widziała trupa, a teraz miałażby dozwolić, aby młodzieniec w kwiecie wieku u nóg jéj umiérał? Chciała wołać, dzwonić, lecz wstrzymała się i zawołała:

— Precz, precz z tąd na miłość boską!

Pan Władysław nie dał sobie dwa razy tego powiedziéć.

Panna przez całą noc spać nie mogła, a gdy nazajutrz wyszła do ogrodu, aby świeżém odetchnąć powietrzem, znalazła mnie, i słuszny wyprowadziła wniosek, że wczorajszy jéj rycerz, przełażąc przez mur, zgubił mnie. Nadaremnie cieszyła się nadzieją, że w ten lub ów sposób da się jéj poznać, zbywało mu bowiem na odwadze. Tak więc upłynie kilka tygodni, podczas których śmierć matki nadała pannie Eleonorze zupełną wolność rozrządzania majątkiem. Gdy w samotnych godzinach przywodziła sobie na pamięć ową przygodę, i wyrzucała sobie, iż bez nadziei, bez pociechy odepchnęła nieszczęśliwego, wtedy brała mnie do rąk, a przyciskając czule do serca, wołała: — „Ach! kto wie, co się z nim stało!"

Nareście nowość moja naprowadziła ją na myśl szczęśliwą. Dowiadywała się u wszystkich ślusarzy, aż naréście przyszła do majstra, który mnie zaraz poznał zapewniając, iż mnie zrobił dla Pana Władysława, kupczyka w handlu tabaki. Tabaka wprawdzie z początku kaducznie w nos poszła panience, a serce jéj biło, jakby w niém młyn tabaczny był w ruchu; ale pomyślała: jeżeli jest poczciwym kupcem tabaki, to ma zapewne i uczciwe zamiary, kupcy tabaki ze wszystkich rzemieślników są najwierniejszemi mężami, gdyż są tylko odwiedzani przez mężczyzn i baby; kupcy tabaki powinni-

by też mieć pierwszeństwo przed lekarzami, gdyż więcéj *„na zdrowie“* wpływają.

Panienka napisała do pana Władysława, i po kilku odwiedzinach, przyrzekł iż nie będzie już sprzedawał tabaki. Wszelako nie był jeszcze u celu, jeszcze go wielka burza czekała, a los znowu *mnie* wybrał, aby stać się niewinnym środkiem zamięszania.

Młodsza bowiem popadła w podejrzenie przywłaszczenia sobie pierścionka; gdy więc Basia dnia jednego nie była w domu, pani postanowiła zrewidować jéj toaletę; po nadaremnem próbowaniu wszystkiemi kluczami, wpadła nareszcie na nieszczęśliwą myśl, aby i mnie doświadczyć; łatwo się domyśléć że zaraz otworzyłem. Panienka zdziwiła się; ale któż opisze jéj przerażenie, gdy znalazła kilka listów Władzia do Basi! Panna Barbara za powrotem do domu wezwaną została do ścisłego wywodu słownego, a nie widząc niebezpieczeństwa, otwarcie się przyznała do wszystkiego. Panna Eleonora dowiedziała się między innemi, do kogo ja właściwie należę, i dla kogo Pan Władysław przez mur przełaził.

W rozpaczy pobiegła do swego pokoju i gorzkie łzy oblały jéj piękne lica. Chciała sobie życie odebrać, ale miała naturalną odrazę do ostrych rzeczy; napoje, zwłaszcza trujące, sprawiały jéj mdłości; woda zaś w Wisle była jeszcze za zimna; zresztą

możeby się na którą z tych śmierci zdecydowała, gdyby przynajmniéj była przekonaną, iż po śmierci zobaczy wrażenie jakie zgon jéj uczynił na ludziach, szczególniéj na niewiernym kochanku. Nareszcie nabrała odwagi. Napisała do Władysława, wzywając go, aby się usprawiedliwił, albo nigdy nie pokazywał na jéj oczy.

Pan Władysław był jakby piorunem rażony; miałżeby się zrzec pięknéj i bogatéj oblubienicy? Nie, trzeba się koniecznie uniewinnić, i udało mu się.

— „Przebacz moja droga Eleonoro, tak do niéj napisał; jeżelim nie widział innéj drogi, aby wéjść do twego domu, jak przez serce twojéj służącéj, która mi zupełnie jest obojętną. Aby pozyskać jéj miłość, któréj mi do moich zamiarów potrzeba było musiałem nawet udawać ku niéj uczucia, uczucia, które od czasu, jak ujrzałem ciebie, do ciebie tylko należały. Jeżeli nie uwierzysz mym słowom, rozpacz do grobu mnie wtrąci; umrę, ale zawsze ciebie kochając.“

Ten ostatni wykrzyknik dobił pannę Eleonorę. Wkrótce ślub połączył ją z Władysławem. Basię wydano za lokaja, który tymczasem jéj serduszko pozyskał. Mnie zaś, ponieważ tak wielki wpływ wywiérałem na historję miłości państwa, zachowa jako szacowną pamiątkę. Nowo - zamężni postanowili przy każdym dowodzie

miłości i wiary, jaki nawzajem sobie wyświadczą, wyprawić ucztę, a ja miałem w środku stołu figurować, i — od tego czasu zardzewiałem.

B. D.

SIEROTA Z LUKNOV.

(Zupełnie prawdziwe.)

Około 30 lat temu, kapitan okrętu wschodnio-indyjskiego towarzystwa, został przedstawiony damie perskiéj, sławnéj rzadką pięknością. Zakochał się w niéj, znalazł wzajemność, i wkrótce połączyli się związkiem małżeńskim. Ponieważ małoźnka jego, znakomity posiadała majątek, kapitan porzucił służbę, i zamieszkał w Lucknov. Tu szczęśliwie przeżył trzy lata, w dostatkach i słodkiém pożyciu domowém z kochaną małżonką, która mu w ciągu tego czasu wydała na świat troje dzieci. Następnie musiał wyjechać, i powrócił dopiero, kiedy najstarzy syn jego liczył

lat siedm, wyjechał z nim znowu do Anglji, aby tamże mógł z wychowania europejskiego korzystać.

Były kapitan, z powodów, które na zawsze nieodgadnionemi zostały, powiedział synowi swemu, że nie jest jego ojcem, tylko przyjacielem, któremu tamten dziecię swoje powierzył. Wkrótce po przybyciu do Anglji, ojciec umarł nagle, nie mając czasu odkryć prawdy swemu synowi. Dziecię miało kolor twarzy mieszkańców kraju, w którym się urodziło, i rysy rodu matki swojéj. Z tego powodu, rodzina zmarłego, nie wiedząc nawet wcale o jego zaślubieniu, uważała sierotę jako mulata, i sądziła, że aż nadto czyni, oddając go na naukę do podrzędnego kupca, gdzie młodzieniec wiernie i dobrze się prowadząc, czas nauki odbył. Po upływie tego czasu, dali mu rodzice jego ojca sto funtów szterlingów, puścili go w świat, aby w nim szukał losu, zapowiadając mu, że nie powinien spodziewać się nadal żadnego więcéj wsparcia z ich strony, i cieszyli się, że tak małym kosztem pozbyli się mulata.

Bez opieki, bez przyjaciela, sam sobie zostawiony młodzieniec, nie mógł się spodziewać dojść jakiegokolwiek powodzenia w handlu, przez korzystne związki małżeńskie, ponieważ jeszcze wówczas w Anglji kolorowi musieli walczyć z wielu rozmaitemi przesądami. Maleńki jego zapas wkrótce był bliskim wyczerpania, i biédak przymuszonym się widział zostać wędrującym kupcem herbaty,

aby się przed nędzą zasłonić. Zarobek jego w tym handlu bardzo był mały; tém bardziéj jeszcze zdawał się dlań niedostatecznym, gdy się ożenił. Połączył się on z córką cieśli, która nic nie miała, prócz wdzięków i oszczędności. Na szczęście była ona dobrą gospodynią, dla tego wydatki wędrującego kupca nie wiele się powiększyły od czasu jego zaślubienia. Poczciwość jego znaną była powszechnie; herbata, którą sprzedawał, była dobra, niewiele miał na niéj zysku, ale odbyt na towar jego znacznie się powiększył. W wielu znacznych domach przybycie jego było bardzo pożądane.

Dnia pewnego, wychodził właśnie z domu bogatego Lorda, kiedy go spotkał wchodzący tamże właściciel. Widok kupca mocne na nim uczynić musiał wrażenie, gdyż przyglądał mu się prawie z niecierpliwą ciekawością. Biedny handlarz herbaty zmięszał się, bardzo prędko zdjął kapelusz, mijając Lorda, i spiesznie oddalił się strwożony jego wejrzeniem. Lord wypytał się domowników o wszystko co wiedzieli względem owego kupca, i zapragnął pomówić z nim; dla tego rozkazał aby go uwiadomiono, jak tylko tenże drugi raz z towarem swoim przyjdzie. Wypełniono rozkaz, a biédak wszedł zbojaźnią do pysznego gabinetu zamożnego Anglika. Ten wypytywał go względem jego urodzenia, krewnych i wspomnień z lat dziecinnych, i z odpowiedzi, które otrzymał, przekonał się, że

kupiec herbaty istotnie jest tym, którego od dawna nadaremnie szuka.

Lord ten mieszkał w Luknov, w owym czasie, kiedy ów angielski kapitan ożenił się z bogatą Persjanką, i on to nawet przedstawił go w jéj domu. Był przy ich ślubie, i ze wszystkich świadków tego obrzędu, sam tylko żył jeszcze. Wdowa kilkakrotnie pisała doń z Luknov, i zaklinała, aby wszystko, co w mocy jego być mogło, czynił, dla wynalezienia jéj syna, o którym od lat dwudziestu żadnéj nie miała wiadomości. Wszystkie jego poszukiwania były nadaremne, i już stracił prawie nadzieję ujrzenia pomyślnego skutku starań swoich, kiedy podobieństwo kupca z matką sieroty, któréj szukał, uderzyło go, i nowym zabłysło dla niego promieniem.

Odkrył znalezionemu młodzieńcowi rodzinne jego stosunki; powiedział mu, że ten, co z nim do Anglji pojechał, był jego ojcem, i że w Indjach żyje jego matka, niecierpliwie oczekująca chwili, w któréj go do łona swego przyciśnie; że w Kalkucie u jednego bankiera, złożyła ona kilkadziesiąt tysięcy funtów szterlingów, które niezwłocznie będą wypłacone. Upewnił go, że jéj miłość i utęsknienie, ani na chwilę się nie zmniejszały; że opłakiwała go jako umarłego, nie tracąc jednak nadziei, ujrzenia go jeszcze, — nadziei, którą przez tyle lat uwodzoną była.

Ta wiadomość była dla nieszczęśliwego Paria, promieniem niebieskiego światła. Przez chwilę nie śmiał nawet wierzyć; ale to nie był sen; on, zmuszony przez tyle lat z kilku funtami herbaty wędrować z jednego miasteczka do drugiego, aby utrzymać swoje i żony życie, stał się panem wielkiego majątku. Nowy jego przyjaciel dał mu listy do swego korrespondenta w Kalkucie, i znalazł mu miejsce na okręcie, płynącym do wschodnich Indji, gdzie nasz wzbogacony kupiec wraz z małżonką szczęśliwie zawinął. Matka czekała na niego w porcie z licznym orszakiem przyjaciół, i zawiozła go do wspaniałego swego pałacu w Luknov. Bohaterowie téj powieści żyją jeszcze dotąd w dostatkach i szczęściu, a los ich mógłby podać przedmiot do obszernéj zajmującéj powieści.

PIERWSZE WYSTĄPIENIA
TENORYSTY.

W żadnym kraju tyle szczególnych i uderzających okoliczności nie jest połączonych z pierwszemi wystąpieniami artysty, jak we Włoszech. Posłuchajmy historji *Rubiniego*, jak ją sam swoim kolegom opowiadał.

Będzie temu około trzydziestu lat, jak uboga rodzina we Włoszech pieszo szła od jednego do drugiego miasta, zarabiając na chleb serenadami, to tu, to owdzie na świeżém powietrzu wykonywanemi. Po serenadzie chłopczyk, z drewnianą miseczką w ręku, szedł w około, a zebrane pieniądze znosił swéj matce; potém władowano kontrabas na chudego, starego osła, ojciec zawiesił na sobie skrzypce i wiołonczelle, młode dzieci nosiły flety i klarnety, a mały dwunasto-letni zbieracz włazil w środek wałtorni, tak dużéj jak on cały. Po dziesięciu krokach, nowy zaczynano koncert, i miseczka znowu krążyła między widzami. Dochody bardzo bywały szczupłe; nie zawsze płacono, a jednego razu nawet zrabowano im koncert; tak jest,

zrabowano. Zbójcy zażądali raz od tych biedaków koncertu lub życia.

Jeżeli jednak dla trubadurów były złe czasy, zakwitł im przecię czasem i dobry dzień. Do liczby tych należał dzień, w którym pozwolono *Gian Batiście* śpiewąć w chórze dość nędznéj truppy, która na teatrze *Romano* dawała przedstawienia. W wilję ostatniego widowiska, które tą truppa dać miała, znikła nagle *prima donna*, i w niemałym kolegów swoich zostawiła kłopocie. To namiętnie kochające stworzenie nie mogło przenieść na sobie, aby podróżującemu Francuzowi pozwolić samemu odjechać, lecz ten za kilka dni zagrał z nią w to samo, w co ona ze swoją truppą — to jest zostawił ją na koszu. Cóż tedy począć? Ojciec Gian Battisty całą noc przepędził na wyuczeniu swojego syna roli *prima-donny*, a nazajutrz Gian, przebrany za kobietę, śpiewał jéj rolę, wszystkich wprawił w uniesienie, i pierwszy raz słyszał oklaski i okrzyki, do których miał się późniéj trochę bardziéj nazwyczaić.

Młody chłopiec tak się podobał jako *prima-donna*, że pomimo, iż koniec przedstawień już był zapowiedziany, jeszcze trzy nastąpiły. Przy ostatniém posadzono go w przedsionku teatru, w sukniach kobiecych, przed stołem, i każdy z widzów wrzucał coś w misę cynową, tak, że dary piętnaście *lirów* wyniosły.

Charakter *prima-donny* był bardzo korzystny dla Giana; lecz nieszczęściem musiał zaniechać tego zatrudnienia, aby podczas między-aktów grywać w orkiestrze na skrzypcach przy swoim ojcu, a potém w chórach śpiewać. W tymże czasie Lamberti w Bergamie nowy wydał utwór; brakowało mu tenorysty na drugą rolę. Ojciec Giana mówił mu o powodzeniu swojego syna w Romano, i tyle wyjednał, że postanowiono doświadczyć *ex-prima-donny*. Skutek był bardzo pomyślny. Kawatyna Lambertego dobrze została odśpiewaną, a kompozytor okazał swe zadowolenie przez to, że podarował talara młodemu artyście. Ta wspaniałomyślność postawiła tenorystę w możności kupienia sobie pary nowych trzewików.

Pierwszy krok był więc uczyniony. Gian opuściwszy Bergamę, miał jeszcze i złe czasy, lecz nareszcie przyszły i dobre, i już nieustawały. Chociaż dyrektor medjolańskiego teatru nie chciał go przyjąć na chórzystę, bo mu się zdawało, iż nie dość ma głosu, jednak niezadługo został przyjęty na drugiego tenorystę w Palazzuolo. Otrzymał 600 franków; to już jest co innego niż talar pana Lamberti. Za 600 franków można sobie nietylko trzewiki, ale i płaszcz kupić, — kosztowny ubior, do którego Gian od dzieciństwa wzdychał. Po tych sześciuset niezadługo natąpiły tysiąc od dyrektora teatru w Brescji, dwa tysiące w Wenecji; jedném słowem biedaczek stał się ważną osobą. Fioravanti napisał

dla niego *Adelson e Salveni* i jeszcze dwie inne opery; Rossini prosił tenorystę *à la mode*, aby śpiewał główną rolę w jego *Sroce*; nakoniec Wiedeń i Paryż spierały się o Giana. Lecz uwertura zaczyna się; oczekują Gian Batistę, który ma śpiewać w *Lunatyczce*.

— I Gian Batista, rzekł Severini (*), ma teraz 50,000 franków dochodu.

— Nie mówiąc o tém, że jest pierwszym śpiewakiem świata, odezwał się Lablache.

— I że nikt nie gra lepiéj od niego w wista, dodał Tamburini.

— Wyjąwszy mnie, odpowiedział Lablache.

(*) Dyrektor opery włoskiéj w Paryżu, który podczas ostatniego pożaru teatru Favard życie utracił.

PRZYP. RED.

DWA WESTCHNIENIA.

DO ***

Kiedy samotny usiadłszy w milczeniu,
Wspominam te błogie chwile,
Gdy z tobą razem w słodkiém zachwyceniu
Czas mi upływał tak mile;

Gdy przypominam twe lube wejrzenie,
I twojéj rączki ściśnienia,
Wtedy z mych piersi wydrze się westchnienie,
Słodkie roskoszą wspomnienia.

Lecz kiedy wzrok twój z innym się spotyka,
I wtedy błyśnie w twém oku
Ten ogień żywy, co serce przenika,
Jakby potęgą uroku;

Okrutna boleść duszę mą ogarnie,
Niemogę wytrwać cierpieniu,
Westchnę i wtedy; ale w tém westchnieniu
Są wszystkie piekieł męczarnie.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

SPIS RZECZY

W TOMIE DRUGIM ZAWARTYCH.
